

KAROL MAY

PIRACI I KSIĄŻĘTA

DAS WALDRÖSCHEN ODER DIE VERFOLGUNG RUND UM DIE ERDE IV

POJEDNANIE

Na zachodnim brzegu Szkocji leży znany żeglarzom port Greenock, do którego często przybijają okręty niemieckiej floty handlowej.

W jednym z najlepszych hoteli miasta zatrzymali się Sternau i sternik Helmer. Przybyli do Greenock, gdyż właśnie w tym mieście chcieli kupić pożądany statek. Przeszukali już całą przystań, ale jakoś im się nie szczęściło; nie znaleźli nic. Siedząc przy obiedzie, rozmawiali na ten temat.

Naprzeciwko siedział starszy pan, który słyszał ich rozmowę i oznajmił, że na rzece kołysze się wspaniały jacht parowy, który jest do sprzedania. Nawet mieszkający w pobliżu adwokat ma wszelkie plenipotencje do sprzedaży.

Po obiedzie udali się na wskazane miejsce.

Rzeczywiście na rzece odkryli jacht. Był to jeden z tych znakomitych szybkich parowców, na sto stóp długich, szesnaście szerokich, a głęboki na siedem, z dwoma masztami i wysmienitą maszynią. Kajuta urządzona było wspaniale. Helmer jako znawca stwierdził, że tylko ten, a nie inny nadaje się do ich celów.

Wrócili na brzeg i poszukali willi, na której bramie widniał napis: „Emery Millner, adwokat”.

Wstąpili do willi i dowiedzieli się, że zarówno willa, jak i jacht są własnością Henry’go Lindsay’a Nothingvella.

— Ach, czy to przypadkiem nie jego córka, Amy była jakiś czas gościem hrabianki Róży de Rodriganda, w Hiszpanii? — zapytał Sternau.

— Tak, oczywiście. Zna ją pan?

Kiedy Sternau i sternik wymienili swoje nazwiska, adwokat zawołał uradowany:

— Ach, to pan jest niezawodnie tym lekarzem, który operował starego hrabiego?

— Tak, to ja.

— A, a w takim razie, bardzo się cieszę, że — mam zaszczyt gościć pana u siebie! *Sir* Lindsay i *miss* Amy przed odjazdem do Meksyku byli tutaj i panna Amy opowiadała bardzo dużo o panu. Musi pan wiedzieć, że ona jest wielką przyjaciółką mojej żony i opowiedziała jej wszystko, co się stało w Rodrigandzie.

— Chcę być szczery i powiem panu, że hrabianka Róża de Rodriganda jest już moją żoną i mieszka obecnie u mojej matki.

— A tak to się wspaniale składa! — zawołał adwokat.

Nadeszła jego żona; Sternau opowiedział o tym co zaszło w Hiszpanii po wyjeździe *miss* Amy. Sam dowiedział się, że lord Lindsay sprzedaje swój jacht tylko dlatego, iż przebywając w Meksyku wcale go nie potrzebuje. Sternau kupił jacht za niewielkie pieniądze, ozdobił go, umeblował należycie i skompletował załogę, która oprócz Helmera, który został kapitanem, składała z czternastu majtków. Sternau, jako właściciel jachtu, potwierdził tytuł Helmera.

Jacht otrzymał imię „Róża” i na jego dzióbie zostało to wypisane.

Zaopatrzoneo się w żywność i najpotrzebniejsze w podróży narzędzia. „Róża” otrzymała także uzbrojenie złożone z sześciu armat pokładowych, dwóch armat zwrotnych: na przedzie i w tyle okrętu.

Statek wypłynął na czyste, otwarte morze szukać kogoś, kogo bliskości jeszcze nikt nie mógł się spodziewać.

Zdawało się, bo tak wszędzie mawiano, że kapitan Landola pływał gdzieś w okolicach zachodnich brzegów Afryki.

Węgiel miano załadować w Avranches. Nad zatoką, na wyżynie stała jedna z tych drewnianych, śmiało zbudowanych latarni morskich, które służą okrętom na niebezpiecznych wybrzeżach Normandii jako znak orientacyjny i przestroga. Strażnik latarni nazywał się

Gabrillon i rzadko kiedy spotykał się z ludźmi, uchodził raczej za dziwaka, którego omijano. Był starym kawalerem, tylko stara, głucha kobieta mieszkała z nim w latarni. Wychodziła tylko wtedy, kiedy miała przynieść Gabrillonowi jego małą pensyjkę lub kupić kilka potrzebnych rzeczy dla tego małego gospodarstwa.

Nieraz też zdarzało się, że przyjaciele Gabrillona albo mieszczenie zachodzili do latarnianej wieży, by z jej wysokości spoglądać na przestronny ocean. Teraz jednak, od kilku już miesięcy, nie można było doczekać się tej przyjemności. Gabrillon odwiedzającym go okazywał wielką niechęć i był taki gburowaty, że ludzie stracili wszelką ochotę widywania starego dziwaka.

Chciano zbadać przyczynę takiej zmiany, nie odkryto jednak nic ważnego. Tylko kilku żeglarzy, którzy zajmowali się przemytem, opowiadali, iż nocą, tam na galerii, która wiła się naokoło wieży, widzieli postać chudą, długą, która wydawała z siebie — w hiszpańskim czy też innym podobnym języku — krótkie, urywane, żalosne tony.

Od tej pory zabobonni mieszkańcy wybrzeża wierzyli, iż strażnik Gabrillon pozostaje w związku z diabłem lub też innymi duchami, które go odwiedzają nocą. Unikano więc starego jeszcze bardziej niż przedtem. Tylko mer miasta myślał inaczej. Pewnego razu Gabrillon przyszedł do niego i oznajmił swoim mrukliwym sposobem, że musi wziąć do siebie starego stryja, któremu coś się trochę pomieszało w głowie. Gabrillon nie mógł nie zgłosić tej rzeczy, a mer milczał i miał ogromną uciechę słysząc, że ludzie zamienili starego stryja w diabła.

I jeszcze jedno mówiono w Avranches.

Młody lekarz, który niedawno przybył do miasteczka zbadał źródło, z którego płynęła woda mętna, żółta i bardzo niedobra w smaku. Człowiek ten uważał, że to źródło wód mineralnych zdolnych leczyć rozmaite choroby. Analizował wodę i swoją analizę razem z próbką wody posłał do Akademii Umiejętności, która potwierdziła jego wyniki badań.

Od tego czasu zmieniło się życie miasteczka. Lekarz w pobliżu źródła zbudował pijalnię wód i sanatorium, prasa szeroko rozpisywała się na ten temat i całe masy chorych ludzi przybywały w celu podratowania zdrowia. Pobudowano drogi, wytyczono promenady, poustawiano ławki. Zaroilo się życie naokoło latarni morskiej, któremu mrukliwy Gabrillon przyglądał się z ogromnie surową miną.

Był piękny letni dzień, popołudniowa pora. Powietrze czyste. Gruby mężczyzna w złotych okularach na nosie i z hiszpańską trzcinką w ręce wracał z miasta do jednej z chat rybackich na wybrzeżu. Za nim postępował młody człowiek, który niósł ogromny kałamarz i papiery.

Przed chatą siedział właściciel i plół sieć.

— Mieszkają u was letnicy?

— Tak. Jakiś znakomity pan z córką, służką i służącą. Przywieźli swoje własne meble, wynajęli cały dom. Teraz śpię u sąsiada Grandpierra. Pan ten jest Hiszpanem, nazywa się książę Olsunna. Ach, panie notariuszu, on już niedługo pociągnie. Wychudł całkiem, pluje krwią, kaszle dniem i nocą i nie może nawet ruszyć się z łoża. Sądzę, że nasze powietrze morskie nie będzie w stanie go uratować.

Notariusz zwrócił się do drzwi, zapukał i wszedł. Miejsca było tu mało, ale urządzenie całkiem elegancko. Na szezlongu spoczywał pacjent. Woskowo-blade oblicze było wychudłe ponad miarę, ciemne zapadnięte oczy patrzyły bez blasku i bez nadziei. Długa, czarna krzaczasta broda czyniła jego lice jeszcze bledszym, a wysokie, szerokie i tyse czoło zdawało się być własnością jednej z wykopanych czaszek.

To był niegdyś taki dumny, silny książę Olsunna, lew salonowy, który z pomocą Korteja uwiódł był biedną Walser, matkę Sternaua! Obok niego siedziała wysoka, silnie zbudowana dama. Mogła mieć około trzydziestu lat, ale twarz miała czystą, dziewiczą świeżość, a jej pełna, jednak smukła postać miała takie panięskie linie, że musiano ją uważać jeszcze za niezamężną. Oczy jej nakazywały zaufanie, jednały miłość.

Była to księżniczka Flora, córka księcia, której wychowawczynią była przez krótki czas matka Sternaua. Wtedy była Cyganka Zarba jeszcze śliczną, młodą dziewczicą. Teraz nawet Flora przeszła lata dziewczęce, nie zaznawszy szczęścia, jakie zazwyczaj lata te przynoszą.

— Ekszelencjo! Jestem notariuszem i przychodzę na wezwanie wasze! — rzekł nowoprzybyły, skłoniwszy się nisko.

— Dziękuję panu, że przyszedłeś; ale potrzeba nam jeszcze trzech świadków.

— Świadkowie zjawią się za kwadrans, ekszelencjo!

— Bardzo dobrze!

Teraz zwrócił się do Flory:

— Możesz na razie oddalić się, moje dziecko. Parę godzin muszę się obyć bez ciebie. Jeżeli zadzwonię, nie przychodź sama, tylko przyślij służącego.

W jej oczach pojawiła się łza. Była przekonana, że tu chodzi o sporządzenie testamentu. Zapanowała nad sobą i wyszła.

Zwróciła się w stronę morza. Była niespokojna. Wiedziała dobrze, że rychło straci ojca. Zostanie na świecie sama, a do tego, te ogromne bogactwa...

Zamyśliła się nad przeszłością.

Matki swojej nie pamiętała. Zawsze była w cudzych rękach. Ojciec nie bardzo się o nią troszczył. Wszystkie bony, guwernantki były jej obce, wstrętne. Jedną jedyną tylko lubiła, pannę Walser, która znikła tak szybko. Płakała za nią, a ojciec ją za to karał.

Czas upłynął, wyrosła na piękną pannę. Wszyscy to wiedzieli i ona także. Miała setki wielbicieli, jednak żaden nie przypadł jej do serca. Książę łajał ją, nadaremnie. Sam nawet wybrał dla niej kandydata na męża, ale ona, posłuszna zazwyczaj córeczka, okazała niespotykany opór. Chciała sama sobie wybrać tego, który sercu jej będzie miłym. Ojciec gniewał się wprawdzie, ale uległ jej stanowczości.

Nagle książę zachorował straszliwie, bez jakiegokolwiek nadziei, na powrót do zdrowia. To spowodowało, że poważnie zaczął rozmyślać nad przyszłością i... przeszłością. Spostrzegł, że jego życie było nieprzerwanym pasmem grzechu. Ogarnęła go skrucha, żal. Przypomniał sobie o tych, których skrzywdził. A szczególnie tę niemiecką guwernantkę. W jego gasnącym mózgu wystąpiło jasne wspomnienie dnia, w którym dokonał haniebnego czynu.

Raz wyszedł do swego parku na przechadzkę, zatopiony w niewesołych myślach. Naraz zaszeleściło w krzakach i wyskoczyła z nich stara, wstrętna Cyganka.

— Znasz mnie, Olsunna? — zapytała.

Przyglądał się jej pooranemu obliczu, niestety nie poznał. Zaśmiała się złośliwie i rzekła z szyderstwem:

— No, paskudnie postarzeliliśmy się oboje! Nikt nas teraz nie pozna! Zdaje mi się, że nie poznajesz Cyganki Zarby, ale że o niej nie zapomniełeś, tego jestem pewna!

Przeląkł się, jednak przytomnie zapytał:

— Czego chcesz ode mnie?

— Obrachunku! — zawołała podnosząc brunatne ramię.

— Obrachunku? O, tak obrachunku! Już dawno ze swoim sumieniem się rozliczyłem! Niedługo umrę. Życie moje jest zbyt krótkie, by naprawić uczynione zło. Nie mam też potomka, który by grzechy ojca zmazać potrafił.

— Nie masz potomka! — zaśmiała się Zarba. — A, tak, nie masz potomka! Dumna, szlachetna familia Olsunnów spada do grobu. Herb jej rozłtuka, a pokolenie wymrze. To przekleństwo za twe młodociane czyny. Powiem ci jednak coś ważnego! Masz potomka, ty dumny, piękny książę! Ale on nie jest z prawego łoża. Jesteś wprawdzie bogaty, masz wpływy, możesz go uznać za prawowitego, mógłbyś nawet poślubić jego matkę przed śmiercią, gdyż ona jest wdową, aleja ci nie powiem, gdzie ona przebywa. To jest zemsta. Tak ja się mszczę na tobie!

— Ha! — zawołał. — To straszna zemsta!

— Nie taka straszna, jak twoja zbrodnia! Masz syna, mężczyznę, który jest wspanialszy niż tysiące innych. Jest bohaterski, cnotliwy, uczony... ale ty go nie znajdziesz!... Matką jego jest owa piastunka Flory, seniora Walser, której podałeś, mnie w to mieszając, miłosny napój i przy tej okazji sam siebie doprowadziłeś do zbrodni... Wyjechała do Niemiec i tam znalazła godnego sobie męża. Teraz jest wdową. Wasz syn godny jest bardziej niż ktokolwiek inny, nosić książęcą koronę... Szukaj jej, szukaj, a i tak nigdy jej nie znajdziesz!

Wyciągnął ku niej ręce:

— Nie bądź okrutną! Diamenty ci oddam moje, skarby ci oddam wszystkie, powiedz tylko, gdzie go znajde!

Zaśmiała się i zniknęła w gęstwinie.

To była jej zemsta, a raczej tylko początek zemsty!

Od tego czasu nie mógł zaznać spokoju. Wysłał we wszystkie strony Niemiec gońców, by ją odnaleźli. Wszystko daremnie. Pisał do hiszpańskiego posła w Berlinie... także na próżno, gdyż pani Sternau żyła w wielkiej samotności i odosobnieniu.

Tak mijały miesiące. Choroba i skrucha, niecierpliwość i tęsknota zjadały księcia. Cyganka wszędzie go prześladowała. Spotykał ją często i jej słowa albo nawet spojrzenia mówiły mu, iż zemsta jej była ogromna.

Lekarze poradzili zmianę klimatu. Udał się więc do Avranches.

Już po niedługim czasie zrozumiał, że powietrze morskie szkodzi mu ogromnie. Słabnął coraz bardziej. Czuł nadchodzącą śmierć, dlatego przywołał do siebie notariusza.

Od tej chwili, kiedy dowiedział się, iż ma syna, cieszył się panieństwem córki. Często przestrzegał ją przed męskim światem. Nawet dzisiaj przestrzegał ją, by serce swe ocaliła i nie myślała o żadnym mężczyźnie.

— Przyczyny tego ci jeszcze nie mogę zdradzić, ale poznasz ją może wkrótce.

Flora myślała teraz o tym. Dotychczas łatwo jej było dotrzymać obietnicy danej ojcu, obecnie jednak nastąpiła pewna zmiana.

Od pewnego czasu przebywał w miasteczku pewien kuracjusz, który jakoś z nikim nie utrzymywał bliższych kontaktów. Zdawało się, że nie tyle dla zdrowia tutaj zamieszkał, ile dla studiowania morza. Siedział nieraz i pół dnia na górcie i przypatrywał się spiętrzonemu falom. Czasem otwierał książkę ze szkicami i przenosił obraz na papier.

Tam na górcie spotkała się z nim. Usiadła na tej samej ławce, kiedy nadszedł i zobaczył ją, miał zamiar odejść, jednak zawołała, by zajął swoje miejsce, a sama się oddaliła. Potem spotykali się częściej. Dowiedziała się, że jest malarzem, nie pytała jednak o nazwisko. Rozmawiali o sztuce i umiejętnościach, poznawali nawzajem swe zamiłowania.

On miał twarz otwartą, piękną, na której zalegały ślady jakiegoś tajonego bólu. To obudziło w niej współczucie. Poczęła wypytywać, a przy tym nieraz spotkała jego wzrok na sobie. Rumieniła się, serce jej biło. Czuła, że ten mężczyzna jest dla niej niebezpieczny, że go musi unikać. Zawsze jednak, kiedy wiedziała, że on tam na górcie już siedzi, coś ją pędziło do tego człowieka.

Tak samo dzisiaj. Szła pod górę, a serce jej biło żywo w piersi. Może od wspinania się pod górę, czy...

Stała, położyła rączkę na falującej piersi i i oddychała głęboko.

Naraz zrozumiała wszystko. Ona go kochała, zwyczajnie kochała!

Ona, córka księcia, pokochała nieznanego malarza. Co za myśl dziwna!

Pytała sama siebie, czy ma wrócić, szła jednak naprzód. Spostrzegł ją z dala, wstał, zrobił kilka kroków w jej kierunku, pozdrowił z uszanowaniem i rzekł:

— Jak zdrowie, szanownej seniority! To ostre, morskie powietrze może czasami zaszkodzić. Proszę się okryć mantylką i usiąść!

Siedzieli jakiś czas bez słowa, długo patrzyli na morze. Nagle młodzieniec rzekł drżącym głosem:

— Widzi pani te bałwany na morzu? Przedwczoraj było ono spokojne, wczoraj była burza, a i dzisiaj wre jeszcze ostatkami sił... Tak samo w życiu, tak samo w sercu... Iluż to duszom brakuje serca, które uciszyłyby burzę!

Wyznali oboje, że już od pierwszego spotkania coś między nimi zaiskrzyło, rozbudziło ciekawość, ale...

— Widzi pani ten angielski jacht? Walczy on z falami, a przecież dostanie się do zatoki. Ja nie mam przystani. Nie mam ojca, nie mam matki, brata, ani siostry, nawet imienia nie mam, które śmiałybym nosić.

Nie była to pusta tyrada, to był straszliwy krzyk bólu zranionego srodze ludzkiego serca. Odczuła ten ból, przeczuwała, że on jest ogromny...

— Nie rozpaczaj pan — rzekła łagodnie.

— Wyglądam na zrozpaczonego? — zapytał dumnie się prostując, mówił jednak dalej: — Nie mam ojca, chociaż on żyje!... Dziwisz się pani? To coś takiego zwyczajnego: jestem przysłowiowym synem marnotrawnym. Nie posłuchałem mojego ojca i dlatego mnie odepchnął. Zakazał mi nawet nosić jego nazwisko, noszę więc nazwisko matki.

Oczy jego napęły się łzami. Były to łzy męskie, które straszliwie palą. Żadna uczuciowa kobieta nie wytrzyma takich łez.

— Odepchnął pana ojciec? — zawołała Flora. — Nie jesteś pan marnotrawnym synem, w to panu nie uwierzę! Cóż pan uczyniłeś, nieszczęsny tak złego?

— Mój ojciec był oficerem, teraz jest nadleśniczym w Kreuznach koło Moguncji. Jestem więc Niemcem. Nazywa się on Robert Rodenstein. Nie śmiem nosić jego nazwiska, ale wymienić go nikt mi nie zabroni... Był gwałtownym, ostrym, gniewnym człowiekiem. Jakim jest obecnie, nie wiem. Ja też miałem zostać oficerem. Uczęszczałem do wojskowej szkoły. Podczas nauki rysunku rozwinął się we mnie talent, którego się po mnie wcale nie spodziewano. Wszyscy nauczyciele orzekli jednogłośnie, że jestem stworzony na malarza. Ojciec nie chciał nawet o tym słyszeć. Musiałem pozostać przy morderczym rzemiośle, w przeciwnym razie groził mi ojcowską klątwą. Posłuchałem, złożyłem egzamin i zostałem oficerem. Jako taki wykonywałem swoje obowiązki, w chwili zaś wolnej od zwyczajnego zajęcia siedziałem przy sztaludze. Długo nie ważyłem się wystąpić na forum publicznym. Wreszcie namówił mnie do tego mój profesor. Wykończyłem obraz i poprosiłem ojca o pozwolenie wystawienia go. Zabronił! Przyjaciele jednak nalegali. Myśleli, że ojciec, gdy zobaczy ukończone dzieło, to ustąpi. Ja myślałem tak samo, tym bardziej, że — jak twierdzili znawcy — nie potrzebowałem obawiać się wstydu z powodu mojego obrazu. Posłałem go na wystawę, komitet przyjął, obraz zakupiono. Otrzymałem pierwszą nagrodę, równocześnie też pismo od ojca, w którym zakazał mi wracać na ojcowiznę.

— Mój Boże, toż to okrutne!

— Nie chcę go osądzać, to mój ojciec. Mimo zakazu udałem się doń. Prosiłem go, błagałem. Obiecałem nigdy nie wystawiać obrazu publicznie... nic nie pomogło. Wedle jego pojęcia sprzeciwiłem się w tak wysoce ważnej sprawie jego rozkazom, poniżyłem swój oficerski honor, swoją część i wstąpiłem w szeregi wzgardzonego ludku artystów. Nie byłem więc godny jego łaski. Wypędził mnie z domu, zakazał mi nosić swoje nazwisko... Odszedłem z wojska, oddałem się całą duszą sztuce. Ona nie była dla mnie tak sroga i okrutna jak mój ojciec. Osiągnąłem sławę. Zyskałem pieniądze i niezależność...« Jednak jestem odepchniętym dzieckiem, nie mam prawa do szczęścia w życiu!

— Nie może być! Tylko odważnie naprzód, za głosem serca! Ten głos z pewnością pana nie oszuka! — rzekła, biorąc ręce jego w swoje dłonie.

— Seniorita, czy wiesz, co mówisz? Czy przeczuwasz pani, co musiałbym uczynić, słuchając tego głosu?... Oto musiałbym przycisnąć cię, seniorita, do serca i nigdy... nigdy już od siebie nie puścić! Musiałbym to uczynić, by mi nie zaszło moje słońce, by gwiazdy moje nie tylko we wspomnieniu świeciły, lecz także w pobliżu. Czy wolno mi to, seniorita?

W oczach jej pojawiły się łzy. Objęła ramionami jego szyję i nie mogąc zapanować nad sobą i rzekła:

— Wolno, ukochany mój! Ja ci na to zezwalam. Jestem twoją, albowiem nie może być inaczej!

Przycisnęła się doń gorąco, czule. A on zawołał z prawdziwą radością:

— Dzięki ci Boże! Moje życie będzie teraz jasne. Demon, który mnie tak strasznie prześladował już ustąpi. A moją zbawicielką jesteś ty, ty którą kocham całą myślą i całym sobą. Powiedz mi, o wspanią istoto, jakże cię mam nazywać?

— Flora! — szepnęła, płonąć rumieńcem.

— Flora, moja słodka, wspanią Flora! Czy ty mnie też naprawdę kochasz? — zapytał tonem, na który tylko miłość zdobyć się zdolna.

— Bardzo, o bardzo! — szepnęła.

— I chcesz być moją, chociaż mnie ojciec od siebie odepchnął?

— Będę twoją i zastąpię ci ojca i świat cały, mój...

— Ottonie! — dopełnił młodzian.

— Mój Ottonie!

Spoglądała nań czule. Oczy jej były na poły przymrużone, a pełne jej usta zbliżyły się ku niemu. Złożył na nich długi, długi pocałunek. Pili z czary szczęścia i zapomnieli o całym świecie...

Naraz zbudził ich wystrzał armatni. Spojrzeli ku zatoce, gdzie jeszcze wznosiła się chmurka dymu.

— Widzisz, — rzekł Otto — jacht dotarł szczęśliwie do przystani. Tam musi dowodzić dzielny kapitan. I ja też spodziewam się przybić do przystani, a miłość będzie moim sternikiem. Żyć będę tylko dla niej i dla ciebie... Mam tylko jednego przyjaciela, w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Jest nim niejaki Karol Sternau. Poznaliśmy się w gimnazjum. Jego ojciec był profesorem, zmarł jednak wkrótce. On zaś poszedł potem na uniwersytet, a ja do szkoły wojskowej. Widywali się jednak często. Nasza przyjaźń miała ten skutek, że jego matkę, już jako wdowę mój ojciec zaprosił do siebie, by prowadziła mu całe gospodarstwo. On jest teraz jednym z najświetniejszych lekarzy. Zwiedzał obce kraje, walczył z dzikimi zwierzętami i ludźmi. Teraz zdobywa sobie sławę nożem i skalpelem. Będzie najświetniejszym chirurgiem, to rzecz pewna. Pisałem do niego o moim konflikcie z ojcem. Był wówczas w Algierze. Gdy wrócił, osiadł w Paryżu. Stamtąd pisał do swojej matki, by wstawiła się w jego imieniu u mego ojca. Spróbowała szczęścia, ale natrafiła na taki straszny gniew, że sama biedna musiała uciekać z jego oczu. Zakazał surowo jakąkolwiek wzmiankę o mnie czynić... Gdzie Sternau teraz — nie wiem. Byłem dłuższy czas w Egipcie, żyłem dłuższy czas niedaleko wodospadów Nilu, gdzie korespondencja jest niezwykle utrudniona... Tęgi to mężczyzna, wysoki i dumny. Jaka powierzchowność, taka dusza i umysł. A co dziwne, muszę tutaj zauważyć, jesteście — ty i on — do siebie bardzo podobni, nadzwyczaj. Spostrzegłem to zaraz, skoro cię tylko pierwszy raz ujrzałem. I to właśnie ogromne podobieństwo z moim przyjacielem była jedną z przyczyn, że cię nie unikałem.

Stali ramię w ramię na wzgórzu i mogli całą zatokę objąć okiem. Z jachtu wyszło dwóch mężczyzn na ląd. Twarzy niepodobna było rozpoznać, gdyż obaj mieli szerokokresne kapelusze, ale postacie były widzialne dokładnie.

Popatrz no, na tego tam — rzekł Otto. — Taka sama wyprostowana, wysoka dumna postać, jak u Sternaua. I chód taki sam, pewny i elegancki. Gdybym się nie znajdował tutaj, sądziłbym śmiało, iż to nie kto inny, jak tylko on.

Miał słusność, obaj ci mężowie to właśnie Sternau i Helmer.

Przypłynęli po węgiel i udali się do miasta. Otto znał też i sternika, obecnie kapitana „Róży”, gdyż i on mieszkał przecież w Kreuznach, ale z dala nie mógł go poznać.

Oboje zakochani siedzieli jeszcze długo, na górze, na ławeczce i szeptali sobie uszczęśliwieni owe wszystkie pytania, odpowiedzi, zaklęcia i zapewnienia, które dla zakochanych mają wielką wagę, dla innych zaś nie mają wcale wartości.

Wreszcie Flora uwolniła się lekko z objęć Ottona i rzekła:

— Przebacz mój drogi. Muszę już wracać do chorego ojca, którego zdaje się, niedługo już będę oglądać. Właśnie teraz, u niego przebywa notariusz i spisuje testament. Jaka złą córką jestem! A teraz bywaj zdrow i ufaj mi mój kochany! A jeszcze jedno; do mnie przychodzić nie możesz. Nawet mnie nie pytaj, kim jestem. Nie dowiaduj się też o to w mieście. Sama ci wszystko opowiem... Teraz bądź zdrow, mój ukochany!

— Bądź zdrowa, moja pociecho, moje szczęście, mój aniele jedyny!

Długi uścisk. Potem pocałunek jeden, drugi i pożegnali się.

Malarz udał się do urzędu telegraficznego, by zapytać matkę Sternaua o miejsce jego pobytu.

Serce jego było pełne szczęścia. Wrócił do gospody, wyjął swoje malunki, między nimi portret Flory, utrafiiony znakomicie. Z rękami rozkrzyżowanymi odstał o krok wstecz, przyglądał się obrazowi z jaśniejącą od szczęścia twarzą, jakby stał przed samym oryginałem...

— Tak, ty to jesteś, moja Floro. W ciszy uprawiałem już nawet kult twojej osoby. Nie przeczuwałaś nawet tego, piękna. A teraz stało się. Twoja jasna miłość uczyniła mnie niewolnikiem. Ona mnie otacza jak magiczne fluidy jakieś... Świeci, ach świeci jasno wśród ciemności żywota mojego. O cudna ty, o słońko poranne mojej myśli!... Ożywasz mnie, budzisz we mnie uspione bóstwo geniuszu!... Kocham cię, wielbię, ubóstwiam cię i... ufam ci, bo choć widzę i czuję, i znam cię, przecież ciebie wcale nie znam!

Był to hymn, miłości wyśpiewany przez młodą poetycką duszę.

Minął dzień, nadeszła noc. Wszystko usnęło.

Jeden Otto oczekiwał odpowiedzi od Sternau.

Naraz zadzwonił dzwonek, portier otworzył i posłaniec z depeszą stanął przed Ottonem.

„Mój syn przebywa w Anglii. Gdzie, nie wiadomo. Wróci po długim czasie”.

Straszny to był cios dla malarza, bo bardzo pragnął by Sternau był tutaj i ratował ojca jego ukochanej.

Zasnął dopiero o świcie.

Późno rano obudził się i zszedł na dół, by zjeść śniadanie. Zastał tam tylko jednego mężczyznę w stroju żeglarsza. Siedział on nad wielką szklanką rumu. Skoro Otto go spostrzegł nie mógł uwierzyć własnym oczom.

— Czy to możliwe? — zawołał. — Helmer, sternik Helmer! Czy aby się nie mylę?

Helmer wstał równie zdziwiony.

— Pan Rodenstein! — zawołał — Pan Otto! Tak jest, to ja! Co za niespodzianka!

Przywitali się serdecznie. Pytaniom i odpowiedziom nie było końca.

— Mój Boże! Więc i Sternau jest tutaj? Gdzie? Chcę go zaraz ujrzeć!

— On też mieszka w tym domu. Poszedł późno spać i może jeszcze leży, o nie, właśnie nadchodzi!

Poznał przyjaciela, który wyszedł na jego spotkanie. Przywitali się serdecznie.

— Co za szczęście! Wczoraj za tobą telegrafowałem, a dzisiaj ty jesteś tutaj. To wprost cudowne zrządzenie losu!

Wyszli obaj z gospody i Helmer znalazł się w miłym, choć samotnym co prawda, położeniu mógł wypić jeszcze parę rumów. Mieli sobie dużo, dużo do opowiedzenia.

Kiedy Flora wczoraj wróciła, ojciec spał. Przed północą zadzwonił. Pospieszyła doń i zastała go siedzącego na szeszlunku. Wielkie opieczętowane pismo leżało obok niego.

Flora przywitała go serdecznie, — Jak się czujesz, ojcze?

— Dziękuję ci dziecinko. Spałem dobrze i lepiej mi teraz. Dawno już tak nie było. Może być, że to dlatego, iż spełniłem swój święty obowiązek...

Popatrzył na nią.

— Niemiły ci jest widok tego dokumentu? A jak niemiła będzie jego treść! Dzisiaj jeszcze i to zaraz ją poznasz. Chodź moja córko, usiądź sobie i słuchaj. Może się zdarzyć, że mnie Bóg jeszcze dłużej zachowa na świecie, ale uważałem za swój obowiązek uporządkować swoje sprawy.

Dostał ataku kaszlu. Flora płakała.

— Ten testament składam w twoje ręce. Duplikat znajduje się u notariusza. Przysięgnij, że po mojej śmierci spełnisz wolę moją co do joty!

— Ojczulku drogi! Nie trzeba przysięgi, ale jeżeli tego pragniesz, śmiało przysięgnę.

— Nawet wtedy, kiedy moja wola będzie ci się wydawać twardą, nie ojcowską?

— Nawet wtedy, gdyż wiem, że mnie kochasz i nie zechcesz unieszczęśliwić dziecka swojego!

— Dziękuję ci! Osusz łzy, chcę ci coś opowiedzieć. Tak... chcę... chcę ci... no chcę się, ja ojciec, przed tobą wypowiedzieć.

Niby uspokoiła się. On zaczął opowiadać.

— Moje dziecko, straszny grzech mam na sumieniu. Masz brata — a nie wiesz nic o nim... Ja sam nie wiedziałem o istnieniu mojego syna do niedawna jeszcze. Nie jest on synem twojej matki, jest synem innej kobiety. Urodził się już po śmierci twojej matki. Jest dzieckiem z nieprawego łoża.

Flora zarumieniła się. Ale wkrótce spoważniała.

— Nie wiem nawet, gdzie jest jego matka. Ty ją znasz, moje dziecko. Jest to seniora Walser, która była przez krótki czas twoją wychowawczynią — nauczycielką.

Twarz Flory spoważniała, ale zaraz zapytała:

— Moja kochana Walser? Ach, cóż to ona musiała przecierpieć!

— O tak! A co jeszcze teraz cierpi! Ale musi za to być wynagrodzona. Słuchaj moja córko!

Opowiedział Florze o swoim hulaszczym, rozpustnym życiu, o zwodzeniach Korteja, o maskaradzie, podczas której pierwszy raz zobaczył Walser. Opowiedział jej wszystko. Nie przemilczał nawet tego, jak odeszła od niego nie otrzymawszy żadnej odprawy, tak więc ciągle musi być biedną kobietą. I o swoim życiu późniejszym, opowiedział nieco o Cygance, która mu pierwsza obwieściła, że ma syna... Skrucha jego była szczerą, Flora zaś była niewyobrażalnie wzruszona.

— Musimy więc, — rzekła — dołożyć wszelkich starań, by odszukać mego brata. Jeśli jest on rzeczywiście takim jak go opisano, to nie mamy się czego wstydzić. Żyje w ubóstwie, więc tym bardziej mamy obowiązek ocalić go i postawić w prawnie przynależnych mu stosunkach. Nie obawiajmy się żadnych ofiar. Będę mieć brata, któremu należy się moja miłość. To znaczy bardzo dużo.

— Jednak muszę ci jedną rzecz wyjaśnić. Jeżeli nie mam syna, to należy ci się nie tylko cały mój majątek, ale też moja ranga i tytuł. Według prawa hiszpańskiego jesteś po mojej śmierci księżną i twój pierworodny syn odziedziczy książęcy tytuł Olsunny, niechaj się twój mąż jak tam chce nazywa. Tego dziedzictwa i korony wyrzekasz się ty i twoi potomkowie, jeżeli szukać będziesz brata, który na dodatek, jest młodszym od ciebie.

— Uczynię to chętnie, ojczulku drogi!

— Bogu dzięki! Więc nie będziesz przeklinać pamięci mojej, droga dziecinko?

— Ach, co też ty o mnie myślisz, ojczu? Wiesz przecież, jak cię bardzo kocham. Zbłądziłeś, ale nie moja w tym rola, aby ciebie sądzić. Działaj tak, jak ci dyktuje skrucha, a ja zgadzam się ze wszystkim.

— Moja córko, moja droga córko! — wołał chory. — Bóg ci to stokrotnie wynagrodzi. Teraz więc rozumiesz dlaczego życzyłem sobie, byś zachowała serce wolne od miłości. Musisz

wyrzec się szczęścia w małżeństwie. Wszystko zapisałem synowi i jego to wola, jeżeli ci cokolwiek odstąpi. Otrzymasz wprawdzie rentę i wyprawę. Twoja część po matce wynosi tylko dwa miliony i to jest twoją własnością, twoim zabezpieczeniem. Sama widzisz, że to za mało na odpowiednią, małżeńską partię.

Wtedy ona zaśmiała się mimo poważnej chwili i rzekła:

— No, to nie koniecznie wyjdę za mężczyznę, który będzie odpowiadał naszemu statusowi, a na to dwa miliony wystarczą zupełnie.

Popatrzył na nią badawczo.

— Flor! — rzekł — Ty coś ukrywasz przede mną! Opowiedziała mu wszystko, wszystko.

Książę milczał. Oczy jego przymknęły się, głowa spadła na poduszki, nie powiedział ani słowa. Flora przyglądała mu się uważnie.

— Ojcie! — krzyknęła z bólem — Ojcie, on jest tak synem bez ojca, tak jak twój syn. Jeżeli tylko chcesz, to wyrzeknę się i tej miłości.

Minęło parę minut. Oczy księcia otworzyły się.

— Dziecko moje! Straszna przebyłem walkę przed chwilą. Córka Olsunny kocha zwyczajnego szlachcica, odepchniętego przez ojca! Strasznie mną wstrząsnęło to wyznanie. Widzę w tym zasłużoną karę dla mnie, gdyż ja posiadałem miłość piastunki, dziewczęcia jeszcze niżej stojącego i ją nawet oszukałem. Moja miłość była nieczysta, twoja zaś przeciwnie. Podałaś mi swoją rękę i uczyniłaś ofiarę z siebie, by podnieść syna piastunki do wysokości swego brata. Byłoby okrucieństwem, gdybym chciał złamać twoje serce. Stoję nad grobem, tu się trzeba z czymś innym liczyć, jak z pełnym świeżym życiem... Jedno chcę powiedzieć." imię Olsunna nie śmie wymrzeć! Tradycje naszego rodu muszą być zachowane i rozpowszechnione. Jeżeli ty się staniesz nosicielką tego imienia, to masz obowiązek odpowiednie związki małżeńskie zawrzeć, a pierwszy twój syn będzie księciem Olsunna...

Znajdzie się zaś syn mój, wtedy on na mocy testamentu zostanie moim prawnym następcą.

W rękę notariusza znajduje się prośba do władz Hiszpanii, która ma działać, że brata twego uznają księciem. Spodziewam się tego...

Nie podlegałoby to nawet najmniejszej wątpliwości, gdybym mógł dłużej żyć i dawną piastunkę twoją odnaleźć i swoją uczynić żoną. Jeżeli jednak nie uznają tego wszystkiego, to sama zostaniesz dziedziczką Olsunny i masz swoim obowiązkom podołać. Jeżeli go uznają synem moim, wtedy wolno ci wyjść za mąż za ukochanego, naturalnie jeżeli wpierw udowodni, że jest człowiekiem honoru i rzeczywiście niewinnie odepchnięty został przez ojca.

Długą tę rozmowę przerywał często kaszel. Kiedy umilkł, uklękła Flora obok jego łóżka, zrosiła łzami bólu i radości zarazem jego ręce i wyłkała:

— Dzięki ci, stokrotne dzięki, mój kochany, dobry ojcie! Woli twojej stanie się zadość. Zapewniam cię przy tym, że Otto jest człowiekiem honoru. Proszę cię, pozwól mi go tobie przedstawić. Wybadaj go najpierw sam!

— Dobrze, moje dziecko! Teraz jednak zostaw mnie w spokoju, bo jestem bardzo zmęczony. Spodziewam się, że dłużej wytrzymam. Idź spać, Floro, życzę ci dobrej nocy. Proś Boga, by wszystko skierował ku dobremu i przebaczył winy twemu ojcu, który tak dużo, tak dużo nabroił!

Pożegnali się.

Flora nie mogła zasnąć. Rozdrażnienie jej było ogromne. Tak samo działo się z jej ukochanym. Dopiero nad rankiem zasnęła trochę i ocknęła się, gdy słońce już spory szmat drogi przewędrowało na niebie.

W godzinę później siedziała u ojca.

Nagle oboje usłyszeli kroki z podwórza i za chwilę zapukał ktoś do drzwi.

— Proszę wejść!

W drzwiach ukazał się mężczyzna olbrzymiej postaci. Był to niebywale przystojny mężczyzna, o głębokiej powadze osiadłej na czole, którą rozjaśniło jasne wejrzenie oka i przyjazny uśmiech pełnych ust.

— Przepraszam za śmiałość! — rzekł, ukłoniwszy się głęboko. — Mówiono mi, że w tym domu znajdę pacjenta.

— Do kogo pan przyszedł? — zapytała Flora.

— Nie wymieniono mi nazwiska, gdyż mój przyjaciela, który mnie przysłał, nie zna go.

Wtedy Flora zapytała:

— Ach proszę pana, kogo mam przyjemność widzieć przed sobą?

— Jestem Sternau!

— Aha, doktor Sternau! A to pan otrzymałeś telegram od przyjaciela!... Ale nie! Tak rychło to stać się nie mogło!

— Pewnie, że nie. Jestem właścicielem jachtu, który wczoraj tu przybił. Spotkałem się z przyjacielem zupełnie przypadkowo.

— Ależ to rzeczywiście dziwne. To palec Boży! — zawołała Flora. — Proszę, panie Sternau, usiąść sobie. Ja tymczasem rzecz całą objaśnię tatkowi.

Sternau usiadł. Flora opowiedziała ojcu o wszystkim. Ten popatrzył na lekarza dziwnym okiem, potem rzekł uśmiechając się słabo:

— To rzeczywiście dość szczególne. Bardzo jestem panu wdzięczny za to, że mnie pan odwiedziłeś. Ale sądzę, że mnie nie pomoże nawet sztuka najslynniejszego lekarza. Moja choroba posunęła się za daleko. Wszyscy lekarze mnie opuścili.

— Nasza sztuka i nauka słabe są w porównaniu z wolą bożą i siłą przyrody, to prawda. Ale Bóg daje nam często znak, którego winniśmy słuchać. Lekarz ma obowiązek powiększać swoją wiedzę, pomnażać swoje doświadczenie. Ale one też powinien pokładać nadzieję w Bogu i pomagać siłom natury rozwijać swoją zbawienną czynność. Wtedy i plony są godne.

Wspomniał nieco o swoich studiach i ogromny doświadczeniu, jakie zebrał w czasie swego krótkiego życia. Zakończył tak:

— Ja nie sądzę tak, jak pańscy poprzedni lekarze, że pan był chory na *phtisi*, to jest wychudnięcie, co wpłynęło bezpośrednio na utratę sił żywotnych...

— Nie? — zawołali oboje zdziwieni ogromnie.

— Tak sądzę, gdyż w pańskich oczach, brakuje pewnych oznak tej choroby. Proszę nawet, by mi było wolno zbadać pana.

— Słowa pańskie są śmiałe — rzekł książę. — Jeżeli popatrzeć w pańską twarz, nie podobna odmówić pańskiej prośbie.

Sternau rozpoczął badania.

Trwało ono dość długo i było wyjątkowo dokładne. Diagnoza wydawała się bardzo trudna, a pacjent musiał na wiele pytań odpowiedzieć. Wreszcie doszedł Sternau do pewnego rezultatu i rzekł:

— Zanim zaprosimy pańską córkę, pozwolę sobie zadać panu dyskretne pytanie. Proszę odpowiedzieć otwarcie i szczerze. Czy pan już kiedyś, miał chorobę weneryczną?

Długo wahał się zawstydzony Olsunna. Udał nawet oburzonego, wreszcie przyznał prawdę.

— Wobec bliskości śmierci byłoby naiwnością nie przyznać się, więc powiem panu, że podczas moich młodych lat stykałem się z pięknosciami, których zdrowie nie było bez zarzutu. Zwróciłem się nawet do swojego lekarza, który mnie uleczył w przeciągu paru dni, jednak tylko powierzchownie, co wnioskuje z pańskiego pytania.

— Pański domysł jest słuszny. Choroba ta nie została całkowicie uleczona, tylko weszła w ciało... wewnątrz. Zatrwała pańskie zdrowie, zniszczyła wszystkie szlachetne organy i przeszła w porę. Jest to słabość, która by pana mogła w krótkim czasie zmieść z tego świata. Choroba ta ma wszelkie symptomy wychudnięcia i dlatego pańscy lekarze leczyli pana jak suchotnika. Mogę tych panów uniewinnić, ale nie usprawiedliwić, gdyż tu chodzi o życie ludzkie.

Zadzwoił, weszła Flora. Książę wyciągnął ku niej rękę i zawołał:

— Chodź do mnie, moje dziecko. Ten lekarz przynosi mi nadzieję, mówi, że nie umrę tak wcześnie!

— Czy to prawda, mój panie?

— Spodziewam się tego, nawet jestem o tym przekonany — odparł skromnie.

Krzyknęła radośnie, schwyciła jego rękę i nim się spostrzegł, ucałowała ją głośno.

— Widzisz ojczulku, że w tym ręka boska — zawołała. — O panie Sternau, jakim szczęściem nas obdarowałeś!

Stanęli naprzeciwko siebie. I teraz przypomniała sobie słowa kochanka, iż Sternau do niej nadzwyczaj podobny. Zauważyła, że tak było rzeczywiście. Dziwne to było uczucie, które nią owładnęło. Byłaby tego wysokiego, pięknego mężczyznę w tej chwili ujęła w ramiona i ucałowała, nie mając nawet najmniejszego wyrzutu, iż popełnia to z niedorzeczności.

A on stał przed nią i zdawało mu się, że zna ją już dawno — dawno, już bardzo dobrze z nią żyje, jak brat z siostrą; może jej otworzyć swoje serce bez wahania, bo to jego... siostra.

— Dziękuję za wiarę z jaką przyjmuje pani moje słowa... Wyleczenie nastąpi, ale są tu pewne warunki. Czy możecie państwo zmienić okolicę. Nie znam stosunków państwa, a wiem, że taka zmiana miejsca połączona jest ze znacznymi kosztami.

— A prawda, pan nie znasz ani nas ani naszej sytuacji.

— Przyjaciół mój nie powiedział mi nic... Teraz zaś radzę opuścić Avranches. Bo ani tutejszy klimat ani źródła tutejsze nie przynoszą panu ulgi. Morskie powietrze nie jest dla pana. Polecam klimat umiarkowany, miejscowość nad rzeką, w pobliżu lasu i pól, dużo miejsca na przechadzki i radosny widok.

— Przechadzki? — zapytał Olsunna. — Mój Boże, ja przecież nie mogę nawet wywlec się z pokoju!

— Niech się pan o to nie troszczy. Dam panu lekarstwa, które wożę ze sobą. Za tydzień będzie pan miał siłę przejść kawał drogi bez przerwy. Pojedzie pan więc do... aha, wpadło mi na myśl! Czy był pan kiedy w okolicach Moguncji? Nie?... Niech więc pan tam się uda. Nie będę pytać o pańskie nazwisko, ale dam panu polecenie. Tam będzie zamek, którego mieszkańcy są moimi krewnymi i przyjmą pana z radością. Tam niech pan oczekuje na całkowity powrót do zdrowia. Lekarstwa, które panu dam, ma pan tymczasem zażywać dokładnie według tego, jak to zaznaczyłem na etykietce flaszeczki. Po przybyciu w tamte okolice proszę trzymać się recepty, którą panu zapiszę. Proste, lekkie pożywienie, przechadzki na ile będą pozwalały siły, wesoły umysł i unikanie wszelkich wzruszeń, ot wszystko co panu polecam, czy też nakazuję. Pańska słabość wyjdzie przez skórę. Potem używaj pan pilnie ciepłej kąpieli. Idę teraz przygotować lekarstwa.

— Ach, jestem jak nowonarodzony!

— A ja już nie wiem, co mam mówić ze szczęścia! — wołała Flora.

Uklękła przed ojcem, ujęła głowę jego w swoje ramiona i całowała ją niezliczone razy. Tymczasem Sternau wykorzystał sposobność i oddalił się po cichu. Na drodze zawołał na starego rybaka, by poszedł za nim.

Kiedy obudzili się z radosnego zachwytu, spostrzegli, iż lekarza nie było.

— On był za delikatny, by pozostać — rzekł Olsunna. — Poszedł po lekarstwo. Nie widziałem jeszcze lekarza, który by na mnie takie wywarł wrażenie, jak on.

Oczekiwali powrotu Sternaua.

Tymczasem gdzieś w niespełna godzinę wszedł stary rybak, przyniósł list i flaszeczkę zawiniętą w papier. Oddał to w ręce Flory.

— Lekarz polecił się łaskawym względem i przysłał list, a także lekarstwo. W tej chwili odbija od brzegu jego jacht. Słysząc wystrzał.

Rzeczywiście zagrzmiął wystrzał z działa.

Flora pospieszyła do okna i spostrzegła odbijający od brzegu jacht. Na tyle okrętu stał Sternau i powiewał chustką, żegnając się z mężczyzną stojącym na brzegu. Był to Otto Rodenstein.

Zdawało się jej, jak gdyby kto ją zranił w serce.

— Dłużej nie mógł widocznie pozostać, a o tym nam nie powiedział, by uniknąć podziękowań.

W kopercie była recepta, dwa zapieczętowane listy i otwarty dopisek Sternaua, który brzmiał:

„Proszę mi wybaczyć, że nie oznajmiłem rychłej potrzeby mojego odjazdu. Zachodzą okoliczności, które nie pozwalają mi zwlekać ani godziny. Również chciałem zaoszczędzić możliwych wzruszeń, które mogłyby nastąpić przy pożegnaniu. Mimo to, niech pan będzie dobrej myśli i wierzy w wyzdrowienie. Proszę zażywać z tej flaszki tak, jak to poleciłem, a po tygodniu będziesz pan mógł przedsięwziąć podróż do Kreuznach. Tam przyjmą pana z otwartymi ramionami, skoro zobaczą tylko załączone listy.

Skoro pan tam odpocznie i rozgości się, proszę, by kazał pan przygotować sobie środki lekarskie wedle załączonej recepty i wtedy wyzdrowiejesz pan zupełnie. Na innej pytania da panu odpowiedź mój przyjaciel Otto Rodenstein, któremu podałem jak najdokładniejsze wskazówki i który na łaskawe pańskie zaproszenie zjawi się jutro „.

List skończył się zwykłymi grzecznościami.

— Są tu jeszcze listy, jeden adresowany do pani Sternau, drugi do nadleśniczego rotmistrza Rodenstein w Kreuznach. Co za niespodzianka! Ten rotmistrz to... ojciec Ottona!

— Naprawdę? — zapytał Olsunna zdziwiony. — Czy to nie palec boży również? Bo poznamy się z ojcem twego ukochanego, moja córko i tak będziemy w stanie ocenić jego wartość!

Wieczorem księżę po południowym zażyciu leku i długiej drzemce był tak silny, że chciał wstawać z łóża.

— Ach ten Sternau, ten Sternau, on mnie wskrzesił! Co to za czarodziej jakiś!

— A, tatku, czy nie spostrzegłeś jaki on jest podobny do mnie?

— Rzeczywiście, to dziwne. Właśnie tak samo wyglądałem w młodości. Natura pozwala sobie czasem na dziwne wybryki. Zdawało mi się, jakbym stał sam przed sobą. Mój dawny głos, moje ruchy. Ale patrz, świeci słońce, zawołaj służącego, niech mnie zaprowadzi na ławkę. Uparł się. Posadzono go przed rybacką chatą skąd patrzył na dalekie morze.

Szczęśliwi oboje, milczeli. Naraz księżę popatrzył przed siebie na drogę i... zbladł.

— Co ci ojciec jest?

— Patrz tam!

— Stara Cyganka! — rzekła. — Czegóż się tak trwożysz?

— O Madonno! To Zarba, ta baba straszliwa!

— Odwagi mój ojciec! Jestem przy tobie. Księżę Olsunna nie powinien się obawiać jakiegś tam włóczęgi. Uspokój się. Ja z nią za ciebie pogadam!

Była to rzeczywiście Zarba.

Nie miała pojęcia o tym, że księżę znajduje się w tym mieście. Przybyła tu z całkiem innej przyczyny. Chciała odwiedzić Gabrillona, strażnika latarni, który był powiernikiem jej tajemnicy.

Wzrok jej padł na siedzących przed chatką i mimo woli przystanąła. Poznała księcia i jego córkę! Wyraz radości i zadośćuczynienia zjawił się na jej srodze pomarszczonym obliczu. Nie namyślając się długo, skierowała swoje kroki w stronę domu, stanęła tu w pokornej postawie, wyciągnęła rękę i rzekła do Flory:

— Proszę o małe wsparcie dla biednej Cyganki, piękna moja, jasna panno!

Flora dała jej pięciofrankówkę. Nie dała po sobie poznać, iż zna Cygankę, ojciec jej zaś przymrużył na pół oczy i odwrócił się, jednak z trudem udawał obojętnego.

— Dziękuję — rzekła Zarba. — Czy mam powróżyć, piękna panienczko?

— Nie trzeba!

— Nie? Dlaczegoż nie? Jestem Zarba, królowa Gitanów. Potrafię zaglądnąć w przeszłość i przyszłość. Proszę mi jednak dać rączkę!

— Dobrze, dobrze! Przeszłość jest mi znana, a co przyniesie przyszłość — nie ciekawi mnie!

— Jaka duma! — zaśmiała się Cyganka. — Ale może też będzie przyjemne dla tego pana powróżyć!

I nie czekając, chwyciła jego rękę i trzymała tak silnie, że chory nie mógł jej wyrwać. Udawała, jakoby się przyglądała liniom ręki, potem rzekła:

— Co widzę! Ciemna przeszłość, życie pełne niewierności, fałszu, obłudy, oszustwa. W życiu...

— Stój! — zawołała Flora ostrym głosem. — Milcz stara! Twoje gusła nie są na miejscu! Nie chcę nic więcej słyszeć!

— O gdyby też jasna panienska raczyła posłuchać, to by się zdziwiła...

— Dziwiłaby się twojej natarczywości i bezczelności, stara! Znam cię i wiem czego pragniesz!

— Wie o tym panienska? Wyczytałam z tej ręki o istnieniu braciszka, którego nie można odnaleźć. O tak moja panno. Ta zuchwała i uparta Cyganka powie tobie, jakiego masz ojca! Przekleństwo idzie za nim w ślad, gdyż on...

— Milcz! U mnie nie ma wartości mściwość! Chcesz dziecko oderwać od ojca. Swoją obecnością chcesz go wpędzić w chorobę i do grobu. Chowasz syna, by ojciec za nim ginął. Jesteś potworem! Kto nie umie przebaczać, jest diabłem! Zabieraj się, stara! Nie masz sądu nad nikim, sama będziesz osądzona!

Stała przed Cyganką z błyszczącymi od gniewu oczyma. To był chłodny obrażający ton. Dała znak służącemu:

— Precz z tą kobietą!

Ten schwycił babę za rękę i wyprowadził z podwórza. Nie broniła się. Obróciła się jeszcze raz i zawołała z piekielnym uśmiechem:

— Nigdy, przenigdy go nie znajdziecie, tego syna książęcego! To moja zemsta!

Książę był wzruszony.

— O to furia, nie kobieta! — jęknął. — Ona wie, gdzie on się znajduje. Sądzę, że gdybyśmy dobrze się z nią obeszli, to może powiedziałyby, gdzie mój syn się znajduje.

— Widzisz ojcze, że dla niej uprzejmość nie ma żadnego znaczenia! Czy ta kobieta ma panować nad księciem Olsunną?... Nie ojcze! Od kiedy mi wyjawilesz przyczynę twojej troski, mam święty obowiązek uwolnić cię od niej. Bóg jest dobrotliwy. Wyznaczy drogę, którą twój syn, a mój brat powróci do nas. Jeżeli będzie tego trzeba, to i władze zdołają Cygankę zmusić do wyjawienia tajemnicy.

— Co za wspaniała myśl! — zawołał chory z radością. — Twoja stanowczość wlewa mi nadzieję w serce, tak samo jak ten Sternau zdrowie... Ale patrz, nadchodzi jakiś gość!

Był to Otto Rodenstein.

Nie miał dotychczas pojęcia o wysokim statusie społecznym, jaki posiadała jego ukochana. Widział wprawdzie jak służący w liberii wyprowadził Cygankę, ale nie sądził, że Flora jest jego chlebodawczynią. Oczekiwał z pewną ciekawością tej chwili, w której miał poznać ojca ukochanej.

Wyszła naprzeciw niego, wyciągając doń ramiona.

— Witaj! — zawołała radośnie. — Przychodzisz w dobrą godzinę i ojciec będzie ci zobowiązany.

Oczy hrabiego spoglądały badawczo na młodzieńca, który z miną szlachcica i artysty zarazem zbliżył się doń, a skłoniwszy grzecznie przemówił:

— Cieszę się wielce, że mogę pana przywitać. Imię moje zdaje się, już panu znane. Najgorętszym moim życzeniem będzie zjednać sobie pana względy.

Powierzchnowość Ottona musiała widocznie dobre uczynić wrażenie na księciu. Uprzejmie zaprosił młodzieńca, by usiadł koło niego.

Rozpoczęła się rozmowa:

— Ojciec był bardzo chory, czuje się jednak znacznie lepiej od kiedy Sternau się u nas zjawił.

— O tak — dorzucił żywo książę. — Już sama powierzchowność tego człowieka, jego wielka pewność siebie czyni dobre wrażenie, daje choremu otuchę. Panu zawdzięczam, iż go w ogóle poznałem. Jak słyszę jest on pańskim przyjacielem.

— Jedynym, którego mam, mój panie. Wystarcza mi jednak za wielu innych, których mógłbym mieć. Drogi mojego życia nie pozwalały mi zawrzeć przyjaźni z kimś innym.

— Słyszałem już, iż pan lubisz przebywać w samotności — rzekł książę, przenosząc łagodny wzrok z Ottona na Florę — i słusznie pan czynisz. Samotność ma swoje czary... Ale nie odchodźmy od tematu. Bardzo mnie zasmuciło, że Sternau odjechał tak nagle, nie pożegnawszy się z nami nawet. Z początku byłem nawet przestraszony jego nagłym wyjazdem.

— Proszę uwzględnić jego wyjątkową sytuację. To ona jest nawet przyczyną tej ogromnie kosztownej, podróży morskiej. On nawet mnie ledwie tylko godzinę był w stanie poświęcić. Ale co do lekarstw, może być pan tego pewnym, że przyniosą oczekiwany skutek. On nigdy pacjenta nie zwodzi marną nadzieją. Nie widziałem nigdy takiego sumiennego i prawdomównego lekarza. Jest jednym z najlepszych chirurgów naszych czasów, a przy tym sprzyja mu wyjątkowe szczęście.

— Mówił mi też o listach polecających, które miał panu napisać na drogę.

— Już je otrzymałem. Jeden do jego matki, drugi do mego ojca.

— A tak. Do ojca, z którym pan nie utrzymujesz kontaktów.

— Niestety. Nie mogę jednak powiedzieć, że to z mojej winy. Poszedłem tylko za głosem mego serca. Sądzę, że ze strony ojca spotkała mnie wielka i niezasłużona kara. Ale ja mam wielką chęć jak najprędzej się z nim pojednać. Kocham go całą duszą. Sztuka przyniosła mi wolną od troski egzystencję. Teraz jednak porzuciłbym i sztukę, by rzucić się tylko w ramiona drogiego ojca.

Oko jego pałało blaskiem dziecinnej miłości, zamglonym cokolwiek łąą tęsknoty.

Kiedy tak siedział z nimi, ten owładnięty duchem artysty udręczony młodzieniec, z rzęs Flory potoczyła się wielka, jasna łąa. Książę też był wzruszony. Wyciągnął doń rękę i rzekł:

— Bądź pan dobrej myśli. Przeczuwam, że jeszcze będzie pan szczęśliwym, a jeśli nie umrę, to sądzą, iż ja właśnie doprowadzę do pojednania ojca z synem. On wprawdzie, zdaje mi się jest dość surowy, ale nie okrutny.

Otto opowiadał całą rzecz dokładnie. Opowiadał o ojcu tak mile, że książę nie dziwił się córce, iż go mogła pokochać.

— A czy pan postarasz się z listów Sternaua skorzystać? — zapytał wreszcie Otto.

— O tak. Pojadę do Kreuznach nie tylko dla mojego zdrowia, ale i ze względu na pana. Będę musiał zdobyć się na wielką odwagę, by pańskiego ojca udobruchać.

Słowa te napełniły młodzieńca niewymownym szczęściem. Poznał, że pozyskał ojca ukochanej.

Książę kazał się niebawem zaprowadzić do komnaty, co było znakiem do pożegnania. Otto wychodząc otrzymał zaproszenie do dalszych odwiedzin.

Czuł się bardzo szczęśliwym. Szukał samotności i udał się nad morze w poblize latarni morskiej.

Usiadł na skale i popadł w chorobę zakochanych: marzył i malował sobie obrazy cichego szczęścia, które go miało czekać w życiu z Florą.

Naraz obudziły go z zadumy dziwne jakieś dźwięki. Czy wyszły z ludzkiej krtani? Były takie smutne, żałosne, a jednak spokojne i łagodne. O znowu!

Tak, to był człowiek, który mówił. Nie można było zrozumieć pojedynczych słów. Powtarzały się ciągle. Był to ciągle ten sam żałosny ton.

Otto poczuł, że coś nim wstrząsnęło. Człowiek, który wydawał takie dźwięki, z całą pewnością nie mógł być szczęśliwy, a może to ktoś potrzebujący pomocy?

W tym nastroju Otto nie mógł być obojętnym na nieszczęście innych. Wstał, udał się do wieży. Drzwi wejściowe były otwarte, wszedł.

Wieża miała cztery drewniane ściany, które były przybite do wysokich masztów okrętowych. Wąskie, kręcone schody prowadziły na górę. Dostał się do kryjówki podobnej na izbę. Drzwi były zaryglowane i to właśnie zza nich słychać było te przeraźliwe tony, które przed chwilą dochodziły do niego. Zapukał i w tej chwili tajemniczy mówca umilkł.

Zapukał znowu i słyszał zbliżające się kroki. Odsunięto rygiel, drzwi się otworzyły. W nich stał mężczyzna smukły i wysoki, ale postaci pochylonej. Jego włosy i broda były jak śnieg białe, twarz miała barwę białą, matowo błyszczącą.

— Przepraszam pana, że przeszkadzam — jął mówić Otto po francusku, gdyż był we Francji. — Słyszałem, że ktoś przemawiał głosem żałosnym, a ponieważ sądziłem, że...

Stał pośród swojej przemowy. Dwoje oczu, które w nim utkwily bez wyrazu i osłupiały, zmieszały go. Takiej twarzy nie mógł przecież mieć ten wyglądający na starca mężczyzna. A oczy miał martwe, bez znaku wewnętrznego życia. Otto przyszedł do siebie i zapytał:

— Czy jest pan może nieszczęśliwy? Czy potrzebuje pan pomocy?

Obcy stał ciągle nieporuszenie koło drzwi, które przytrzymał ręką i patrzył nań bezdusznie. Wreszcie otworzyły się jego blade bezbarwne wargi i wyrzekł go hiszpańsku:

— Jestem wierny, pocziwy Alimpo.

Był to ten sam ton. Otto przekonał się, że ma do czynienia z obłąkanym człowiekiem, ale że nie jest on niebezpieczny. Dlatego jął pytać dalej:

— Czy jesteś mieszkańcem wieży?

— Jestem wierny, pocziwy Alimpo.

Tak, to było obłąkanie. Otto poczuł strach, jednak mówił dalej:

— Prosiłbym o pozwolenie wyjścia na wieżę. Stamtąd bowiem rozciąga się obszerny widok na morze.

Nieznamomy mężczyzna nie zrozumiał widocznie ani słowa, gdyż powtórzył znowu:

— Jestem wierny, pocziwy Alimpo.

Otto zrobił krok, obłąkany odstąpił. Naraz dały się słyszeć kroki z góry. Stąd bowiem prowadziły schody w górę. Nadszedł mężczyzna w ubraniu żeglarza. Broda kudłata zakrywała dolną część jego twarzy. Patrzył gniewnie na przybysza i zapytał tonem bardzo gburowatym:

— Czego pan tu chcesz? Kto panu pozwolił wejść tutaj?

Był to Gabrillon. Otto nie był przyzwyczajony do takiego tonu, rzekł więc spokojnie, lecz bardzo stanowczo:

— Proszę, nie mówić do mnie tak grubiańskim tonem! Powiedz mi pan raczej, kim jesteś?

— Czy jestem grubianinem, czy nie, to moja rzecz! A kim jestem — to pana nic nie obchodzi! — odpowiedział strażnik wieży.

— A może mnie jednak obchodzi! Pytałem pana, kim pan jesteś?

— Jestem strażnikiem latarni!

— Dobrze. Chciałbym więc otrzymać zezwolenie wejść na wieżę.

— Nie można!

— Dlaczego?

— Bo nie można. Nie wolno!

— Kto zakazał?

Gabrillon namyślił się. Władze bowiem dotychczas nie zakazały wychodzić na wieżę.

— Nie wolno, zakazano i basta! — odparł uparcie.

— Ja jednak koniecznie chcę dowiedzieć się, od kogo pochodzi zakaz! — rzekł Otto, któremu zachowanie Gabrillona wydało się bardzo podejrzanym.

— Jestem wierny, poczciwy Alimpo! — odezwał się obłąkany.

Gabrillon przeląkł się tak, iż nawet przybysz mógł to ujrzyć. Dlatego zawołał:

— Zabieraj się stary głupcze, stul głębę ze swoimi głupimi bredniami!

Chwycił chorego za ramię i wypchnął za drzwi. Potem zwróciwszy się do Ottona rzekł:

— No, powiedziałem już raz, iż dalej nie wolno iść, czego pan tutaj jeszcze szuka?

— Chcę koniecznie wiedzieć, od kogo ten zakaz pochodzi.

— Niech się pan o tym dowie później. Nie mam czasu wdawać się w gadanie z pierwszym lepszym, kto mnie tutaj napadnie. Idź pan sobie precz!

Przystąpił groźnie do Ottona.

Ten nie miał chęci wdawać się w bójkę, opuścił więc wieżę, której drzwi z trzaskiem się za nim zamknęły.

Na wybrzeżu myślał ciągle o zachowaniu się Gabrillona. Była w tym jakaś tajemnica. Im więcej na tym myślał, tym bardziej utrwalało się w nim to przekonanie. Postanowił więc zdobyć sobie prawną drogą wejście na wieżę i udał się w tym celu do mera.

Mer przyjął go uprzejmie.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał urzędnik.

— Małym wyjaśnieniem. Kto zakazał wstępu na wieżę?

— O ile wiem, nikt! — brzmiała odpowiedź.

— A, to w takim razie, pan powinien wiedzieć o tym, co się tam zdarzyło. Gabrillon zabrania wstępu.

— Aha, Gabrillon! To dziwny człowiek! To pewnego rodzaju mizantrop, a może ludożerca! Chce, by go zostawiono w spokoju!

— A na cóż mu spokój, kiedy on i tak nie ma nic do roboty. Może ukrywa u siebie coś niezgodnego z prawem. Może właśnie tego broni on wszystkimi siłami! Bo przecież brać napiwki przez takich, jak on ludzi należy raczej do rzeczy zwyczajnych i codzienności. On mnie zaś z takim uporem odprawiał, że muszę go podejrzewać. Powiedział, że wstęp wzbroniony, nie objaśniając, od kogo pochodzi zakaz. Musiałem się wynosić, gdyż nie zamierzałem rozpocząć bójki z tym człowiekiem.

— Tak? A to trochę za wiele. Przywykliśmy wprawdzie pozostawiać Gabrillonowi wolną rękę, ale jeżeli ma tam obrażać gości odwiedzających nasze wody, to trochę za dużo. Zaraz polecę jednemu z moich urzędników udać się na wieżę i zakazać Gabrillonowi podobnych grubiaństw.

— Nie oczekiwałem innego wyroku, *monsieur* i dziękuję serdecznie. Proszę mi jednak pozwolić być obecnym przy wykonywaniu tego wyroku. Będzie to dla mnie rodzajem zadośćuczynienia.

— Ależ proszę bardzo. Żandarm siedzący w przedpokoju może w tej chwili udać się z panem.

Malarz wspomniał też o chorym nieznanym na wieży, nie otrzymał jednak od mera pożądanego wyjaśnienia.

Wyszedł z żandarmem, któremu na wstępie dał pięciofrankówkę jako napiwek. Żandarm takich wysokich napiwków widocznie jeszcze nie widział, zdziwił się, nisko skłonił, zrobił minę, po której można było wnosić, że obowiązek swój wykona z ogromną gorliwością.

— Chodźmy, przezacny panie! My temu Gabrillonowi pokazemy, jak się ma obchodzić z panami tak wysoce wspaniałomyślnymi!

— Ja pójdę naprzód, pan zaczekasz przy schodach — rzekł malarz.

Drzwi były zamknięte, zadzwonił więc i po jakimś czasie drzwi się otwały. Strażnik poznawszy Ottona zawołał gniewnie:

— Pan znowu tutaj? Tego już za dużo! Zabieraj się stąd, do diabła!

Chciał zatrzasać drzwi, ale Otto trzymał je mocno.

— Otwórz pan, chcę wyjść na wieżę!

— Już powiedziałem panu, że nie wolno! Czy pan jesteś może głuchy?

— A ja panu też już powiedziałem, iż pragnę wiedzieć, kto wydał ten zakaz!

— To pana nic nie obchodzi. Precz!

Chciał przemocą zamknąć drzwi, ale wtem nadszedł żandarm. Słyszał całą rozmowę.

— Cóż to znowu, Gabrillon? Kto ci zakazał przyjmować odwiedzin?

Strażnik odstąpił na widok władzy.

— Czy mam pozwolić, by mi pierwszy lepszy znajda przeszkadzał i spokój zakłócał?

— Czyż ten pan wygląda na jakiegoś znajdę, ty gburze! — zawołał żandarm. — Zaraz cię aresztuję, jeżeli usłyszę jeszcze jedno podobne słówko! Mam ci na rozkaz pana mera oznajmić, że zwiedzanie wieży nie jest zakazane. Jeżeli się jeszcze raz coś podobnego powtórzy, odbierzemy ci latarnię. Rozumiesz? Ten pan nam oznajmi, jak ty się będziesz zachowywać. Uważaj więc!

Żandarm zszedł po tych słowach z miną zwycięskiego bohatera. Otto poszedł naprzód. Strażnik nie pozdrowił go. Spiesznym krokiem udał się w górę po schodach, udając że go przybysz nic nie obchodzi.

Malarz postępował za nim. Skoro przybył do drugiej części wieży, ujrzał starą gospodynię, która nań patrzyła wzrokiem krwiożerczego krokodyla. Trzecie piętro wieży był rozdzielony na dwie małe komnaty. Jedna z nich była zamknięta, ale Otto słyszał dokładnie głos obłąkanego i żalosne słowa:

— Jestem wierny, poczciwy Alimpo.

Teraz wiedział Otto, że Gabrillon pospieszył tak szybko w tym celu, by obłąkanego zamknąć. Strażnik stał w drugim pomieszczeniu i patrzył wzrokiem ponurym na Ottona, czy ten aby nie zwraca uwagi na to, co słyszy.

— Dlaczego zamykasz pan chorego? — zapytał.

— To pana wcale nie obchodzi!

— Nie masz pan może czystego sumienia co do tego chorego?

— Panie! — wrzasnęła Gabrillon. — Co cię obchodzi moja rodzina? Muszę panu pozwolić wejść na ganek latarni, ale skoro mnie pan będzie obrażał, zrzucę go na dół po schodach!

— Pan mnie? — zapytał Otto lekceważąco. — Jeżeli by mnie nie mierziło, już byś pan leżał na dole!

Zdązał dalej i miał jeszcze przejść cztery pomieszczenia, zanim dostał się do aparatu lampowego. Widok stąd był doprawdy wspaniały. Jednak myśli jego były przy obłąkanym, który wywarł na nim głębokie wrażenie. Nie było wątpliwości, iż tu się kryła jakaś głęboka tajemnica. Rozmyślał nad tym i doszedł do przekonania, iż go ta sprawa nic nie obchodzi.

Schodząc z wieży spotkał Gabrillona na tym samym miejscu. Nie rzucił nań okiem, nie dał mu podarku.

Myśl o biednym obłąkanym ciągle go prześladowała. W nocy śniło mu się, iż sam był obłąkanym i że go Gabrillon zrzuca z wieży. Walczył ogromnie z tymi zwidami i ocknął się cały skąpany potem.

Po południu udał się w odwiedzinę do swej ukochanej. Wybiegła mu na spotkanie.

— Witaj, Ottonie. Ojciec czuje się jeszcze lepiej niż wczoraj. Już patrzyliśmy, czy nie nadchodzisz.

— O, gdybym o tym wiedział, dawno bym już przybył.

Pocałowawszy się w przedśionku, weszli do pokoju. Oko młodzieńca błyszczało jeszcze żarem rozkoszy tej chwili, a jej lice rumieniło się jak wiosenna róża.

Książę spostrzegł to, ale udał, że o niczym nie wie.

— Witaj, panie Rodenstein! Oczekiwałem pana. Chcę mu powiedzieć coś bardzo dobrego. A więc po pierwsze: zostaniesz pan z nami na skromnej naszej uczcie. Wprawdzie towarzystwo chorego nie należy do przyjemności, ale wypełni tę lukę moja Flora. A po wtóre: czuję się dzisiaj daleko zdrowszym, niż wczoraj. Trunek pana Sternaua działa cuda. Składa się z kwiatu daktylowego, koki i quebracho; tak sędzę. Czuję się taki rześki, ochoczy, że nie wahałbym się podołać podróży pieszej lub konnej do samego Petersburga albo i dalej.

Było wzruszające słyszeć tego chudego mężczyznę, przemawiającego tymi słowami. Otto schwycił jego rękę, przyciągnął do swoich ust i przemówił drżącym głosem:

— Wierz mi pan, że ogromnie mnie cieszy pańskie wyzdrowienie! Jestem prawie zazdrosny, że to Sternau we wszystkim się przyczynił do pańskiego wyzdrowienia, a ja ani troszeczkę!

— Możesz się pan przyczynić — rzekł książę. — Uprzejme i miłe towarzystwo bardzo odżywczo działa na chorego. Skoro moje wyzdrowienie postępować będzie takimi wielkimi krokami, to spodziewam się, spełni się słowo Sternaua i będę mógł wkrótce wyruszyć w drogę. A pan mi będziesz towarzyszył, jeżeli mu czas na to pozwala.

— Oczywiście. Wreszcie udam się do mego ojca, a także bardzo by mnie to uspokoiło, gdybym wiedział, że będzie pan przez cały czas podróży w dobrych rękach.

Tymczasem nadeszła pora posiłku.

Teraz poznał Otto, że ten służący w liberii, pracował właśnie u nich. Byli więc bardzo majętni. Naczynie stołowe składało się z bogatej porcelany, srebrnych łyżek, widelcy i noży. A przy tym wszystkie posiadały rodowy herb. Czy śnił?

Zasiedli do stołu.

Kiedy malarz rozwinął serwetę, omal jej ze strachu nie opuścił na ziemię. Była bowiem naznaczona książęcym herbem, pod którą widniały litery E. O. To znaczyło naturalnie Eusebio de Olsunna, o czym on nie miał jeszcze pojęcia.

Książę i córka widzieli to i napawali się po kryjomu jego zakłopotaniem.

Wkrótce jednak Otto opamiętał się i uspokoił myślą, że ojciec jego ukochanej może jest tylko urzędnikiem jakiegoś wysokiego dostojnika.

Książę jadł z widocznym apetytem. Zdawało się, że jego straszny kaszel zupełnie ustąpił.

— Sternau jest czarodziejem — rzekł Olsunna. — O, gdyby każde moje życzenie, które mam dla niego było żaglem, wtedy by szczęśliwie mógł dopłynąć na dalekie morza. Zazdroszczę jego rodzicom. Taki syn jest szczęściem, którego wielkość tylko ojciec i matka odczuć są w stanie.

— Jego ojciec niestety dawno umarł — zauważył Otto. — Był profesorem, uczonym człowiekiem, kochał żonę i dziecko swoje ponad wszystko. Poznał swoją żonę w Hiszpanii.

— W Hiszpanii?

— Tak, był tam przez jakiś czas nauczycielem w znakomitym domu, ona zaś wychowawczynią.

Książę nasłuchiwał uważnie. Flora patrzyła zdziwiona na mówiącego.

— W którym domu ona była guwernantką? — zapytał książę, nie przeczuwając wcale, jak blisko był odkrycia sprawy, która go tak wielce zajmowała.

— Oboje byli równocześnie w Saragossie, u bankiera... hm, wypadło mi z głowy jego nazwisko.

Książę odłożył nóż. Oczy jego otworzyły się, a po jego bladym obliczu przeciągnęła fala krwi.

— Ojcie! — zawołała Flora, przestrzegając, chociaż sama była wzruszona głęboko. — Miej się na baczności!

— Daj mi spokój, dziecko! Mam siły aż nadto! — i głosem pełnym oczekiwania, głosem nienaturalnym, jękając się ochryple zapytał:

— Czy nie nazywał się ten bankier przypadkiem Salmonno?

— Salmonno, tak, Salmonno! Ale, mój panie, co się stało? — zawołał przerażony.

Olsunna opadł na krzesło. Zdawało się, że cała krew i życie uszło z niego. Flora podskoczyła i ujęła ojca za szyję.

— Tatku, mój tatku! — zawołała. — Ach, wiedziałam o tym! Obudź się tatku! Słyszysz mnie! To ja, twoja Flora!

Przycisnęła jego głowę do siebie. I Otto przyskoczył, schwyciwszy kryształową karafkę z wodą. Ale nie trzeba było pomocy, książę bowiem otworzył oczy, rzucił dookoła nieobecny wzrokiem, ścisnął córkę za rękę i rzekł:

— Nie lękaj się moje dziecko! Nie zemdlałem. To fala szczęścia i rozkoszy uderzyła we mnie z taką gwałtownością. Ale to jeszcze nie cała wiadomość; muszę dowiedzieć się reszty. Czy wiadome są panu dalsze losy pani Sternau? Czy jej posada u Salmonny była ostatnią?

— Nie, zmieniła swoją pracę. Została na krótki czas wychowawczynią księżniczki Flory, córki Olsunny.

Książę chwycił się obu rękami za głowę.

— Jakie było jej panieńskie nazwisko?

— Walser.

— Flora! Dziecko! Dziecko!

Rozłożył ramiona, krzycząc radośnie. Flora upadła mu na piersi. Oboje płakali jak dzieci. Otto nie mógł zrozumieć całej sprawy. Przystąpił bliżej, by w razie potrzeby podeprzeć księcia.

Temu płynęły rześiste łzy.

— Ocalony, zbawiony wreszcie! O mój dobry, miłosierny Boże, — jakże ci jestem wdzięczny! Najpierw posyłasz mi zbawcę na chorobę ciała, a już obok stoi drugi zwiastun, który mojemu sercu przynosi ulgę.

Położył rękę na ramieniu Ottona.

— Wszystko to rzeczywiście tak, jak mi pan opowiedziałeś? — zapytał.

— Usiądź sobie ojczy! Połóż się, to za dużo dla ciebie!

— Nie, stojąc chcę wysłuchać wszystkiego. Stojąc, a potem — ha, niech upadnę. To upadek w największe szczęście i wiem, że od tego nie umrę. Panie Rodenstein, nic pan nie pojmiesz i nie rozumiesz, ale dowiesz się o tym ode mnie. Stoimy w chwili takiej, która nam może przynieść śmierć lub życie. Jedno tylko wiem: albo się spełnią moje nadzieje, słabo mi, chyba umieram!

— Mój panie — prosił Otto zatrwożony. — Odłóżmy to na później. Widzę, jaka burza wstrząsnęła pańskim umysłem. Później, później odpowiem na pańskie pytania.

— Nie, nie! Mógłbym umrzeć z niecierpliwości. Mów pan, na Boga. Błagam! Stoi pan przede mną jak zbawca, który jest mi w stanie otworzyć niebo. Nie zapomnę panu tego nigdy, przenigdy. Powiedz pan, ma pani Sternau więcej dzieci?

— Tylko dwoje, syna i córkę. Tylko tych dwoje miała. Doktor Sternau jest znacznie starszy od swojej siostry. Wiem dokładnie, ile ma lat. Dawaliśmy sobie na swoje urodziny nawzajem upominki. Urodził się dwudziestego marca i ma teraz dwadzieścia osiem lat.

— To jest on! To jest on! — zawołał książę radośnie — A teraz sobie usiądę.

Rękę mu opadły i głosem cichym, zamierającym, dodał:

— Tak, usiądę sobie. Jestem zmęczony, osłabiony, o Boże, jestem...

Zamknął oczy i padł, ale nie na ziemię, gdyż Otto go podtrzymał.

— Myślałam o tym — wołała Flora płacząc z radości i z troski o ojca. — To może go zabić!

— Nie, on żyje! — rzekł Otto. — Moja ręka na jego sercu wyczuwa puls. Biję słabo, ale dokładnie. Chodź, położymy go na sofie!

Zaniósł go na sofę, ułożył na poduszkach. Oboje przy nim uklękli. Flora chwyciła jedną ręką zemdłego ojca, a drugą objęła szyję ukochanego. Łkając, złożyła swoją głowę na pierś młodzieńca i rzekła:

— Ottonie, drogi Ottonie, co za nowina! Szczęście nam przyniosłeś. Dowiesz się o całej zagadce. Ale potem mi jedną rzecz wybaczysz? Muszę cię prosić o wybaczenie wielkiego grzechu!

— No, no, grzech będzie mały, tylko twoja troska jest wielka! Tak klęczeli jakiś czas, dopóki książę nie przyszedł do siebie.

Otworzył oczy, spostrzegł ich oboje ręką w rękę klęczących i rzekł z promieniem radości w obliczu:

— Czy marzyłem, tak Floro? Toż to była radość! Nie obawiaj się, moje dziecko, ona mi nie zaszkodzi. Muszę żyć, by dokonać swego dzieła. Tak muszę żyć, żyć dla niego i... dla ciebie!

Wyprostował się, wstał. Wyśmienite jadlo stało jeszcze w drogich naczyniach, ale nikt o nim nie myślał. Olsunna patrzył przez okno na morze.

— Dziecko moje, widzisz jak to wszechmocny wysłuchał nas.

Cóż nam uczynić może zemsta tej Cyganki?

— Tak cudnie wszystko się złożyło! Szukaliśmy go i oto mamy go przed swoimi oczyma. Był tutaj.

— Tak jest, był u nas. Nie spodziewaliśmy się takiego szczęścia. Ale czy serce mi nie drżało, gdy go zobaczyłem? Czyż jego wyniosła, bohaterska postać nie napawała mnie niewypowiedzianą dumą? To był mój dawny wizerunek. A on jest czystszy i szlachetniejszy niż ja byłem niegdyś.

— A nie powiedziałam, że go muszę lubić? Chciałam go przycisnąć do siebie i ucałować, kiedy tak pewny siebie i dumny, a jednak miły, ujmujący przemawiał do nas.

W swoim szczęściu zapomniała o należytej przy ojcu przyzwoitości i zwracając się do Ottona rzekła:

— Nie gniewaj się mój miły, że go chciałam uściskać i ucałować, bo to nie jest obcy człowiek, to mój, to mój... o tatku, powiedz mu sam! Ja tego pięknego słowa nie mogłabym nigdy wypowiedzieć!

— Tak, ja mu powiem. Panie Rodenstein, Flora mówi o swoim bracie, o moim synu.

Przy tych słowach promieniało jego oblicze radością i dumą.

— Ma pan syna? — zapytał Otto.

— Ach, pytaj pan, pytaj, pytaj pan ciągle, a ja pragnę ciągle na to pytanie odpowiadać. Jakże chętnie czynię to! Jestem zeń dumny, bardzo dumny jestem z niego! A więc pytaj, mój kochany panie Rodenstein!

Mój kochany panie Rodenstein! Jakże mile brzmiały dla ucha artysty te słowa. Nie myślał o tym, że popełni niedyskrecję i pytał dalej:

— Gdzie jest ten pański syn?

— Na morzu.

— Jest więc żeglarzem?

— Nie, jest w podróży, a ona ma podobno bardzo wielkie znaczenie, jak to mi pan sam wczoraj powiedział.

Twarz Ottona wyrażała ogromne pytanie. A tu niedawno śmiertelnie chory człowiek śmiał się do rozpuku i rzekł:

— Przecież o nim to obecnie mówiliśmy. Pan go przecież widział i z nim rozmawiał. Pan go sam posłał do mnie, jeżeli pan sobie tylko raczysz przypominać!

— Ach, pan mówi o doktorze Sternaule! — odparł malarz, niejako poznając, że książę fantazjuje w gorączce.

— Tak jest, o panu Sternaule, moim synu. Otto rzucił lęklwym wzrokiem na Florę.

— Ależ ja o tym nic nie wiem! — zawołał.

— I myśmy o tym nie wiedzieli — rzekł Olsunna. — Pan jesteś przecież tym zwiastunem, który nam o tym doniósł.

— Nie będziemy go dręczyć, tatku. Powiemy mu wszystko. Jesteśmy panu wdzięczni, że nam otworzył oczy!

Książę dodał:

— Wdzięczni jesteśmy panu do grobu... Znałem panią Sternau przed jej ślubem. Jej syn jest moim, chociaż nosi obce nazwisko.

Malarz rzucił okiem na oboje:

— To pan pewno jesteś bankierem Salmonno?

— Nie — zaśmiał się książę.

— Ależ seniora Walser była tylko w dwóch miejscach wychowawczynią, u Salmonny i u księcia Olsunny — rzekł Otto.

— Widziałem, jak pan na początku obiadu patrzył ze zdumieniem na nasz herb. Prawda, że to herb książęcy? A mój monogram pan widziałeś? E. O. Nieprawdaż? Otóż to moje imię i nazwisko: Eusebio, książę Olsunna. Moja córka zaś, przebaczy mi pan, że jeszcze jej nie przedstawiłem, jest księżniczką Olsunna.

— Ona księżniczką! — Otto Rodenstein zająknął się. Wydało mu się, jakby dostał obuchem po głowie. Zachwiał się.

Flora zbliżyła się doń. On jednak wyciągnął rękę, niby broniąc się przed nią:

— Byłem parę dni szczęśliwy i za to dziękować będę niebiosom. Teraz wracam w moją samotność, gdzie marzyć będę i tym wspomnieniem żyć do końca mojego życia.

— Mój Boże, Otto! A to co znowu? Toż to właśnie jest to, co mi masz przebaczyć!

— Tak, teraz rozumiem, wasza dostojność. Mówiono o grzechu, który mam przebaczyć. Grzech to zaiste wielki, ciężki, straszliwy. Serce mi zrujnuje. Nosiłem przekleństwo ojca na sobie, ale na dalsze ciosy moje serce jest za słabe. Staje się znowu ciemno, ciemniej, niż przedtem, i, i...

Wzrok jego zaszedł mgłą.

Miał na twarzy wyraz ogromnego, niewypowiedzianego bólu. Mógł za chwilę upaść, ale podtrzymała go Flora.

— Ottonie, mój Ottonie! Ależ bądź dobrej myśli! Ja cię przecież kocham, bardzo cię kocham!

Przycisnęła go do siebie i całowała blade usta, przy czym po jej twarzy płynęły łzy niewymownej obawy. Książę zbliżył się również.

— Przyjdź do siebie, panie Rodenstein. Nie jesteś pan żadną ofiarą.

Pod wpływem gorących pocałunków ukochanej wrócił do przytomności.

— Ottonie, bądź taki dobry i posłuchaj nas! Zaprowadziła go do krzesła.

— Księżna i syn odepchnięty przez ojca! Och, dlaczego mi to wyrządziłaś? Nie będziemy nigdy, nigdy żyć ze sobą!

Wreszcie oprzytomniał całkiem, odzyskał siłę. Przystąpił do księcia.

— Wasza dostojność widziałeś mnie osłabionym. Proszę mi darować!

— Siadaj, mój kochany panie Rodenstein na krzesło i posłuchaj tego, co ci opowiem. Potem zobaczysz pan, dlaczego ojciec musi szukać syna. Potem też zobaczę, czy mogę liczyć na pańską pomoc.

Opowiedział Ottonowi wszystko, co wcześniej wyjawiał Florze. Nic nie zataił. Co za uczucia opanowywały malarzem! Książę zakończył słowami:

— Pan mi przyniosłeś ze sobą światło wśród ciemności mojego życia. Panu zawdzięczam moje siły. Czy może pan wątpić o mojej wdzięczności?

— Nie. Szlachetny człowiek jest zawsze wdzięcznym. Ale nie mnie się należy wdzięczność, tylko zrządzeniu boskiemu. Jeżeli bym nawet miał się pokusić na zdobycie wdzięczności, to musiałbym pragnąć czegoś tak cudownego, wzniosłego, tak szacownego, że...

— Że bym panu tego nigdy nie odmówił! — dokończył książę — Floro, kochaj go i uczyn go szczęśliwym!

Ośłupiał Otto. Potem padł przed księciem na kolana.

— A więc to prawda? Dajesz mi książę ten klejnot, który jest więcej wart niż wasz milionowy majątek! O Boże, braknie mi słów wdzięczności!

— Dziękuj pan czynem, nie słowem! Uczyni moje dziecko szczęśliwym, szczęśliwszym, jak był jego ojciec!

Młodzi klęczeli we wzajemnym uścisku u nóg księcia. Książę podniósł oboje i uściskał.

— Od teraz mój synu, mów do mnie ojczy. Będę ci nim, gdyż twój stał się tobie obcym. Spodziewam się jednak, że złagodzę jego straszliwy gniew!

— Ojczy, mój ojczy! Znowu mam ojca! — wołał Otto.

— A teraz czas pisać listy do Kreuznach — rzekł książę. — Pani Sternau jednak nie może o tym wiedzieć, że ja przyjeżdżam. Napisz Floro inne nazwisko. Oznajmij, że doktor Sternau posyła nas do nich i że sami przyniesiemy listy polecające.

— A można tak?

— Pewnie. Książę ma prawo podróżować incognito. Szczególnie, że ma zamiar wybrać sobie żonę.

Olsunna był ochoczy, wesoły. To dobrze wpłynęło na jego zdrowie. Pojawił się apetyt, zasiedli więc wszyscy, by dokończyć rozpoczęty obiad. Flora dbała gorliwie o swego chłopca i podsuwała mu sumiennie wyśmienite porcje. Malarz zjadał ogniście i patrzył na małe, białe rączki, które go obsługiwały i na jej oczy, które błyszczały od szczęścia.

Książę spostrzegł to i cieszył się apetytem Ottona, podziwiając ogromną gotowość w połykaniu coraz to nowych porcji. Wreszcie zatrwożył się i rzekł:

— Daj spokój, moja córko, bo mnie pozbawisz syna, którego sobie dopiero znalazłem!

Ta popatrzyła nań zdziwiona i zapytała śmiało:

— Jak to rozumiesz tatku?

— Popatrz tylko na półmiski, moje dziecko. Czy tak się ma tuczyć miłość? Powiadam ci, on się udławi!

Roześmiali się wszyscy troje. Malarz zmiarkował, że zapatrzony w ładne oczka i drobne rączki, wyczyścił prawie sam sute półmiski.

— No, a teraz już będę pościć! — zawołał artysta. Wreszcie rozmowa wróciła do dawnego tematu.

— To właściwie rzecz niemiła, znalazłem go i znowu straciłem. Gdyby był bodaj jeden dzień się zatrzymał, byłby siedział tu z nami równie jak i my szczęśliwy. Nie powiedział jak długo trwać będzie ta podróż morską?

— Nie. On sam o tym nie wie. Pragnie bowiem dokonać awanturniczego dzieła, chce złowić morską pirata.

— Mój Boże, co za niebezpieczeństwo! — krzyknęła Flora

— Ależ Otto żartuje! Małym jachtem dla rozrywki nie napada się na rozbójników morskich!

— Nie żartuję, ojczy. To bardzo ważna sprawa. Chodzi tu o szczęście, ba nawet o istnienie wysoko postawionej rodziny. Słyszałeś tatku, już kiedyś o statku korsarskim „Lion”?

— Tak. Kapitanem jego jest Grandepriise. Powiadają, że jest to wyjątkowo bezwzględny człowiek.

— Tego draba chce Sternau pojmać!

— To niemożliwe! — rzekł książę blednąc. — Zginął już!

— Nie sędzę. Sternau jest bohaterem. Podróżował po obcych, dalekich krajach, tłukł się z lwami, panterami, słoniami i krokodylami, Arabami i Indianami. Jest silny i znakomicie włada bronią. Jeżeli jest ktoś, komu by się udało pojmać Grandepriise’a, to właśnie jest nim Sternau.

— Och, nigdy widocznie już nie zobaczę syna! — biadał książę.

— Ach, po cóż mu te niebezpieczeństwa? — pytała Flora.

— Chodzi o odkrycie ważnych tajemnic. Chce znaleźć ludzi, których porwano i ukryto. Złoczyńcy mają ponieść karę za to, że chcieli jego i jego rodzinę unicestwić. Chodzi o rodzinę jego żony.

— A, on jest żonaty! To bardzo przykra sprawa! — zawołał Olsunna. — Miałem bowiem zamiar uznać go moim synem. Stałby się spadkobiercą całego mojego majątku, tytułu i wszelkich zaszczytów.

— Sądzisz tatku, że popełnił mezalians? Nie bój się. Dziwna to rzecz, ale prawdziwa. Jego żona jest Hiszpanką, z Rodrigandy w Aragonii.

— Rodriganda jest własnością hrabiego Emanuela de Rodrigan–Sevilla? Znam ich. Byłam raz u hrabianki Róży. Ona mnie zaś odwiedziła w Madrycie. Byłam niestety starsza od niej, inaczej byłybyśmy przyjaciółkami. Przyjaciółkę znalazła w pewnej Angielce, Amy Lindsay.

— Tak, mówił mi o tym Sternau. On był równocześnie z nią w Rodrigandzie. Wezwano go z Paryża, by zoperował chorego. W Paryżu poznał damę, która obecnie jest jego żoną, córkę hrabiego Rodriganda!

— Taaak??

— Hrabia Emanuel nie jest już właścicielem majątku, tylko jego syn Alfonso.

— Naprawdę? — zapytał książę. — Czy hrabia zmarł? Wiele lat przebywaliśmy za granicą i nie troszczyliśmy się o to, co się działo w ojczyźnie.

— Mówią wprawdzie, że hrabia Emanuel zmarł, ale Sternau wątpi w to. I jedzie właśnie, by znaleźć hrabiego.

— A więc Róża jest jego żoną?

— Moja dobra, słodka Róża moją bratową! — zawołała Flora.

— Naturalnie, naturalnie. Mój przyjaciel Karol nie popełnił mezaliansu. Zobaczymy Różę w Kreuznach. Jest tam także i Elwira ze swoim Alim... Mój Boże, co to! To imię...

— Co tobie! Ty masz na myśli kasztelana Alimpo, który zwykł mówić: To samo powiada moja Elwira?

— Tak, o nim myślę. Boże, czyż to możliwe? Ojczy, znasz hrabiego Emanuela? — pytał malarz. — Ty także go znasz, Flora?

— Tak, znam go.

— Czy poznalibyście go, moi państwo, nawet wtedy, gdyby wskutek straszliwej choroby wychudł i zupełnie zmizerniał?

— Spodziewam się — odparł książę.

— Ja również — dodała Flora. — Rysy twarzy hrabiego Emanuela są takie, że nie mogą się całkowicie zmienić. Ale dlaczego pytasz, Ottonie?

Nie odpowiedział.

Pochłoneła go dziwna myśl. Sternau opowiedział mu całe swoje życie i zdarzenia, wspominał nieraz o wiernym Alimpie i małżonce jego Elwirze. Mówił też, iż obłąkany hrabia nic więcej nie mówił, jak tylko parę stereotypowych słów. Uważał się za swojego sługę. Sternau jednak nie powtórzył mu niestety tych kilku stereotypowych słów.

A teraz ten — na wieży... Czy nie hrabia Emanuel jest tym drżącym starcem? Dziwna to była myśl — prawda, ale czy nie działa się dotychczas niejedna nadzwyczajna rzecz, dlategoż i to nie mogło być rzeczywistością?

Powziął niezachwiane postanowienie.

Przystąpił do małego pulpitu, który był w pokoju, wziął kawał białego papieru i napisał:

„Pilny telegram do pani Sternau w Kreuznach, via Moguncja. Jakie słowa powtarzał obłąkany hrabia Emanuel? Proszę zaraz donieść. Bardzo pilne i ważne. Mój adres zna pani Sternau”.

Przeczytał tę depeszę obojgu.

— Możliwe, że zobaczyłem tu hrabiego — rzekł.

— Tu? Toż to same zagadki. Hrabia przecież, jak to już powiedziałaś, jest podobno obłąkany! Dlaczego miałby być tutaj?

— Wszystko jest możliwe. Zaraz państwu coś opowiem. Zadzwoił i oddał służącemu depeszę, by natychmiast ją nadał.

Potem opowiedział wszystko, co słyszał od Sternaua. Można sobie wyobrazić, z jaką uwagą słuchano jego słów. Jak dumnie błyszczały oczy obojga, kiedy charakteryzował odwagę, dzielność, gotowość do czynów i wielkoduszność Sternaua!

Tysiące pytań i okrzyków radości, przerywały opowiadanie. Minęła prawie godzina, nim doszedł w opowiadaniu do wczorajszego dnia i do swego pobytu w latarni morskiej. Kiedy skończył, książę rzekł:

— Co ci to za człowiek, ten mój syn! Z radością przycisnę go do serca, gdy mi Bóg łaskawy dozwoli zobaczyć go jeszcze.

— A ja całymimi godzinami modlić się będę, aby Bóg ochraniał go na tej pełnej niebezpieczeństwa drodze. Nie gniewaj się mój ojciec, że on porzucił swoją piękną żonę, by prześladować tego złoczyńcę!

— Gniewać się? Ja? Przenigdy! Gdyby głos mój można było słyszeć aż na te dalekie wody, wołałbym doń, że go błogosławię za to małe dzieło! Teraz wiem, co go wyгнаło na tej małej łupinie z orzecha na pustynię morza i jestem tego pewny, że wróci zdrowy. Bóg będzie obrońcą dla takiego męża... Teraz jednak obchodzi nas hrabia Emanuel. Co uczynimy, mój synu?

— Udamy się w tej chwili do latarni morskiej i rozpoznamy obłąkanego — rzekła Flora. — Nie mogę sobie wyobrazić, jakim sposobem hrabia dostał się tutaj. Ale skoro usłyszałam twoje opowiadanie, mój Ottonie, widzę, że wszystko jest możliwe.

— Musimy działać rozważnie — odrzekł malarz. — Ten Gabrillon wydał mi się mocno podejrzanym, ale...

— Ach — przerwał książę, któremu do głowy wpada nowa myśl.

— A co chciała od niego ta Zarba?

— Aha, Cyganka Zarba? Czy była ona wczoraj na wieży? W takim razie moje domysły są słuszne. Zarba we wszystkim macza swoje palce. Jeżeli ona w tej sprawie tu ma cokolwiek do czynienia, to z całą pewnością sprawa nie jest bardzo czysta. Ten Gabrillon ma też wygląd Cygana. Może jest z jej obozu, wszak ona jest podobno królową Gitanów. A zresztą, dlaczego nie zameldował obłąkanego w merostwie?

— Musimy udać się w tej chwili do niego! — zawołała Flora.

— Nie, teraz nie. Poczekajmy na odpowiedź z Kreuznach. Potem możemy wystąpić z pewnym dowodem. Już za dwie godziny możemy mieć odpowiedź, ja udam się tymczasem do domu, by tam na nią czekać.

Omawiano jeszcze całą rzecz szczegółowo. Książę czuł się zupełnie zdrowy. Losy jego syna dodały mu siły. Nie był nawet zmęczony. Jeszcze był wprawdzie mizerny, ale wyglądał dobrze. Sam popędzał malarza do domu, by jak najprędzej dowiedział się prawdy.

Malarz udał się do hotelu. Jednak na odpowiedź czekał jeszcze długo. Nareszcie zapukał do drzwi posłaniec z urzędu telegraficznego. Rozerwał niecierpliwie kopertę i wręcz połykał zapisane tam słowa. Była to ważna odpowiedź:

„Słowa brzmią:

Jestem wierny, poczciwy Alimpo.

Dlaczego pan pyta? Czy może wpadłeś na trop? Zaraz proszę o wiadomość”.

Włożył telegram do kieszeni, chwycił kapelusz i wybiegł jak wariat, nie zamykając nawet drzwi. Ludzie patrzyli zdziwieni widząc go tak pędzącego. Dopiero przed wejściem do merostwa zaczerpnął nieco oddechu, potem udał się do ekspedycji, zapukał i wszedł.

Urządник popatrzył nań na pół przyjaźnie, na pół bagatelizująco i zapytał:

— Pan, chyba się bardzo spieszy? Chcesz mi pan zapewne oznajmić, że jesteś zadowolonym z wczorajszej satysfakcji, jaką otrzymałeś?

— Zgadł pan. Przede wszystkim więc, dziękuję serdecznie! Ale jest tu też sprawa daleko ważniejsza.

— A! — rzekł mer, podniósł się i zsunął w oczekiwaniu okulary z nosa na czoło. — A to musi być rzeczywiście coś bardzo ważnego, gdyż wygląda pan na dziwnie zmieszanego.

— Przychodzę w sprawie kryminalnej, prosić pana o urzędową pomoc.

— Kryminalnej? — zapytał urzędnik zsuwając szybko okulary z czoła na nos i patrząc na młodzieńca badawczo. — A, w sprawie kryminalnej? Wie pan, co to znaczy?

— Sądzę, że wiem.

— Kryminalny pochodzi od *crimen*, występki. Chodzi więc o jakiś występki?

— Tak jest. Musi pan jak najprędzej wydać rozkaz, by śledzono Cyganekę o imieniu Zarba, względnie proszę o tym powiadomić pana prefekta, by podjął w tym kierunku odpowiednie kroki. Ona tu wczoraj była. Dalej, masz pan...

— Pst, *monsieur* — przerwał mu mer. — Tylko nie tak gorączkowo! Co mam czynić, to sam rozstrzygnę, gdy się dowiem o co tu w końcu chodzi. Dotychczas jeszcze pan nie był łaskaw mi o tym cokolwiek powiedzieć.

Otto skłonił się cokolwiek zawstydzony.

— Proszę o przebaczenia, *monsieur!* Jestem taki rozdrażniony, że nie zważałem na przynależną grzeczność. Pozwoli więc pan, że mu pokrótce opowiem całą historię.

— Dobrze, usiądźmy sobie! Otto począł mówić:

— Hiszpański hrabia, Emanuel de Rodriganda y Sewilla popadł nagle w obłąkanie i jeden z najznacześniejszych lekarzy skonstatował, iż stało się to wskutek pewnej trucizny, zwanej *pohon upas*, którą mu zbrodniczą ręką podano. Były osoby, które miały powód uśmiercenia hrabiego lub bodaj jego ubezwłasnowolnienia, by zagarnąć jego majątek.

Ten sam lekarz wziął go pod swoją opiekę. Byłby go z pewnością wyleczył, niestety... drugiego dnia hrabia zniknął. Później znaleziono w przepaści jakieś zwłoki. Ci, których lekarz podejrzewał o te nieczne zamiary rozpoznali w tych zwłokach hrabiego, lekarz jednak twierdził, że to ciało innego człowieka. Osoby, o których mówię, były potężne. Zdania lekarza nie uwzględniono i obce zwłoki pochowano jako hrabiowskie w grobowcu rodzinnym. Hrabianka Róża, córka hrabiego, postradała wskutek takiej samej trucizny rozum, aż dopiero wspomniany lekarz wyrwał ją przemocą z rąk nieprzyjaciół, uprowadził ją za granicę i całkowicie wyleczył.

— *Parbleu!* Toż to istny romans kryminalny, prosto z powieści kryminalnej! Ale cóż ja mam tu do czynienia jako francuski mer z tym hiszpańskim występkiem?

— To, co panu dotychczas opowiedziałem nie obchodzi pana wcale. Był to tylko wstęp. Lekarz był przekonany, że podsunęto obce zwłoki, a obłąkanego hrabiego gdzieś ukryto. Szukał go wszędzie, nawet na morzu, nie mógł go jednak znaleźć, gdyż obłąkanego uprowadzono przemocą do Francji i tu go właśnie trzymają pod kluczem.

— Do diabła! A to by nas w każdym razie już cokolwiek mogło obchodzić! Ale dlaczego przychodzisz pan z tą sprawą do mnie?

— Bo hrabiego ukryto w pańskim obwodzie.

— *Crimen*, prawdziwy prawniczy *crimen!* Zaraz tę sprawę wezmę w swoje ręce. Gdzie znajduje się hrabia?

— W morskiej latarni.

Mer aż podskoczył i zawołał przerażony:

— To niemożliwe!

Nie, to prawda. Możesz pan mieć nie lada kłopoty. Przyjąłeś pan nabawionego obłąkania człowieka, nie pytając w ogóle o jego tożsamość. Ten bowiem, kogo Gabrillon zgłosił jako swego krewnego, jest hrabią Emanuelem de Rodriganda.

Merowi pot ściekał z czoła.

— Fatalna historia! Wezmę ja tego Gabrilla *ad córam!* Ale, mój panie, może pan udowodnić, że człowiek ten jest hrabią?

— Tak jest. Kiedy popadł w obłąd, nastąpił u niego zupełny zanik pamięci. To jest specyficznym skutkiem tej trucizny. Tylko jedno mu zostało wspomnienie. W ostatniej chwili przytomności, był przy nim obecny kasztelan Alimpo i to hrabia zatrzymał w swojej pamięci. Uważa się za owego służącego i ciągle powtarza słowa: *Jestem wierny, poczciwy Alimpo*. Przyznać pan musi, że nie może znaleźć się inny obłąkany, który by popadł na taką samą monomanię i te same powtarzał słowa. One są więc pewnym znakiem do rozpoznania.

— Prawdopodobnie. Jednak musiałyby urzędowo zostać stwierdzone, że nieszczęśliwy hrabia tylko takich słów używał.

— Stwierdzenie tego faktu nie jest trudne. Oprócz tego są tu pewni państwo, którzy hrabiego znają znakomicie i na pewno zdołają go rozpoznać.

— A to byłoby bardzo pożądane. Ale czy nie są to ludzie, którym sąd ma coś do zarzucenia?

— Nie. To książę Olsunna i księżniczka Flora, jego córka.

— To mi całkowicie wystarcza, mój panie!

— Jednak żeby być zupełnie pewnym, telegrafowałem do hrabianki Róży de Rodriganda, prosząc o wymienienie mi tych słów. Tu jest odpowiedź, proszę przeczytać!

— Ach, rzeczywiście. *Jestem wierny, poczciwy Alimpo!* Hm. Mój panie! Stoję na pańskie usługi, ale spodziewam się, że pan tę fatalną sprawę załatwisz w ten sposób, by nie przyniosła mi szkody.

Ten człowiek był rzeczywiście przestraszony.

— Będę się starał spełnić pańskie życzenie — odrzekł malarz. — Ale co jest z tą Cyganką? Zarba się nazywa, nieprawdaż?

— Ona jest w każdym razie wtajemniczona w tę sprawę, a do tego znajoma Gabrilla. Była wczoraj przed południem tutaj i odwiedziła go. Musimy ją znaleźć.

— Uczynię wszystko, co mi pan rozkażesz.

— Więc proszę przede wszystkim polecić, by szukano Cyganki. Potem proszę przyjść do księcia. Udamy się do latarni morskiej. Reszta już się sama jakoś ułoży.

— Pięknie! Dobrze, wyśmienicie! Za kwadrans będę u jego ekscelencji. Pan będzie tam także?

— Z całą pewnością.

— Malujesz pan z pewnością dla księcia.

— Nie — odpowiedział Otto śmiejąc się. — Jestem narzeczonym księżniczki.

Mer odsunął okulary, odstąpił na bok i zawołał:

— To niemożliwe, *monsieur!*

— Dlaczegoż?

— Pan jesteś malarzem, a ona... księżniczką!

Okazał najgłębszy szacunek, na jaki mógł się tylko zdobyć i towarzyszył narzeczonemu księżniczki aż na ulicę, gdzie dodał jeszcze parę ukłonów.

Otto pospieszył do Olsunny.

Oczekiwano go z największą niecierpliwością.

— No, a jak tam? Proszę mówić, ale prędko! — zawołały dwa głosy naraz.

Stanął, rozwinął depezę i przeczytał:

„Słowa brzmią:

Jestem wierny, poczciwy Alimpo.

Dlaczego pan pyta? Czy może wpadłeś na trop? Zaraz proszę o wiadomość”.

— A więc to on! — zawołał książę.

— Bez wątpienia!
— Szybko na wieżę, przedtem jednak do merostwa! — rzekła Flora.
— Byłem już tam. Za kwadrans zjawi się tutaj mer.
— Dobrze mój synu! Ale czy ja będę mógł dojść do wieży?
— To zbyteczne, kochany tatku. Przyprawimy hrabiego do nas. Mer się na to zgodzi.
— Ale ja idę! — zawołała stanowczo Flora. — Ach, dlaczego mój brat nas tak rychło opuścił. Byłby jednego z poszukiwanych znalazł tutaj.

Mer zjawił się prędzej, niż to był obiecał. Tu grała w każdym razie rolę wysoka ranga osobistości, z którymi miał do czynienia.

Kłaniał się jak mógł najniżej i sypał grzeczności. Oznajmił, iż przyprowadził trzech żandarmów i pięciu silnych cywilnych.

— Tylu ludzi nie potrzeba — rzekł śmiejąc się Otto. — Nie czynmy zbiegowiska i rozdzielmy się. My zbliżymy się do wieży, jak zupełnie bezinteresowni przechodnie. Reszta jakoś się złoży.

Propozycja została zaakceptowana. Otto podał ramię Florze, która poinformowała go, że ich służący zna również dobrze hrabiego de Rodriganda. Nawet służył wcześniej u hrabiego i przypomina sobie, że ten miał małe znamię poniżej lewego ucha. Był to o jeden znak więcej.

Może pół godziny wcześniej, zanim sprzysiężeni wyruszyli, jakaś postać kobieca szła wybrzeżem, w kierunku morskiej latarni. Była to Zarba. Nie przeczuwała, jakie jej groziło niebezpieczeństwo. Szła w tym kierunku tylko dlatego, by nie przechodzić koło domku księcia. Nie chciała ponownie otrzymać od Flory i służącego księcia, tak dotkliwej lekcji.

Skoro dotarła do wieży, weszła na schody i chciała zadzwonić, kiedy drzwi się nagle otwarły, a w nich zjawił się Gabrillon.

— Widziałem, że nadchodzisz. Dlaczego tak wcześnie?
— Lepiej mi będzie u ciebie, gdzie mnie nikt nie widzi. Na polu albo na ulicy mogliby mnie zobaczyć. Są tutaj ludzie, którzy mnie znają — rzekła.
— Kiedy przyjdą twoi?
— Skoro tylko zapadnie noc. Wezmą ze sobą czółno. Nie widziano nic, kiedy hrabiego przyniesiono, nie powinni też widzieć, kiedy go stąd zabiorą.
— Już czas! Nawet ten obcy zaczął już coś podejrzewać! — mruczał Gabrillon.
— Kto to taki? Znasz go?
— Nie, ale widziałem z wieży, iż chodzi do domu księcia.
— W takim razie jest dla nas niebezpieczny! — rzekła szybko. — Masz papiery, które ci wysłałam razem z hrabią?

— Mam. Leżą na górze koło pieca, w pogotowiu!
— To musimy je spalić. Nie wiemy, co nas czeka. Jak się ma hrabia, Gabrillonie?
— Jak zwykle. Był dla mnie wielkim ciężarem i cieszę się, że go stąd zabierzecie.
Doszli do izby, która służyła hrabiemu za mieszkanie. Stał tam piec a na stołku obok stała stara otwarta skrzynka, w której znajdowały się jakieś papiery. Zawierały one wiadomość o osobie hrabiego, o porwaniu zwłok i zamianę zmarłego za hrabiego. Z tego można by się było niejednej rzeczy dowiedzieć, przede wszystkim zaś o tym, że Cyganka nie miała zamiaru zniszczyć życia hrabiego, tylko wykorzystać go w stosownej porze do swych celów.

Przeczytała treść i włożyła papiery do pieca. Zapaliła, spłonęły bardzo szybko.
— Tak, — rzekła. — A gdyby nawet w tej chwili nam się coś wydarzyło, to by nam nic nie można było udowodnić. Twój stryj Marcello zmarł. Jego więc nie mogą się czepić. Powiedziałbyś, że on ci właśnie sprowadził obłąkanego. Teraz chodźmy na dół, na tej ogromnej wysokości bierze mnie strach.

Zeszli na dół i kiedy byli w izbie, dał się słyszeć dzwonek. Gabrillon otworzył i wyjrzał. Zobaczył Ottona, za którym stała Flora.

— Czego pan znowu chce? — zapytał gniewnie.

— Chcę tej damie pokazać z wysokości latarni morskiej, szerokie morze — odpowiedział.

Wszedł nie zatrzymując się, a dama z nim. Zarby on nie znał. Nie widział jej nigdy, dlatego nie spojrzał na nią. Cyganka jednak, która nie mogła zapomnieć napomnienia, czuła się pod opieką Gabrilla pewna siebie, zwróciła się więc do Flory i rzekła:

— A, toż to owa jasna, dumna panienska, która nie chciała mnie wysłuchać! Teraz jednak będzie musiała pozwolić mi mówić. Ojciec pani jest...

Otto, który poznał teraz kogo ma przed sobą, przerwał jej szybko, pytając ukochaną:

— Czy nie jest to Cyganka Zarba, o której mówiliśmy?

Tak, ja jestem Zarba — odpowiedziała stara — A więc piękny pan słyszał już o mnie? Będzie on więc świadkiem moich wyznań, które go jak sądzę zaciekawia wielce.

— Nie chcę słyszeć żadnych twoich wyznań, starucho! — opowiedział dumnie. — Odsuń się! Chcemy iść na górę!

— Nie ustąpię ani na krok, dopóki nie wypowiem tego, co chciałam — rzekła z zaciekłością, stając na drugim stopniu. — A jeżeli pan sądzi, że to, co chcę powiedzieć, nie jest ważne, to myli się. Mogłabym tego księcia uczynić szczęśliwym, gdybym chciała. Nie uczynię tego jednak. Wiem kto...

— Milcz! — rozkazał jej. — Ludzie twojego pokroju mogliby księcia uczynić szczęśliwym! — a tonem pogardy dodał: — Wiem, czego pragniesz. Nie chcemy tego słyszeć. Znamy Sternaua lepiej, niż ty. Oto masz twoje nowiny. Zabieraj się precz!

Odsunął starą i szedł za Florą, która nawet nie spojrzała na Cyganke. Zarba nie stawiała oporu. Stała oniemiała i patrzyła za nimi szeroko rozwartą żrenicą. Tajemnica jej została zdradzona, książe wiedział już, kim był jego syn — i to ją przeraziło. To zniweczyło wielką część jej planów. Wkrótce jednak *przyszła*, do siebie i mruzczała:

— A jednak nie będziecie go mieli! Leśniczy w Kreuznach postara się o to!

A do strażnika latarni morskiej szepnęła:

— Czy to ten obcy, który coś podejrzewał?

— Ten sam.

— Drzwi do hrabiego zamknięte?

— Nie, tylko zaryglowane.

— Idź więc rychło za nimi! Oni może chcą go zobaczyć!

Posłuchał tych słów i dopędził młodych. Ci właśnie dosięgli trzeciego piętra, gdzie się znajdowała mała komórka, którą zamieszkiwał obłąkany.

— Tutaj on będzie — rzekł Otto do Flory, chwyciwszy za rygiel.

— Stój! — zawołał Gabrilla. — Czego chcecie tutaj?

— Chcę popatrzeć na twojego stryja, stary — brzmiała odpowiedź.

— On was nic nie obchodzi! Zabierajcie się! — zawołał strażnik, stając przed drzwiami.

— A może mnie jednak coś obchodzi! Zrób no miejsce, gdyż inaczej sam sobie będę musiał otworzyć!

— Pan? — zawołał Gabrilla z błyszczącymi oczyma. — Jeżeli pan odważysz się mnie dotknąć, potrafię bronić swojego prawa do domu!

— Tknąć się ciebie? — rzekł Otto. — A tyś dla mnie na to za mały. Jeżeli nie otworzysz dobrowolnie, to bez tego nawet wszyscy dowiedzą się, dlaczego nie można oglądać tego nieszczęśliwca!

— Nie otwieraj! — zabrzmiało.

Nadeszła Zarba. Troska o zachowaniu w tajemnicy pobytu obłąkanego nie dała jej spokoju. Wtedy wyciągnął Otto chusteczkę z kieszeni i powiewał nią z okna.

— Co to za znak? — zapytała Zarba przeczuwając coś złego.

Otto nie odpowiedział, tylko nasłuchiwał.

Dały się słyszeć kroki z dołu, w drzwiach ukazał się mer.

— Bardzo dobrze trafiliśmy, panie — rzekł doń malarz. — Ta kobieta jest właśnie tą Cyganką, której szukamy.

— A! Dobrze, dobrze! — rzekł urzędnik, przyglądając się jej przez okulary. — Ty więc jesteś kobietą, którą przechowuje zmarłych i pogrzebanych?

Złękła się na te słowa, zapanowała jednak nad sobą i rzekła:

— Nie rozumiem pana, kim pan jesteś?

— Jestem tutejszym merem i pragnę z tobą, stara zamienić parę słówek. Przedtem jednak musicie nam zaraz pokazać tego obłąkanego. Gdzie on jest?

Poznała Zarba, że obawy jej nie były płonne. Nie można było się inaczej bronić, jak tylko zawzięcie zaprzeczać. A potem... wieczorem mieli przecież nadejść jej ludzie i zabrać hrabiego na inne miejsce.

— Tam jest — rzekł Gabrillon, pokazując drzwi.

Nie bardzo się troszczył, gdyż sądził, że miał do czynienia tylko z merem.

— A więc, jest on twoim krewnym? Jak się nazywa?

— Anselmo Marcello, z Varissy.

— Czy masz jego papiery?

— Mój stryj sprowadził go do mnie i obiecał mi nadesłać potrzebne papiery. Tymczasem jednak zmarł.

— To powinienesz być postarać się o te papiery przez kogoś innego. Będę się dowiadywać w Varissa, czy ten stryj rzeczywiście kiedykolwiek wyjechał, aby ci przywieźć tego człowieka. Otwórz natychmiast drzwi!

Strażnik posłuchał. Zobaczyli pomieszczenie tak małe, że można w nim było zmieścić tylko siennik. Na nim leżał obłąkany. Ujrzał przybyłych wstał. Jego oko spoczęło na nich bezdusznie. Skarżącym tonem rzekł:

— Jestem wierny, poczciwy Alimpo.

— Słyszysz pan? — rzekł Otto do mera.

— To rzeczywiście te same słowa! — odrzekł — A zwracając się do Flory, zapytał. — Znajduje wasza dostojność pewne podobieństwo?

Oczy zapytanej spoczywały z początku badawczo na obłąkanym, teraz zaś były pełne łez. Przystąpiła do chorego, wzięła go za obie ręce i zapytała głęboko wzruszona:

— Wasza dostojność, don Emanuela, poznajesz mnie?

— Ach, więc to rzeczywiście on? — zawołał mer.

— Tak jest panie, to on! — zapewniała Flora. — Znam go bardzo dobrze. Jest to hrabia Emanuel de Rodriganda, nikt inny. Wychudł, ale nie zmienił się w niczym, chyba w tym, że odzyskał wzrok. O, don Emanuela, przemów do mnie! Powiedz, że mnie poznajesz? Jestem przecie Flora Olsunna, która pana odwiedziła w Rodrigandzie!

Chory patrzył na nią oczami próżnymi, bez wyrazu. Twarz jego była blada, jak ulepiona z wosku, bez ruchu, bez jakiegokolwiek wyrazu, któryby zdradzał istnienie życia. Tylko blade usta otwały się i głosem, jaki wydają maszyny, przemówił:

— Jestem wierny, poczciwy Alimpo!

Otto był wzruszony, mer nawet starał się zapanować nad miłosierdziem, które nie licowało z jego urzędową godnością. Flora była zupełnie wzruszona. Ogromny żal napędzał jej łzy do oczu. Owładnęło ją serdeczne miłosierdzie, czuła współczucie na widok tego nieszczęśliwego, niegdyś tak znakomitego męża. Objęła go ramionami i wołała, płacząc:

— O mój nieszczęśliwy don Emanuela! Ktokolwiek ci to uczynił ten nie będzie w stanie odpowiedzieć, za te haniebne czyny, nawet w swoim przyszłym życiu.

Zarba była przerażona, kiedy spostrzegła, że hrabiego rozpoznano. Przystąpiła bliżej i rzekła:

— Ta seniorita myli się. Chory jest Anselmo Marcello. Znam go.

— Milcz, oszustko! — zawołała Flora. — Panie merze, wzywam pana, by aresztował tę kobietę i tego strażnika!

— Nas? — zapytał Gabrillon z dobrze udanym oburzeniem. — Cóż takiego uczyniłem? Ten stary, obłąkany człowiek jest moim stryjem. Gdyby był hrabią, to by nie zwariował. Nędza i głód pozbawiły go rozumu. Z litości wzięłem go do siebie, a teraz w nagrodę mam być aresztowany. To śmieszne!

Mer wypowiedzią tą poczuł się najwyraźniej dotknięty.

— Cicho! — nakazał. — Co sąd i policja czynią, nie jest nigdy śmieszne. Pan jesteś moim więźniem. Aresztuję ciebie i Cyganke, w imieniu prawa!

— Aresztować? Mnie? — zapytał Gabrillon. — Chwytajcie, jeżeli wam się uda!

Skoczył na nie spodziewającego się ataku mera, odepchnął go na bok i pobiegł... nie prosto w dół schodami, jak to chciał uczynić, tylko w ręce żandarmów, którzy się tam ustawili.

— A do pioruna! — zawołał przestraszony.

— Trzymajcie go dobrze! — rozkazał mer. — Tym usiłowaniem ucieczki udowodnił swoją winę. Uwięzić też trzeba tę starą kobietę. Ona nam powie, jakim sposobem hrabia się tutaj znalazł.

— Ja? Ja mam być aresztowana? Ja jestem niewinna! — wołała Zarba. — Jestem królową Gitanów. Kto mnie będzie sądzić! Macie w tej chwili władzę, by mnie pojmać, ale nie macie władzy do zatrzymania mnie.

— Tylko żadnych bzdur, stara! — rzekł żandarm, trzymając ją za rękę. — Twoje królestwo, żebractwo, a twoi poddani, to sami włóczędzy. Nie będziemy z tobą czynić zbędnych ceregieli!

Wypchnięto ją za drzwi i równie jak strażnika, osadzono w więzieniu. Kiedy odeszli, urzędnik rzekł:

— Wytoczmy im za tę zbrodnię tęgi proces. Teraz zaś, proszę państwa udać się do łaskawego księcia pana i zapytać go, czy też poznaje hrabiego.

— Mamy jeszcze jednego świadka, mianowicie służącego księcia — zauważył Otto. — On mówi, że hrabia ma poniżej lewego ucha małe znamię.

— Możemy to zaraz sprawdzić — rzekł mer, przystępując do hrabiego i oglądając to miejsce. — Rzeczywiście tu jest jakiś znak! On to jest, już nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Chodźmy. Już ja się o to postaram, by aresztowanego strażnika zastąpił ktoś inny.

Hrabia szedł z nimi bez oporu. Kiedy dotarli do domu rybaka, wyszedł przeciw nim służący.

— Hrabia Emanuel! — zawołał. — O, tu jest znak moi państwo. To pewny dowód, jeżeli mi nie chcecie wierzyć!

Kiedy przyszli przed księcia, tan stanął na środku izby i widać było po nim, jak głęboko był wzruszonym. Widział z dala nadchodzących i poznał już hrabiego Emanuela.

— On to jest! — zawołał. — Poznałem go nawet z daleka! Mój Boże i w takim stanie muszę go widzieć!

Chwycił chorego za rękę:

— Don Emanuelu, poznasz swojego przyjaciela Olsunnę?

Hrabia, jak się zdawało, nie miarkował, że zmienił miejsce przebywania. Nie zważał ani trochę na otoczenie. Wiedział tylko, że mówiono i rzekł:

— Jestem wierny, pocziwy Alimpo...

Wreszcie zapytał Otto mera:

— Jest pan chyba, jak spodziewam się, przekonany, że nie ma tu żadnej pomyłki?

— Z pewnością, *monsieur*. Zaraz, skoro tylko wrócę do domu, sporządzę odpowiedni protokół. Potem obowiązkiem moim będzie dać znać do Rodrigandy, że na miejsce hrabiego pochowano fałszywego zmarłego, prawdziwego hrabiego znaleziono u nas. Ale co się stanie, moi państwo z obłąkanym? Czy może mają się tu wmieszać władze, czy...?

— Nie, on zostanie u nas! — rzekła Flora. — Nieprawdaż tatku?

— To oczywiście nie podlega dyskusji! Potem pomyślimy, co mamy z nim uczynić.

— Odradzam stanowczo posłać go tymczasem do Hiszpanii i tym sposobem wydać znowu w ręce wrogów — przestrzegał Otto. — Jedziemy przecież do Niemiec, weźmiemy go więc do jego córki, Róży.

— To jest najlepsze, co w tej sytuacji możemy zrobić — potwierdził książę.

— Teraz jestem spokojny — rzekł mer. — Idę spełnić mój obowiązek. Za późno dzisiaj na przesłuchanie uwięzionych. Jutro rano zaraz to uczynię i dam państwu znać, gdyż jak sądzę, chcecie być przy tym obecni.

Odszedł.

Posłano natychmiast do miasta, by hrabiego zaopatrzyć w inną bieliznę i ubranie. Pod tym względem zaniedbany był srodze. Stało się to wieczorem i tak siedział hrabia u przyjaciół, nie poznając ich i nie wiedząc, co się z nim działo.

Oni zaś naradzali się nad tym, czy dobrze będzie powiadomić o tym jego córkę. Po dłuższej dyskusji postanowili nie czynić tego. Radość i strach, które by opanowały Różę, mogły przynieść niepożądane skutki. Zresztą można się było spodziewać, że Róża nie oczekiwałaby przybycia ojca, tylko, pędzona dziecinną niecierpliwością, sama gotowa była odbyć daleką podróż do Francji. Dlatego też napisała Flora, za zgodą obu mężczyzn następującej treści list do Kreuznach:

*Dla Pani Róży Sternau,
w Kreuznach pod Moguncją.*

Wielce Szanowna Pani!

Z powodu mojej choroby przebywam w uzdrowisku, w Avranches, jednak ani źródła lecznicze, ani umiejętności tutejszych lekarzy nie były w stanie powstrzymać szybkiego rozwoju choroby. Aż tu nagle spodobało się Panu Bogu zesałać mi ratunek w osobie jej męża. Przypłynął na swoim jachcie z Greenock w Szkocji, by nabrać węgla i płynąć dalej. Podczas jego krótkiego jego pobytu udało mu się wlać we mnie nadzieję na wyzdrowienie i obecnie na skutek zapisanych mi przez niego lekarstwo, czuję się o wiele lepiej i szybko wracam do zdrowia.

Dla całkowitego wyzdrowienia polecił mi zmianę miejsca. Mam z moją córką udać się w okolice Moguncji i to właśnie do Kreuznach. Zapewnił mnie, że mój pobyt tam nie przysporzy kłopotów i dał mi listy polecające do Pani matki i do pana rotmistrza Rodensteina. Potem odjechał. Kiedy wróci... nie wiem.

Wkrótce po jego wyjeździe, dowiedzieliśmy się o pewnej sprawie, która dlań miałaby ogromne znaczenie. Malarz, Otto Rodenstein, który — jak to Pani dobrze raczysz wiedzieć, przebywa tutaj, jest narzeczonym mojej córki. Rozmawialiśmy z nim o mężu Pani i dowiedzieliśmy się nieco o historii, która sprawiła, że Pani znajduje się obecnie właśnie w tej miejscowości.

Dowiedzieliśmy się, że tutaj, nie daleko nas, przebywa pewien obłąkany, którego otoczenie stara się ukryć przed ludzkim okiem, a który ciągle powtarza: Jestem wierny, poczciwy Alimpo!

Pan Rodenstein telegrafował do Pani, by się dowiedzieć, czy nie są to te same słowa, które zwykł wymawiać Pani ojciec, hrabia Emanuel i odpowiedź Pani była twierdząca. Pojaliśmy więc zaraz odpowiednie kroki i powiadomimy panią o wyniku sprawy.

Gdyby Pani pozwoliła, że odnośne sprawozdanie złożymy osobiście, to wielce nas to ucieszy. Najprawdopodobniej za tydzień, razem z panem Rodensteinem przyjedziemy do Moguncji i wtedy chcielibyśmy wiedzieć, czy wykonanie zarządzenia pana doktora Sternaua nie będzie na zamku w Kreuznach zbyt dużym obciążeniem..

Polecając się wraz z córką dobroci Pani, dodaję pozdrowienie od pana Ottona i kreślę się z najgłębszym szacunkiem

*baron
Franciszek Haaldenberg.*

Pismo to wysłano jeszcze wieczorem na pocztę i można się było spodziewać, że wywoła wrażenie, jakiego sobie życzone.

W tym samym czasie, kiedy wszyscy troje zajmowali się pisaniem listu, stała się bardzo ważna rzecz.

Było już ciemno, od strony morza przyplłynęło czółno, w którym siedziało sześciu mężczyzn. Czterech wiosłowało, jeden prowadził ster, jeden zaś komenderował.

— Oto już światło latarni morskiej — rzekł ostatni. — Popłyniemy w jej kierunku i zatrzymamy się koło skały.

Kiedy czółno stanęło na brzegu, wyszedł zeń tylko jeden człowiek i udał się w kierunku wieży. Widocznie dobrze znał teren, gdyż pospieszył prosto i przy pierwszych schodach zadzwonił. Nowy strażnik zjawił się i zapytał przybysza, czego pragnie.

— Chcę mówić ze strażnikiem latarni morskiej — odrzekł przybysz.

— Ja nim jestem.

— Pan? Zdaje mnie się, że on nazywa się Gabrillon.

— Do dzisiaj był nim Gabrillon, dzisiaj jednak pozbawiano go pracy.

— Do diabła! Jak to?

— Został aresztowany.

— ?...

— To jakaś nieczysta sprawa. Za nią z pewnością dostanie się na galery. Jesteś pan może jego przyjacielem, czy może krewnym?

— Nie, on mnie nic nie obchodzi. Jedno tylko, że jest mi winien pewną sumkę pieniędzy — skłamał przybysz.

— No, na ich odzyskanie nie miej pan nadziei. Aresztowano go i uwięziono na rozkaz pana mera, razem z pewną Cyganką.

— Z Cyganką? — zapytał obcy.

Ton jego głosu drżał, a obawa była jeszcze większa niż przedtem. Strażnik nie spostrzegł tego i odpowiedział:

— Tak, nazywa się ona Zarba. Gabrillon przytrzymał u siebie jakiegoś hiszpańskiego hrabiego, którego nabawiono obłąkania, a ta stara czarownica jest współwinną.

— A, to bardzo, bardzo źle! — rzekł obcy bardziej do siebie jak do strażnika.

— Tak. Należałby się im powrót raczej, niż galery!

— A co się stało z hrabią?

— On znajduje się u księcia Olsunny, który tę sprawę wyciągnął na jaw.

— A to i księżę jest tutaj?

— Tak. Księżę jest chory śmiertelnie i mieszka z córką w chatce rybaka. To pierwszy dom z tej strony miasta. Jak panu powiedziałem, nie spodziewaj się pan zwrotu swego długu.

— A gdzie jest ta stara, co była u Gabrillona?

— Nikt o tym nie wie. Była podczas jego aresztowania w mieście i od tego czasu nikt jej nie widział. Pewnie znikła. Ale ja muszę wrócić do pracy. Nie mam więcej czasu. Dobrej nocy!

Obcy wyszedł i powrócił do czółna.

Kiedy go tak samego zobaczono, sterujący zapytał:

— No, Garbo, jak sprawa stoi?

— Wszystko diabli wzięli! Cicho bądźcie tylko. Ten Gabrillon to wielki osioł! Dał się aresztować, a ponieważ Zarba była u niego, to i ona poszła do kozy.

Wszyscy w czółnie byli Cyganami. Przestraszyli się tą wiadomością okropnie.

— Za co ich aresztowano?

— Odkryto, kim był obłąkany. Opowiedział wszystko, co słyszał.

Gitanie naradzali się krótko. Ustalono, że królową trzeba koniecznie ocalić. Rozeszli się, tylko jeden został, by pilnować czółna.

Kiedy po chwili ponownie się spotkali, mieli już pewne i całkiem ważne wiadomości. Ci ludzie mieli bowiem ogromną wprawę w śledzeniu. Wiedzieli już po upływie tego krótkiego czasu, że sierżant więzienia uczęszcza każdego wieczora do winiarni i wraca do domu dopiero późnym wieczorem. Jego rodzina chodzi wcześniej spać, a klucznik, który sam jeden miał obowiązek strzeżenia więzienia, zwykł raczej zachodzić do naprzeciw leżącej knajpy, niż pilnować swych obowiązków. Garbo ośmielił się nawet zbliżyć do więzienia i widział już sierżanta z klucznikiem.

Postanowiono w ukryciu pilnować wyjścia z więzienia. Sierżanta miano puścić wolno, ale klucznika całkiem zwyczajnie zabić czy też udusić, zabrać klucze i uwolnić więźniów.

Starano się to wykonać.

Pośród ciemności nocy nikt nie przeczuwał, iż pięciu uzbrojonych, śmiałych mężczyzn znajdowało się w pobliżu więzienia.

Garbo stał najbliżej. Widział, jak inspektor wyszedł. Później zgaszono w jego mieszkaniu światło — znak, że wszyscy udali się na spoczynek.

Minęło pół godziny, drzwi pomalutkę się otwały i zamknęły: klucznik szedł do swojej knajpy. Zrobił zaledwie parę kroków, kiedy dwie mocne ręce schwyciły go z tyłu za gardło i zdusiły tak, że nie mógł zaczerpnąć oddechu ani też krzyknąć. Śmiertelna obawa otworzyła mu szeroko usta i w tej chwili wsadzono mu knebel.

— Tak. Teraz nie potrzebujemy go przynajmniej zabijać. Sprzątnąć go na bok! — rzekł ktoś cicho.

Odniesiono go na oddalone, wieczorem nie uczęszczane miejsce i tam nie można było usłyszeć jego chrapania, więc nie mógł zdradzić Cyganów. Klucze zabrał mu Garbo.

Teraz Cyganie wtargnęli cicho do więzienia.

Widzieli jedno okno oświetlone, to było z tej izby, w której strażnik miał stać na straży. Udali się tam i znaleźli na stole spis cel, łatwo dowiedzieli się, gdzie szukać swoich.

Wyprowadzono ich bez najmniejszego szmeru. Klucze zostały w drzwiach. Wszyscy szybko umknęli.

Zarba rzekła:

— Wiedziałam, że mnie uwolnicie i powiedziałam to merowi, że nie ma siły by mnie zatrzymać w więzieniu.

— Tak, jesteś wolna, ale tu nam grozi niebezpieczeństwo, pójdźmy raczej do czółna! — rzekł Garbo.

— Bez hrabiego? — zapytała. — A to mi się śni! Przyszłam by go zabrać, a co sobie postanowiłam, zwykłam wykonywać!

— Dobrze! — zawołali wszyscy.

— Wiecie gdzie on jest?

— U księcia Olsunny. Znam dom.

— Ot, u księcia! Mogłam przecież to przewidzieć! Cieszy mnie, że nie w innym znajduje się miejscu, gdyż ja mam z tym Olsunną swoje porachunki. Chodźmy, przyglądniemy się domowi, byśmy wiedzieli, jak się tam dostać.

Skradali się do zatoki i chaty rybaka, na którą mieli napaść. W tym czasie pożegnał się Otto z ukochaną, jej ojcem i zbierał się do domu. Przy drodze stał wysoki wiąz, którego pień był otoczony wysoką trawą. Usiadł obok na murawie. Miłość czyni człowieka marzycielem, a jemu było tak miło pomyśleć o szczęściu, które tak niespodzianie mu zaświtało i dało jego życiu nowy kierunek, pełen czaru i blasku.

Tak siedział wśród ciszy, oparty plecami o pień drzewa. Musiał najlżejszy szmer posłyszeć, tak było cicho dookoła. Wpadło mu w oko, że kilka osób zbliża się podejrzanie ostrożnie w tę stronę. Czemu skradali się tak cicho?

Zgiął się i zobaczył siedem postaci, które przebiegły obok niego, była między nimi kobieta. Coś mu się zdawało, że kontury tej postaci samu znane... Zarba? Ach, to imię wywoływało

zawsze troskę u niego. Powiedziała przecież, że nikt nie jest w stanie jej uwięzić. Czyżby uciekła? Uwolnili ją na pewno jej współplemieńcy! A teraz więc skrada się z pewnością po hrabiego... Ta myśl go przeraziła.

Naciągnął trzewiki i pobiegł za nimi cicho, cichuteńko. Przystanęli koło domku rybackiego. Był już całkowicie przekonany, że to na hrabiego zastawiono pułapkę. Wiedział, że za nim zamknięto drzwi domu, ale tylne drzwi były wciąż otwarte. Nie widziano przyczyny by je zamykać. Wszedł na podwórze, zasunął wielki drewniany rygiel tak, że oba wejścia były zabezpieczone i mieszkańcy domu przynajmniej na chwilę byli bezpieczni. Znał rozmieszczenie wszystkich pokoi. Na prawo, na parterze było mieszkanie księcia, który dzisiaj spał razem z hrabią, na lewo mieszkał służący, a w innym pokoiku służąca Flory. Flora zaś spała w pokoiku, który był nad schodami.

U służącego paliło się jeszcze światło. Rozbierał się i drzwi jego nie były zamknięte. Otton, nie pukając wszedł, a służący zdziwił się wielce, gdy go znowu zobaczył. Przerażony popatrzył na niego i chciał głośno zapytać o przyczynę powrotu.

— Pst! — uprzedził go cicho Otto. — Milcz pan. Przychodzę tylnymi drzwiami. Sądzę, że Zarba i strażnik latarni zostali uwolnieni. Na dworze stoi siedmioro ludzi, którzy najwyraźniej mają zamiar uprowadzić hrabiego.

Służący był niegdyś żołnierzem i człowiekiem śmiałym. Natychmiast zgasił światło, by nie spostrzeżono, że w domu jeszcze nie śpią.

— Macie broń? — zapytał Otto.

— Mamy. Dwie pary podwójnych pistoletów, które zawsze bierzemy ze sobą w podróż. Tu są w skrzyni, nawet nabite.

— Dobrze. Daj mi pan dwa, a resztę zostaw sobie. Czy można dać znać księciu, ale niepostrzeżenie?

— Można. Klucz od jego pokoju mam u siebie.

— Idź pan ich zbudzić, by wystrzałami nie przerazili się. Senioritę Florę i jej garderobianą także proszę zbudzić.

— Dobrze. Proszę iść do sieni nasłuchiwać. Tu są pistolety, a tu jeszcze dodatkowe kule.

Wyszli z izdebki.

Otto nasłuchiwał.

Dało się słyszeć ciche szmery, potem próbowano otworzyć przednie, wreszcie tylne drzwi.

Śpiący ocknęli się. Garderobiana miała pilnować hrabiego. Flora zeszła na dół i spotkała ojca, który mimo swej choroby zażądał jednego pistoletu, by wziąć udział w obronie. Dano mu tę broń.

Flora także zapragnęła pistoletu, ale dała się wreszcie przekonać, że broń lepszą przyniesie korzyść w ręku wyćwiczonego strzelca. Przystąpiła więc do kuchennego pieca i wzięła sobie wielki nóż. Nie można było wiedzieć, co ich czeka.

Dały się słyszeć szepty koło tylnych drzwi. Otto podsunął się i nasłuchiwał.

— Bez hałasu nie dostaniemy się do środka. Wszystko mocno pozamykane.

— To musimy wleźć którymś z górnych okien.

— Ba! Przez okna normańskiego domku! Przecież one są za małe! Trzeba coś innego znaleźć!

— Gdyby tylko wiedzieć, ile osób zamieszkuje ten dom? Wtedy dał się słyszeć głos Zarby.

— Któż miałby tu mieszkać? Ani jeden człowiek, którego byśmy się mieli obawiać. Gabrillon, powie wam to samo.

— Obserwowałem ten dom z wieży — szeptał Gabrillon. — Jean Forretier, właściciel tego domu, zostawił go księciu. Sam mieszka u sąsiada. Tu jest tylko książę, który jest na pół trupem, ten nam nie uczyni zupełnie nic. Jego córka i garderobiana, te położą się pod poduszki i będą skomleć ze strachu. Wreszcie jest służący, który jest jedyny, z kim mielibyśmy trochę do czynienia.

— Otóż to! — rzekła Zarba. — A teraz słuchajcie, co wam powiem: te drzwi tylne nie są takie silne, jak przednie; jeżeli dwóch je podważy, wylecą. Wtargniemy do domu i szukamy przede wszystkim światła. Znajdziemy je, to już łatwo będzie znaleźć hrabiego. Nim oni się tam namyśla, my będziemy już dawno na naszym czólnie. Ja, naturalnie nie śmiem pokazać się w domu, gdyż by mnie rozpoznano. A tak, ani się domyśla, że plan pochodzi ode mnie. A teraz — naprzód! Ja czekam tutaj.

Przez parę chwil kilku silnych mężczyzn napierało na tylne drzwi. Zatrzeszczały najpierw słabo, potem coraz i coraz silniej. Otto wrócił do swoich.

— Nadchodzą — rzekł. — Mamy osiem kul, wystarcza zupełnie. Jednak nie będziemy zaraz strzelać, tylko na nich zawołamy.

Drzwi były podtrzymywane rygłem, ale ten poddał się nareszcie. Zatrzeszczało znowu, wreszcie dał się słyszeć łomot i drzwi się rozleciały. Cyganie mieli wolne wejście.

— Stój! — zawołał malarz. — Czego chcecie? Będziemy strzelać!

— Naprzód! — rozkazał zamiast odpowiedzi Garbo, dowódca Cyganów. — To na pewno ten biedny służący!

Wtargnęli, ale przywitano ich wystrzałami. Dały się słyszeć głośne krzyki i przekleństwa, wołania o pomoc, za którymi ozwały się bolesne jęki i syk. Kule zrobiły swoje.

— Cofać się! — usłyszano komendę Garba.

Rozpoczęła się ucieczka. Na placu boju zostali tylko ranni, reszta związała, albowiem salwa kazała im się domyślać, że obrońców było dużo więcej niż przypuszczano. Mieszkańcy zaś nie ścigali ich, gdyż wiedzieli, że podczas ciemnej nocy nie mogło to przynieść pożądanego wyniku.

Zaświecono lampę i przekonano się, że na ziemi leżało trzech Cyganów, dwaj byli martwi, jeden srodze zraniony. Otto pospieszył do miasta zbudzić policję. Dozorca więzienia odkrył już nieobecność klucznika i ucieczkę więźniów i dał o tym znać merowi. Dlatego też malarz zastał go już na nogach.

Urzędnik udał się natychmiast, w towarzystwie żandarma do mieszkania księcia, by tam sporządzić odpowiedni protokół.

Przesłuchiwano rannego Cygana. Rana była śmiertelna, mimo to wobec bliskiej śmierci, niczym nie zdradził swoich towarzyszy. Tak mocno był przywiązany do Zarby, że nie wypowiedział ani jednego słowa, które mogłoby jej jakkolwiek przynieść szkodę. Powiedział tylko, że obłąkany był rzeczywiście hrabią Emanuelem de Rodriganda, którego chciano zabrać z więzy. Jak się zaś hrabia tam dostał i dokąd go miano zabrać, nie chciał wyjaśnić. Mówił, że nie wie o niczym.

Umarł jeszcze tej nocy, w więzieniu. Po uciekinierach nie było ani śladu. Policja czatowała na nich daremnie. Prawda, że poszukiwania nie były tak bardzo natężone. Chodziło bowiem o obcokrajowców i mer nie chciał robić dużo krzyku z tej przyczyny, gdyż ta sprawa i tak nie mogła mu przysporzyć korzyści. Wreszcie książę i Otto zadowolili się tym, że urzędowo stwierdzono tożsamość hrabiego Emanuela. Wszystko inne, wobec zbliżającej się podróży było mało ważne.

Przed sądem złożyli wyjaśnienia co do napadu, a ponieważ działali w samoobronie, więc nie mieli z powodu zabicia trójki ludzi, żadnych nieprzyjemności.

Tymczasem polepszył się stan zdrowia księcia na tyle, że w czasie oznaczonym przez Sternaua mógł rozpocząć swoją podróż. Kilka dni pobytu najpierw w Paryżu, potem w Strassburgu miały zbawienny wpływ na jego organizm, a kiedy nareszcie dotarł do Moguncji, wyglądał wprawdzie słabo, ale czuł się daleko silniejszym niż na początku tygodnia, który był taki fatalny i pełnym przedziwnych zdarzeń.

* * *

Sternau popłynął na południe.

Opłynął szczęśliwie, niebezpieczną dla podróży morskich Zatokę Biskajską, której żeglarze nadali nazwę „cmentarza majtków”. Jednak chcąc się dowiedzieć czegoś więcej o Landoli, dopłynął do wysp Zielonego Przylądka, wszystko jednak na próżno.

Teraz popłynął prosto w stronę św. Heleny, gdzie chciał uzupełnić zapas węgla. I tu wpadł na pierwszy ślad. Kapitan Landola także zawinął tutaj, po zapasy słodkiej wody. Udał się potem na południe. Miał więc nadzieję, że w Kapsztadzie usłyszy o nim cokolwiek więcej. Dlatego Sternau skierował się w stronę przylądka Dobrej Nadziei.

Był świt. Jacht „Róża” znajdował się kilka mil na północ od przylądka. Kapitan okrętu Helmer wszedł do kajuty Sternaua i powiadomił go, że na zachodzie zauważono jakiś trójmasztowiec.

— Czy to przypadkiem nie Pendola? — zapytał Sternau.

— Trudno to rozstrzygnąć — odparł Helmer. — Z tej odległości widać tylko końce masztów. Ale sądząc po położeniu żagli, musi to być jakiś okręt handlowy.

Udali się na pokład i wzięli do ręki lunety. Po jakimś czasie spostrzegli, że obcy również płynie na południe, ale oni płynęli szybciej, gdyż wiatr był dla nich korzystniejszy, a poza tym pracowały silniki.

Kiedy płynęli z tak ciągle wzrastającą prędkością, z bocianiego gniazda dało się słyszeć głośny krzyk, brzmiącym niby trwoga, niby zdziwienie.

— Co to?

— Jeszcze jeden okręt! Ogromny! — odpowiedział siedzący na górze Murzyn.

— Gdzie?

— Na zachodzie. Ale nie można go jeszcze dokładnie zobaczyć. Żagle ma czarne.

— Czarne żagle? — zapytał Helmer żywo. — Takich nie ma żaden inny statek, to „Czarny kapitan”!

Skierował lunetę w stronę, którą maj tek pokazał wyciągniętą ręką i rzeczywiście zobaczył drugi okręt, który całą siłą wiatru pędził w stronę pierwszego. Ciemna barwa żagli była przyczyną, że trudno go było od razu rozpoznać.

— To naprawdę czarny! — powiedział w końcu Helmer wzruszonym głosem.

— Ten Landola jest chytrym drabem. Ma dwa rodzaje ożaglowania. Kiedy zbliża się do przystani, na maszty wciąga białe żagle, a na pełnym morzu czarne. Zamiana przysparza olbrzymiej roboty, ale on się przed nią nie wzdyga, gdyż właśnie ona zapewnia mu bezpieczeństwo. Jak widać, wziął na cel okręt handlowy.

— W takim razie płyniemy napadniętym z pomocą! — rzekł Sternau. — Mam nareszcie tego Landolę i spodziewam się, że nie wyrwie się z moich rąk!

Kapitan potrzęsnał poważnie głową i rzekł:

— Nie powinniśmy zapominać, że nasz mały jacht nie dorasta morskemu rozbójnikowi do pięt. Na otwartym morzu może zdołamy tylko uszkodzić sam okręt, ale samego złoczyńcy nie dostaniemy w ręce. Spodziewam się jednak, że statek kupiecki będzie się bronić, wtedy jest dwóch przeciwko jednemu. Każę zdjąć żagle i przytłumić parę, by spostrzegł nas, możliwie jak najpóźniej.

Poczyniono wszelkie konieczne przygotowania. Armatki nabito. Mały statek spieszył na spotkanie wroga.

Po jakimś czasie zbliżył się pirat do kupieckiego okrętu. Wciągnął czarną flagę piratów i dał znak wystrzałem armatnim, by tamten się zatrzymał. Miało się wrażenie, że okręt handlowy poznał już swój los. Wciągnął żagle i usiłował zbiec. Szybki zwrot wyprowadził go poza zasięg

wystrzałów. Pirat jednak uczynił to samo i popędził za nim. Był lepszym żaglowcem, dlatego dopędził swoją ofiarę.

Drugi strzał zahaczał nad morzem. Tym razem naładował korsarz ostro i jedna kula utkwiała w drewnianej części kupieckiego statku, odrywając zeń potężne kawały. Głośny krzyk radości dał się słyszeć od strony piratów, a złorzeczenia na statku kupieckim. Naraz ściągnął swoje żagle, skręcił, stanął tak, że korsarz przepłynął obok niego. W tej samej chwili zakłębiły się na pokładzie statku kupieckiego dwie chmurki, dwa strzały huknęły i zaraz spostrzeżono, jak nastąpiło natychmiastowe zamieszanie na pokładzie piratów. Oba strzały nie chybiły celu.

— Ach bardzo dobrze! — zawołał Helmer. — Broni się. Jest Anglikiem. Ma armaty i postanowił drogo sprzedać swoją skórę. Chłopcy jego umieją tego celować. Naprzód! Biermy rabusia w obroty z drugiej!

Oba okręty były naprzeciw siebie i waliły wystrzałami. Było widoczny że korsarz był lepszy od Anglika, ale ta cała kanonada nie przypadła mu do smaku. Naciągnął ponownie marsowe żagle, by wiatr pomagał mu w ataku na statek kupiecki.

— Chce wpaść na jego bok! — zawołał Sternau.

— Tak. Ale ten Anglik nie jest głupi. On także obrócił się i wystawił piratowi tylko dziób, niby lis, co pokazuje psu tylko zęby. Teraz ja dam pary. Za pięć minut będziemy koło nich i wtedy głośno pogadamy.

Z kominka jachtu wystrzelił ciemny, długi pas pary i w tej chwili zabrzmiał na angielskim statku okrzyk radości. Korsarz też zauważył nowego przeciwnika, ale postanowił nie zważać wcale na karzelka i nie przeszkadzać sobie w napadzie.

Nagle „Róża” przepłynęła obok Anglika. Kapitał stał na kwarterowym pokładzie i zawołał w dół:

— Hallo, tam na jachcie! Pomoc czy nie?

— Pomoc! — odpowiedział Sternau. — Nie poddajcie się!

— Ani nam w głowie!

Słowa swoje stwierdził potężnym wystrzałem w stronę rabusia. Cel nie chybiony. Odezwały się przekleństwa. Naraz dał się słyszeć głośny, gniewny głos:

— Wiosła na morze! Nacierać na nich! Gotów!

— To Landola! — rzekł Helmer. — Znam ten głos. Ale my nie pozwolimy, by napadał z boku.

Jacht popłynął łukiem i stanął tak blisko pirata, że mu nic nie mogły uczynić jego armaty.

— Ognia! — zakomenderował Helmer.

Działa huknęły, korsarzem zakołysało. Wszystkie kule utkwily w statku.

— Tak, teraz kartaczy trochę na pokład!

Dwa średnie działa jachtu posyłały korsarzowi ciągłe kule w ściany tuż pod linią wodną, a działa kartaczy waliły tymczasem o pokład. Landola dopiero teraz poznał, że mały Dawid jest groźnym przeciwnikiem i zwrócił się w jego stronę. Ale strzały nie mogły mu szkodzić, a przeciw kulom karabinów obwarował się Helmer matami, które wisiały nad pokładem.

Tak znalazł się korsarz między Anglikiem a jachtem. Oba statki trzymały się dzielnie i korsarz musiał przyznać, że położenie jego nie było zbyt miłe. Było jasne, że nie dostanie statku kupieckiego, dopóki nie pozbędzie się jachtu.

— Zaczepić tę przeklętą łupinę z orzecha! — zawołał Landola. W przeciągu dwóch minut na wodę spuszczone dwie łodzie z załogą, by opanować jacht.

— W to mi graj! — śmiał się Helmer. — Zaraz solidnie napiją się wody!

Kazał dać całą wstecz, by mieć wolny cel i sam stanął przy jednym z dział. Kula trafiła w zgięcie czółna i wyszła końcem. Wielu wiosłarzy rozerwała, zmiażdżyła ster. Łódź zaczęła tonąć. Ludzie skoczyli w morze, a drugie czółno nadpłynęło, by ich zabrać. Ale i ono dostało swoją porcyjkę i zanurzyło się szybko.

— Tak, a teraz dawajcie tu parę kartaczy, by nie dostali się na pokład!

Pirat poznał, że jacht jest dlań groźniejszym wrogiem niż okręt angielski. Pienił się z wściekłości.

— Miotać ręczne granaty! — zawołał. — My tego karła musimy rozerwać!

Wtedy wystąpił Sternau spod ochronnej maty i zawołał w górę:

— Henrico Landola, pozdrawiam cię od Korteja z Rodrigandy!

Na to korsarz zbladł. Widział, że go zdemaskowano i krzyczał z wściekłości:

— Granaty! Prędko! Prędko! Słyszycie! Ten drab nie ma prawa nam umknąć!

Ale Helmer oddalił się tak, że nie mogły go dosięgnąć ręczne granaty, wciąż jednak zagrażały mu działa korsarza. Dlatego ustawił się przed sterem nieprzyjaciela tak, że niebezpieczna mogła być tylko przednia armata. Teraz usiłował ostrzeliwać ster. Jeżeliby się to udało, to korsarz nie mógłby już dalej płynąć.

Poznał to Landola. Kazał naciągnąć żagle i chciał natrzeć na jacht, ale ten mu zręcznie umknął.

Tymczasem Anglik też nie próżnował. Był wprawdzie uszkodzony, ale i jego kule zostawiły tęgie ślady. Korsarz stracił dużo, gdyż musiał swoje siły dzielić na dwie strony. O zaczepieniu kupieckiego statku nie mogło być więcej mowy. A kiedy na dodatek zrozumiał, że jego stan jest bardzo poważny, gdy jacht zwrócił wszystkie swoje wystrzały w stronę steru. Naciągnął więc wszystkie swoje żagle i zmykał przy sprzyjającym wietrze, oddawszy w stronę kupieckiego statku jeszcze jedną kulę na pamiątkę.

Na pokładzie kupieckiego statku dał się słyszeć okrzyk radości na widok tej ucieczki. A kiedy jacht się zbliżył, przyjęto go z radością i wdzięcznością.

Sternau udał się z Helmerem na pokład uratowanego statku.

— To była pomoc, która nadeszła w samą porę, *sir!* — zawołał kapitan, wyciągając do nich rękę. — Wasz jacht to prawdziwie diabelny mały bohater!

— A pan sam także nie jesteś tchórzem, *sir!* — odpowiedział Sternau.

— Ba, to była tylko moja powinność! Jestem ciekaw, czy mnie ten łotr jeszcze raz zaczepi.

— Nie uczyni tego, a nawet gdyby, znowu służę pomocą.

— Wygląda na to, że chce mi pan towarzyszyć.

— Nie panu, tylko jemu. Ja szukam tego łotra już od paru tygodni i nie spuszczę go z oka.

— Naprawdę? — zapytał kapitan zdziwiony. — Czy ma pan z nim jakieś porachunki?

— Tak, i to dość duże! Ale proszę mi powiedzieć, czy płyniecie może do Kapsztadu?

— Tak.

— Proszę więc spełnić moją prośbę i poinformować wszystkich, żeś stoczył pan walkę z „Lionem”, z kapitanem Grandepriise i że te imiona jednak są fałszywe. Statek nazywa się „La Pendola”, a kapitan jest pewien Amerykanin, który faktycznie nazywa się Henryk Landola. Ja tymczasem będę udawał, że podążam pańskim śladem do Kapsztadu. Będzie się czuł bezpieczny, nie podejrzewając, że go prześladuję.

— A jeśli można spytać, to za co go pan tak prześladujesz, *sir!*

Sternau opowiedział mu tyle, ile uważał za potrzebne i wrócił na swój jacht, który skierował na południe, gdyż piraci popłynęli na południowy zachód. Kiedy byli tak daleko, że nie można ich było z tamtego statku dostrzec nawet przy pomocy lunet, Sternau nadał jachtowi ten sam kierunek.

— A teraz wiem, jak go schwycić — rzekł z przekonaniem Helmer.

— Jak? — spytał Sternau.

— Wie już, że go pan znasz i z pewnością sądzi, iż pospieszymy do Kapsztadu, aby opowiedzieć o wszystkim. Tajemnica jego została rozszyfrowana i on nie może być tam obecnie widzianym. Zawróci do Ameryki. Po drodze jednak musi załatać dziury i wymalować statek, a do tego nie ma stosowniejszego miejsca, niż wyspy Ameryki Środkowej. Tam go spotkamy.

Okazało się wkrótce, że przypuszczenia jego były słuszne.

Na jachcie spostrzeżono już drugiego dnia, że korsarz skierował się ku Ameryce. Wyprzedzili go, by czekać nań wśród wysepek morza karaibskiego.

* * *

Kiedy Sternau płynął do Ameryki, a książę Olsunna jechał do Moguncji, mieszkańcy Kreuznach nie przeczuwali nawet, iż grozi im wielkie niebezpieczeństwo. A przecież tak było...

* * *

Hrabia Alfonso siedział przy oknie w domu nauczyciela i patrzył na dywan pól i ogrodów. Długo był chory, jeszcze teraz nosił ręką na temblaku, czuł się jednak zdrowy i mocny.

W jego pobliżu stał Gerard Mason. On także miał zawiniętą rękę: uderzenie szyny kolejowej było gorsze, niż mu się to w pierwszej chwili wydawało. Jednak ciągle był na usługach swojego pana. Właśnie teraz otrzymał nowy rozkaz. Miał się udać do Kreuznach i dowiedzieć różnych rzeczy.

Hrabia Alfonso zwracał mu uwagę na różne sprawy, a szczególnie na to, że jest znajomym myśliwego i tylko do niego powinien się zwracać.

Gerard pojechał koleją do Moguncji i stamtąd udał się do Kreuznach, aby oglądnąć ofiarę, która miała zginąć z jego ręki. Szczęście mu sprzyjało, gdyż przechodząc przez las, spotkał między drzewami Kurta i poznał go zaraz.

Przywitali się serdecznie i idąc dalej rozmawiali, o niedawnej katastrofie kolejowej. To dało Francuzowi okazję opowiedzenia o ranach, jakie otrzymał jego pan. Słyszeli, że w Kreuznach mieszka niejaki doktor Sternau, który jest bardzo znanym lekarzem. Chcieli więc, by to on sprawdził, czy ramię dobrze jest złożone. Zresztą, jego pan zna doktora Sternaua jeszcze z Paryża.

Dowiedział się przy tej sposobności od gadatliwego Kurta, że Sternau jakiś czas temu opuścił Moguncję. Pomocnik myśliwego cieszył się, że może puścić wodze językowi i opowiadał wszystko, co wiedział o ludziach z zamku. Tak dowiedział się garoter o Rodrigandzie, o Korteju, o Henryku Landoli, którego teraz szukają, o Sternaule i Helmerze, pływających gdzieś po morzach.

Dziwna rzecz, wszystkie te imiona były w notatce, którą sobie Mason kiedyś odpisał. Ta informacja była widocznie w związku ze wszystkimi tymi zdarzeniami. Bardzo mu zależało na tym, by zobaczyć hrabiankę Różę, by dobrze poznać swoją przyszłą ofiarę.

Dlatego koniecznie chciał mówić z panią Sternau, i gdy tylko przybyli do Kreuznach, Kurt zameldował go hrabiance Róży. Ona, jej córka i Róża siedziały w pokoju matki. Kurt powiedział, że Francuz z Paryża chciałby mówić z hrabianką. Jest to ten sam, który podczas nieszczęścia na kolei został przygnieciony szyną. Obcy otrzymał pozwolenie wejścia. Kiedy stanął przed trzema damami, zamiast przed jedną, zatroskał się wielce. Wkrótce się jednak opamiętał i skłonił dosyć uniesienie.

— Przepraszam, *madame* — rzekł. — Chciałem właściwie mówić z panem doktorem Sternauem...

— Ten niestety wyjechał — rzekła do niego uprzejmie po francusku.

— Słyszałem o tym. Przynoszę mimo to serce pełne wdzięczności, którą chciałbym u nóg pani złożyć, skoro pana doktora tutaj nie ma.

— Zna go pan? Pan jesteś Francuzem, jak mi Kurt powiedział.

— Tak. Mieszkałem w Paryżu. Czy nie opowiadał pan doktor o biednej Anecie Mason?

— Nie znam tego imienia.

— To kobieta, która rzuciła się do Sekwany, a on mimo ciemnej nocy za nią skoczył w jednym z najgłębszych i najniebezpieczniejszych miejsc!

— Ani słowem o tym nie wspomniał!

— Wyciągnął ją i na własnych rękach zaniósł do porządnej kobiety. Potem załatwił j ej dobrą pracę u profesora Letourbiera... Wszystko to uczynił... Dlatego znajdując się w tej okolicy, chciałem mu za to wszystko uprzejmie podziękować. Jaka szkoda, iż nie mogę z nim rozmawiać!

Róża wstała. Śliczna jej twarzyczka jaśniała szczęściem słysząc o tym bohaterskim uczynku, który jej ukochanemu mężowi przypisywano.

— Musi pan być człowiekiem poczciwym, jeżeli okazujesz wdzięczność — rzekła. — Kiedy to się stało?

— Na krótko przed wyjazdem doktora z Paryża.

Spoglądał w jej oczy i czuł się całko wiecie pokonany tym jasnym promieniem, który od niej bił. To była żona doktora! To była Róża de Rodriganda, którą on miał doprowadzić do zguby! Nie, nigdy — przenigdy!

— Dziękujemy panu. Ogromną nam sprawiłeś radość swoją opowieścią. Czy nie moglibyśmy spełnić jakiegoś pańskiego życzenia? — zapytała.

— Nie mam żadnego, chyba tylko to, żeby się łaskawej pani zawsze dobrze wiodło.

— Dziękuję, mój przyjacielu!

— Jest kilkoro ludzi, którzy pani przeciwnie życzą...

— Skąd panu przychodzą takie myśli?

Nie mógł od niej odwrócić oczu. Był jej widokiem oszołomiony i ciągnął dalej:

— Są nawet ludzie, którzy czyhają na pani życie!

— Mój Boże! — zawołała przerażona.

— Tak, są ludzie, którzy najmują i opłacają morderców, by usunęli panią i pana doktora Sternaua. Ale pan Bóg wziął was w swoją osobliwą opiekę i nie dopuści, by wam bodaj włos na głowie się skrzywił.

— Pan mnie przeraża. O czym pan mówi?

— Powiem to zaraz, *madame* — rzekł, upojony bliskością takiej wspaniałej istoty. — Tu w pobliżu mieszka hrabia Alfonso de Rodriganda pod fałszywym nazwiskiem. Przyprowadził z Paryża mordercę, który miał panią zabić, ale ten człowiek udał się do Niemiec po to, by panią ostrzec. Więcej nie mogę zdradzić, *adieu!*

Nim go ktokolwiek zatrzymał albo mógł o coś więcej zapytać, obcy zniknął. Wszystkie trzy damy stały bez ruchu, jedna naprzeciw drugiej.

— Co to było? — zapytała Róża.

— Boże, jak się zlekłam — szepnęła matka.

— Czy to prawda, czy może się nam tylko zdawało? — zapytała córka.

— To prawda! Ale kim on był? — zapytała Róża.

— Siostra jego nazywa się Aneta Mason.

— Czy aby nie on sam jest tym wynajętym mordercą?

— Jego słowa to potwierdzają!

— A więc hrabia jest w pobliżu! Ale gdzie?

— Moje dziecko, zawołaj Kurta! — rzekła rozważna matka wśród tych pytań i odpowiedzi..

Wszedł zaraz.

— Wiecie, jak nazywa się ten człowiek, co przyszedł do nas?

— Nie.

— Kim jest?

— Służącym włoskiego markiza, który mieszka u nauczyciela Weltera. Podczas tej słynnej katastrofy kolejowej złamał rękę i lekarz go kazał tam umieścić.

— Młody jest czy stary?

— Nie widziałem.

— Hm! Każ zaprzęgać! Natychmiast!

Kurt wyszedł.

— Jedziemy przyglądać się temu markizowi. Kochana Róża jedzie z nami. Jeżeli to będzie hrabia, aresztujemy go. Nie! Jedźmy najpierw do prokuratora, zabierzemy go ze sobą. Ale zbierać się i to szybko! Inaczej może być za późno!

Gerard samotny wracał lasem. Był oczarowany Różą. Nagle spostrzegł domek, mieszkanie Tombiego. On sam stał przed chatką i coś tam poprawiał przy dachu. Ujrzał obcego, popatrzyli na siebie obaj.

— Kim pan jest? — zapytał Tombi.

— Cudzoziemcem. Chcę przez las dojść do Moguncji. A pan kim jesteś?

— Jestem leśniczym pana rotmistrza Rodensteina. Czy koniecznie musi pan iść lasem?

— Nie, ale taki mam kaprys.

— Mówisz pan po niemiecku, z cudzoziemskim akcentem.

— Jestem Francuzem.

— A ja Hiszpanem. Hiszpańskim Cyganem.

Gerard przypomniał sobie odpisaną notatkę. Co przeczyta ten mieszkający w lesie człowiek, o tym nie dowie się z pewnością nikt, gdyż kogo tam obchodzi biedny Cygan?

Spoczął w jego izbie, a w czasie rozmowy zapytał:

— Mam stary zeszyt. Znalazłem go. Zapisany jest po hiszpańsku. Czy moglibyście nań popatrzeć?

— Tylko mi go pokaż!

Cygan przeczytał i wetknął spokojnie w swoją kieszeń.

— No?

— Jest po hiszpańsku.

— A o czym jest?

— Nic co was dotyczy!

— Oho! A może mi oddacie zeszyt?

— Nie ani mi się śni.

Gerard, garoter wyprostował się i zapytał:

— Dlaczego nie?

— Bo to nie wasza własność! To hrabiego Alfonsa de Rodriganda, jak to wynika treści.

— No, to mu oddam, bo zgubił.

— Nieprawda!

— Nieprawda? — zawołał garoter rozgniewany. — Nie drażnijcie mnie! Nie lubię oporu!

— Mamy więc — te same nawyki — rzekł Tombi spokojnie. — To nie notatki hrabiego, tylko odpis. Znalazłeś książkę i odpisałeś. Oryginał jest u hrabiego, odpis tu, by go w potrzebie spieniężyć.

Olbrzymi garoter stał przed zwyczajnym leśniczym jak przed egzaminatorem.

— Nie oddacie mi?

— Nie.

— To potrafię odebrać przemocą! — zawołał ściskając groźnie potężne pięści.

Tombi zaśmiał się i rzekł:

— Nie znacie mnie, gdyż mówilibyście inaczej. Ja was znam. Nigdy się nie odważycie położyć na mnie ręki. Poznałem was zaraz i dziwię się, że widzę was tutaj. Jesteście uczniem słynnego fryzjera Terbillona. Gerard Mason, słynny garoter!... Ale nie bójcie się! Jesteśmy przyjaciółmi. Jestem Cyganem Tombi, synem Zarby, którą musicie znać!

— Ach, znam! — zawołał zdziwiony.

— Zarba ma spis swoich sprzymierzeńców. Imię Gerard figuruje tam również. Byłem długo w Paryżu i znam was. A teraz powiedzcie, w jaki sposób zdobyliście ten notatnik? Możecie mi zaufać!

— Nie śmiem tego powiedzieć, bo nie chcę zdradzać ani szkodzić człowiekowi, u którego służę. Kiedy nie będę jego służącym, wtedy wszystko jestem gotów wyznać.

— Dobrze, nie będę się dopytywał, ufam wam. Jeżeli jednak będę później potrzebował to wiedzieć, wtedy mi tajemnicę odsłonicie. Teraz jednak sądzę, że książeczka owa zostanie u mnie.

— Tak jest. Niebawem wyjadę do Paryża.

— A więc rozchodzimy się jak przyjaciele. Pożegnali się.

Kiedy Francuz wyszedł z chaty, Tombi otworzył książeczkę i rzekł z triumfującą miną:

— Co za szczęście! Co za przypadek! Przychodzi Mason, który mnie nie poznał, bo nosiłem w Paryżu perukę, nie wie biedak, jaki skarb posiada, oddaje mi drogocenną rzecz!... Mamy klucz do ważnej zagadki. Muszę o tym poinformować zaraz Zarbę.

I Gerard był zdziwiony tym spotkaniem, chociaż nieraz mu się zdarzyło, że w jakimś niepozornym człowieku odnajdywał członka szerokiego bractwa, które tułało się po różnych krajach, a do którego należała Zarba ze swoimi poddanymi. Szedł tak lasem i myślał o Róży.

Ta wspaniała kobieta wywarła nań głębokie wrażenie. Ją miał zamordować?... Ona była do tego wszystkiego żonatego, który ocalił jego siostrę!

Ale swojego teraźniejszego pana nie chciał zdradzić. Był wprawdzie człowiekiem gwałtownym, który nie zadrzał przed żadnym morderstwem, ale kłamać nie lubił. Dlatego też postanowił swemu panu powiedzieć wszystko.

Przyszedł dopiero późnym wieczorem do domu.

W pokoju hrabiego było ciemno, on sam przebywał z rodziną nauczyciela.

— Ach! — pomyślał garoter. — To doskonałe. Nie zabiję tej pięknej kobiety, to stracę obiecaną sumę. Ten tak zwany markiz Acrozza jest łotrem, wystąpię z jego służby ale najpierw za moje wszystkie trudy muszę otrzymać zapłatę.

Wśliznął się do mieszkania Alfonsa, zapalił światło. Tu stał kuferek podręczny, w którym znajdowały się rzeczy wartościowe, klucz tkwił w zamku. Gerard otworzył i zobaczył pełną kieszę, którą obejrzał i zabrał. Mieściła sześćdziesiąt tysięcy franków. Obok leżały dwie szkatuły pełne złota.

— Piękna ci sumka! — pomrukiwał garoter. — Teraz mogę sobie wyprawić wesele i stać się porządnym człowiekiem. Jak też się uraduje moja dziewczyna! To nie zbrodnia zabrać te pieniądze. Teraz markiz używa ich tylko na zbrodnie, a ja użyję ich, by stać się szczęśliwym i rozpocząć porządne życie!

Zabrał wszystko, zamknął kufel, zgasił światło i niezauważony przez nikogo wyszedł z pokoju.

A teraz udał, że wraca ze swojej wycieczki. Markiz na jego widok podniósł się i kazał iść za sobą na górę. Kiedy jednak z pokoju nauczyciela weszli do sieni, garoter rzekł do Alfonsa:

— *Monsieur*, nie chodźmy tam. To o czym mamy pomówić, to najlepiej zrobić w samotności.

Wyszli do i ogrodu przekonali się, czy aby ktoś ich nie podsłuchuje.

— Dlaczegoż mnie zaprowadziłeś aż tutaj? Czy to jakaś tajemnica?

Zapytany rozkroczył nogi, włożył ręce do kieszeni, w których były pieniądze i rzekł z pewnością siebie, charakteryzując bogatego człowieka, który rozmawia z ubogim chłystkiem:

— Bardzo dużo, bardzo dużo! Nawet się nie spodziewasz, *monsieur*! Nasza misja bowiem spaliła na panewce! Słyszałem od mojego znajomego myśliwego tyle rzeczy, iż sprawa wzięła całkiem inny kierunek. Przede wszystkim wiedz pan, że Róża de Rodriganda jest zamężna.

— Do diabła! Z kim?

— Z doktorem Sternauem. A ten wypuścił się na morze, by złapać kapitana Landolę!

— Paskudna sprawa! — rzekł Alfonso głosem drżącym.

— Czekaj no, *monsieur!* Przyjdzie jeszcze gorsze! W Kreuznach wiedzą już, iż niejaki hrabia Alfonso de Rodriganda przybył z Hiszpanii do Niemiec.

— Czyś zwariował?

— Nie — zaśmiał się Francuz. — Nie dano mi żadnej takiej trucizny, jak hrabiance Róży, nie zwariowałem więc.

— Człowiecze! — wybuchnął Alfonso.

— Pst, *monsieur*, mówmy cicho — przestrzegał Mason tonem lekceważącym. — W Niemczech wiedzą nawet, że ten don Alfonso mieszka u nauczyciela, pod przybranym imieniem markiza de Acrozza.

Alfonso nie odpowiedział zaraz, dopiero po chwili namysłu rzekł:

— Czy to możliwe?

— Tak jest. Sądzę, że starają się już o to, by tego Alfonso de Rodriganda, a właściwie to Korteja, uwięzić.

— No niech tylko przyjdą! Nie poznają mnie. Maską papy Terbillona trzyma się jeszcze.

— Ale jest w kiepskim stanie. Szminka już złazi. Zmarszczki zanikają, brodę wycofuje włos naturalny, który podраста. Pierwszy lepszy policjant pozna, że to tylko sztuczka. Jestem o tym przekonany.

— A więc zabierajmy się stąd, wyszukamy sobie bezpieczniejsze miejsce. Ja nie opuszczę Niemiec, dopóki nie zginie Róża!

— Ona nie zginie, już ją ostrzeżono, panie!

— A któżby to mógł uczynić, kiedy nikt nie wie w jakim celu tu przybyliśmy?

— Ja sam ją ostrzegłem — rzekł Mason otwarcie.

— Ty? Człeku, czy ci się może na żarty zbiera?

— *Monsieur*, chyba dobrze pan słyszy? Jestem Gerard Mason, garoter paryski. Znają mnie jako człowieka tęgiego, który żartować nie lubi. Ten doktor Sternau uratował mi siostrę. Nie zniosę tego, by jemu lub komukolwiek z jego krewnych bodaj włos z głowy spadł. Chce pan zabić kobietę, która na dodatek uchodziła za pańską siostrę. Nie jesteś pan bowiem ani markizem ani hrabią. Mówimy otwarcie. Ja jestem Mason Gerard, pan zaś tylko Alfonso Kortejo, oszust i morderca. Jesteśmy sobie równi i powiadam panu, że doktor Sternau pozostaje teraz pod moją opieką. Byłem dotychczas u pana na służbie i nie będę działać przeciwko panu. Wprawdzie przestrzegłem rodzinę Sternaua, ale pana nie zdradziłem. Ma pan czas na ucieczkę. Wracaj szybko do Hiszpanii! Ja będę strzec pani Sternau i powiadam panu: z pańskiej strony nie może jej spotkać najmniejsza krzywda, inaczej zginiesz pan z nieubłaganych pięści garoter. Nie sądz, że jesteś potężniejszy ode mnie. Pańska potęga leżała w pieniądzech. Nie masz pan ich więcej. Ta potęga teraz w moich rękach. Proszę nie zapomnieć tego, co powiedziałem. Ja słowa dotrzymam. Bądź pan zdrow!

Ścisnął ramię Alfonsa i zginął w ciemnościach nocy. Alfonso stał, jakby raniony gromem.

— Wszystko daremnie! Poznałem, że z tym człowiekiem nie ma żartów.

Wrócił do domu, do swego pokoju. Zapalił lampę, otworzył kufer i krzyknął z przerażenia.

— Wszystko zginęło! Pugilares i szkatuła! Sześćdziesiąt tysięcy w papierach, a dziesięć tysięcy złotem! Ha, złodziej!

Patrzył na miejsce, skąd zniknęły rzeczy i mruczał:

— Zostało mi tylko trzysta franków, które mam przy sobie. Muszę uciekać i to zaraz. Powiedział mi przecież, że mnie prześladowają. Ale ta mała suma wystarczy na jakiś czas. Potem dotrę do jakiegoś bankiera, któremu będę się mógł przedstawić, nie narażając się na niebezpieczeństwo. Miałem szczęście, że legitymacje moje nie zginęły.

Zapakował w kufer to, co było niezbędne i potajemnie opuścił dom. Zginął tak samo w ciemnościach nocy, jak przedtem garoter. Róża uniknęła wielkiego niebezpieczeństwa. Po

dwóch godzinach, w domku nauczyciela, gdy już wszyscy położyli się spać, zjawił się prokurator z Moguncji, w towarzystwie kilku żandarmów. Zbudzono ze snu całą rodzinę, a kiedy przeszukano komnatę markiza, przekonano się, że zarówno pan jak i sługa uciekli. Zaraz podjęto pościg, wszystko daremnie. Szczęśliwie udało im się uciec.

W kilka dni później przybyło do Moguncji kilku pasażerów, którzy udali się do najlepszego hotelu. Byli to trzej mężczyźni; dwaj starsi i młodszy, a towarzyszyła im dama o niespotykanej urodzie i dwoje służących.

Starszy pan, wyglądał na chorego, siedł jednak obecnie wyprostowany, miał wygląd dystygowany, a nawet władczy. Młody pan wyglądał na artystę, a po damie poznać było, że obracała się w najwyższych sferach.

Był to książę Olsunna z Florą i jej narzeczoną Ottonem. Przyjechali w związku z bardzo ważną sprawą. Szczególnie wzruszony był malarz. Dziecinna jego miłość rozplomieniła się na widok ojczystych stron. Nie mógł dłużej wytrzymać, dlatego też skoro stanęli w hotelu, kazał książę napisać Florze następujący bilet:

Pani Róża Sternau, w Kreuznach!

Oznajmiamy nasze przybycie. Nie wiedząc jednak, czy nasze odwiedziny miłe będą panu rotmistrzowi, prosimy o łaskawe poinformowanie nas o tym. Przyczyny jednak, których pisemnie nie możemy wyjaśnić, zmuszają nas prosić Panią o osobiste zjawienie się u nas, gdyż chcielibyśmy mieć przyjemność, zanim dalej wyruszymy, przedstawić się pani.

Z najgłębszym szacunkiem Franciszek baron Haldenberg

Z tym listem udał się służący do Kreuznach. Zastał mieszkańców zgromadzonych u rotmistrza. Róża przeczytała pismo i nie mogła przemilczeć jego treści. Zapanowała powszechna radość, gdyż już dawno przygotowywano się na te odwiedziny.

— Bogu dzięki, że ten baron Haldenberg już raz do nas przywędruje! — zawołał rotmistrz. — No teraz dowiemy się konkretnie, jakim to sposobem poznał naszego doktora Sternaua.

— I czy poznał miejsce pobytu mojego nieszczęśliwego, zaginionego ojca! — dodała Róża. — Dziwi się jednak bardzo, że ten baron ma tak kobiece pismo. Wpadło mi to w oko już przy pierwszym liście i nawet mi się zdawało, że pismo to jest mi znane.

— O tak, są mężczyźni, którzy piszą tak delikatnie, jak białogłowy — rzekł kapitan i śmiejąc się, dodał: — Moje litery pozna każdy, natychmiast wie, jaki to niedźwiedź bazgrał, mociumdzieju! Ale, ale... moja miła pani Sternau, komu w drogę, temu czas. Jedź pani jak najszybciej z posłańcem do Moguncji i przytaskaj mi tego barona, nawet siłą.

Pojechali.

Kiedy książę zobaczył, że przybysze wysiadają z wozu, zaprowadził hrabiego Emanuela do bocznego pokoju, chcąc go ukryć i poczekać na stosowną chwilę.

Róża została zaproszona do środka. Skoro spostrzegła obecnych, stanęła ze zdziwienia.

— Mój Boże, czyż to możliwe! — zawołała — Książę Olsunna! Wasza wysokość tutaj? I seniorita Flora, także!

Flora przystąpiła do niej.

— Tak, to my, moja kochana — rzekła. — Nie oczekiwała nas pani tutaj z pewnością, my też. Tym większa radość ze spotkania z panią!

— Jestem bardzo szczęśliwa — mówiła Róża. — Radość moja jest ogromna, choć tak niespodziewana. Szukam niejakiego barona Haldenberga i zdaje się, że wskazano mi fałszywą izbę. Mimo to jednak...

— Nie hrabianko, wskazano pani prawidłową izbę, tylko my tutaj czekamy na panią. Mieliśmy ważne powody by zataić nasze nazwisko, gdy Flora pisała listy.

— Ach, wasza dostojność, zaraz poznałam, wiedziałam, że znam to pismo!

Róża usiadła i Flora zaczęła opowiadać o Karolu i okolicznościach, w jakich się poznali.

Powiedziała o chorobie ojca i braku jakichkolwiek nadziei na jego wyleczenie. I właśnie wtedy zjawił się doktor Sternau. Róża słuchała z rozpromienionym obliczem. Bardzo cieszyły ją pochwały, spływające na ukochanego męża. Książę milczał. Przyglądał się młodej kobiecie i przyznał w skrytości serca, że piękniejszej istoty nie było na ziemi.

Otto Rodenstein także siedział milcząco.

Z pewnych względów nie przedstawiono go Róży. Rozmyślał, o tym, iż on i Sternau są najszcześniejszymi ludźmi na świecie, gdyż posiadli miłość tak ślicznych istot.

Kiedy Flora skończyła opowiadanie, Róża spytała:

— Pisaliście państwo o śladach mojego ojca, które odkryliście dopiero po odjeździe mego męża.

— Tak i żałowaliśmy wielce, że pana Sternaua nie było już z nami.

— O, proszę opowiadać! Jak to było?

— Wpadliśmy na ślad — wmieszał się książę, chcąc rozmowę poprowadzić ostrożnie.

— Poszczeniło się, proszę mi powiedzieć?

— Może!

— Może? Ach, co to ma znaczyć?

— W pobliżu nas przebywał pewien obłąkany. Trzymano go w zamknięciu. Dowiedzieliśmy się, że wypowiada zawsze te same słowa: „Ja jestem wierny, poczciwy Alimpo”. Badaliśmy dalej i dowiedzieliśmy się, że niejaka Cyganka Zarba ma coś wspólnego z tą sprawą.

— Zarba? Ach, jeżeli to ona, to rzeczywiście był to ojciec. Boże mój, Boże! Państwo pewnie nie straciliście go z oczu?

— Nie, hrabianko i sądzę, że to nas doprowadzi do celu. Może nawet wkrótce dowiemy się o miejscu jego pobytu.

— Ach, ja sądzę, że państwo już je znacie!

— Znajdował się w latarni morskiej na pół jako więzień. Jak się zdaje, miano go stamtąd zabrać! Teraz on...

— Gdzie? Gdzie?

— Proszę bardzo moja hrabianko, zapanować nad sobą! Nadmierna radość szkodzi tak samo, jak strach!

— Radość! Mówisz pan o radości! O, książę masz dla mnie dobrą, szczęśliwą nowinę!

— Nie będę temu przeczył. Musi pani jednak obiecać, że będzie dzielna, jeżeli przypadkowo udzielimy jej tej wiadomości?

Róża popatrzyła badawczo w jego oblicze, wstała z krzesła i odrzekła poważnie:

— Wasza książęca mość, tyle już przeżyłam ciężkich dni, że serce moje jest zahartowane. Mogłabym teraz przyjąć i jedno i drugie do wiadomości: wieść najstraszniejszą i najszcześniejszą, nie mdlejąc nawet. Proszę odpowiedzieć, czy mój ojciec jeszcze żyje?

— Tak.

— Nadal jest obłąkany?

— Niestety.

— Gdzie się znajduje? Daleko stąd?

— Nie.

Na ślicznym jej licu, mimo poprzednich zapewnień, przemknęło wzruszenie. Zapanowała jednak nad sobą.

— Dziękuję panu! Wiem dlaczego książę usiłował być ostrożnym w odpowiedziach. Czy mam powiedzieć panu, co myślę i czuję?

— Proszę bardzo.

Na licu jej zjawił się żywy rumieniec, po nim bladeść. Odgadła wszystko. Teraz tylko odpowiedziała drżącym głosem:

— Książę, ojciec jest u pana, tutaj!

Powiodła okiem po komnacie. Spozregła drzwi prowadzące do bocznego gabinetu. Szybkim krokiem przystąpiła i otworzyła je. Głośny okrzyk radości... i nim do niej przystąpili — już ujęła ojca w swoje ramiona.

I tak trwali.

Ona głośno płacząc, on zwróciwszy na nią bezduszne oczy. Czuł jej uściski, ale nie wiedział kto to był i co się z nim działo.

— Ojczy, mój ojczy, kochany, dobry, biedny mój ojczy! Nie znasz mnie już? — zapytała. — Ja jestem twoja Róża! O, odpowiedz mi choć jednym jedynym słówkiem.

Patrzyła nań z oczekiwaniem. W jego twarzy nie zmieniło się nic. Tylko blade usta wydały z siebie monotonny, żalony dźwięk:

— Jestem wierny, poczciwy Alimpo.

Wszyscy myśleli, że odpowiedź ta wstrząśnie Różą gwałtownie i przyniesie niepożądane skutki, stało się inaczej. Pocałowała obłąkanego w rękę rzekła:

— Ach tak, ty jesteś nadal chory, mój biedny tatku! Ale kiedy tylko dzisiaj ujrzysz wiernego Alimpa, nie będziesz już zamieniał z nim roli. A jeżeli i to nie pomoże, to wróci mój mąż i wyleczy cię. On ma środki, które i mnie pomogły.

Wprowadziła chorego do większej izby, posadziła koło siebie na sofie i słuchała, jakim to sposobem udało się go wydostać. W trakcie tego nastąpiła pora, by przedstawić hrabiance Ottona Rodensteina. Kiedy usłyszała nazwisko, zdziwiła się wielce.

Podczas swojego pobytu w Kreuznach słyszała o niesnaskach rotmistrza z synem, nie wiedziała jednak, iż ten był zawsze i wszędzie przyjacielem jej męża.

— Jak cudownie! Panie Rodenstein, duże zasługi ma pan w odkryciu mojego ojca. To odegra wielką rolę. Śmiem sobie schlebiać, iż posiadam ogromną miłość pańskiego ojca i dlatego spodziewam się, że prośba moja zostanie przez niego wysłuchana! Nie zostawię pana bez opieki i pomocy!

Podala mu rączkę, którą z poważaniem podniósł do ust. — Co się tyczy pomocy, — rzekł książę — to nie jesteś pani jedną, na której wstawianie się może liczyć pan Rodenstein. Ja sam i Flora będziemy z całych sił pracować nad tym, by go pojednać z ojcem i spodziewam się, że pan rotmistrz nie odrzuci prośby swojej synowej.

— Synowej? — zapytała Róża ze zdziwieniem. — Aha, to ma on może jeszcze syna, który jest żonaty?

— Nie.

— A więc pan jesteś żonaty, panie Rodenstein?

— Nie, tylko zaręczony na razie — odpowiedział ze szczęśliwym uśmiechem zapytany.

— Czy wolno wiedzieć z kim?

— Pewnie, łaskawa pani! Proszę mi pozwolić przedstawić moją narzeczoną!

Wziął Florę za rękę i oboje złożyli głęboki, na pół ceremonialnie poważny, na pół zartobliwy ukłon.

Róża nie wiedziała, co się stało. Nie wierzyła. — Naprawdę? Czyż to możliwe?

— Nie tylko możliwe, ale nawet prawdziwe — odpowiedział książę. — Pokochali się, a moja córka była zdania, że może być tak samo żoną malarza, jak hrabianka de Rodriganda żoną lekarza.

— O książę, proszę nie mówić żoną lekarza, tylko szczęśliwą żoną! — zawołała Róża, a podskoczywszy z krzesła uściskała Florę.

— To zdarzenie, które witam z radością. No, teraz już nasz stary burczymucha nie będzie dłużej zwlekać z przeprosinami, a sam swoją rękę pierwszy poda do zgody. I wszyscy będziemy żyć szczęśliwi.

Teraz jedźmy do Kreuznach!

— Bardzo chętnie, ale panu Rodensteinowi życzyłbym na razie nie zjawiać się tam. Jego przybycie do domu musi poprzedzić delikatne przygotowanie.

— Pewnie — rzekła Róża. — Ale za daleko nie może mieszkać.

Musi być pod ręką, na zawołanie. Tutaj już rozstrzygnął sam Otto: — Jadę do Kreuznach, ale nie udaję się z wami do zamku, tylko zostanę u pani stemikowej Helmer. Ten projekt przyjęto jednogłośnie.

Książę wypytywał teraz o panią Sternau. Po czym przystąpiono do wyjazdu. Powóz Róży naturalnie nie wystarczył, wynajęto jeszcze jeden.

Róża jechała ze swoim ojcem. Nie odstępowała od niego i patrzyła nań na poły z radością, na poły ze smutkiem.

Otto wysiadł przed Kreuznach, by dostać się lasem do folwarku i przy tym przynieść pani Helmerowej miłą wiadomość, że rozmawiał na pokładzie jachtu z jej mężem. Tamci pojechali do zamku.

Pod portalem swojego domu oczekiwał nadleśniczy przybycia gości. Obie damy Sternau nie były obecne. Były w kuchni, przygotowując ucztę dla gości.

Książę wyglądał zadowolająco. Zdrowie jego polepszyło się. Był w podniosłym nastroju, a siły jego wręcz się mnożyły.

— Witajcie mi, witajcie w Kreuznach! — zawołał rotmistrz, przystępując do wozu i pomagając wysiadującym. — Pan baron Haldenberg?

— Do usług — odpowiedział prędko książę, by nie dopuścić Róży do słowa i nie zdradzić swojego incognito. — A to moja córka Flora, panie rotmistrzu!

Kapitan ukłonił się z głębokim uszanowaniem, myśląc sobie skrycie:

— Do diabła, co za piękna kobiecina! Ma oczy jak jakaś księżniczka!

— A tu, któż to, panie rotmistrzu? — zapytała Róża wskazując na siedzącego obok ojca.

— Ten pan, hm, tego nie znam.

Wtedy zwrócił się obłąkany ku niemu i rzekł:

— Ja jestem wierny, poczciwy Alimpo!

— Do kaduka! — zawołał nadleśniczy i nieco przerażony odskoczył... — zdaje mi się, hm, do diaska!

— No, co pan myślisz? — zapytała Róża.

— A do tysiąca bomb... mociumpanie! Czy to nie ojciec pani, hrabia Emanuel de Rodriganda, he?

— Tak to on — odrzekła. — Wyobraź pan sobie moją radość, tę niespodziankę!

— Hola! Hurra! Alleluja! Do tysiąca beczek, furgonów... Hrabia u nas! Kurt, Robert, Henryk, Wiluś, a gdzie ci oberwańcy? A nie przylecisz mi który tam, mociumpanie, aby mi jego wielmożność wysadzić z wozu, a wy darmożady!

Zawołani zjawili się i postawili chorego na ziemię. Róża zaprowadziła go do sali przyjęć, towarzyszyła im reszta gości. Rotmistrz nie mógł stłumić swojej olbrzymiej ciekawości i zapytał: — Ale panie baronie, skąd pan przywozi hrabiego?

Zapytany opowiedział rzecz krótko, nie nazwał syna rotmistrza po imieniu, tylko mówił ogólnie o przyjacielu doktora Sternaua.

— A do kaduka, co za szczęśliwe spotkanie! Gdyby nie było tego przyjaciela, nie mielibyśmy hrabiego między sobą.

— Pewnie, a oprócz tego nie mielibyśmy bardzo przyjemnej uroczystości, o której się pan zaraz dowiesz.

— Jakiej uroczystości?

— Cierpliwości tylko na krótki czas, panie Rodenstein. O wszystkim pan się dowie!

— No, no, dobrze, dobrze. Już cierpliwym się urodziłem, ale widzę, mociumpanie, że państwo byście sobie nieco odpoczęli. Proszę mi pozwolić, że wskażę panu i panie Florze pokoje. Nasza Róża o swojego papę zadba sama.

Zaprowadził oboje do przeznaczonych pokoi, gdzie znaleźli posługę. On zaś udał się do kuchni, by przygotować posiłek.

- Są już tutaj. I hrabia Rodriganda także.
- Hrabia Rodriganda? — zapytała pani Sternau zdziwiona. — Który?
- Obląkany.

I tu nastąpiło zdziwienie. Rotmistrz popędzał ich do pilności. Róża ze swoim nieszczęśliwym ojcem pierwsza przyszła do jadalni. Obie damy nakrywały do stołu. Rozmawiały z rotmistrzem, kiedy Flora weszła z ojcem.

Pani Sternau rzuciła badawcze spojrzenie na oboje i poznała księcia mimo tylu lat i zmian, jakie w nim zaszły.

— Książę Eusebio Olsunna! — zawołała, blednąc ze strachu.

— Książę Olsunna? — zapytał Rodenstein. — Nie pani Sternau. Ten pan jest baronem Haldenbergiem, a ta dama to jego córka.

— Proszę o przebaczenie! — zawołał książę. — Moje nazwisko rzeczywiście nie brzmi Haldenberg, a Olsunna. Miałem powód zmienić je na krótki czas i sądzę, że mi przebaczycie państwo.

— A do pioruna, mociumpanie! Sam książę! A czy nie poznałem zaraz! Czy ona nie wygląda na księżniczkę! — zawołał rotmistrz, otworzywszy gębę ze zdziwienia.

Tymczasem Flora przystąpiła do pani Sternau i wyciągnawszy obie ręce, rzekła:

— Nie znamy się nawzajem, gdyż dawne to czasy, kiedy pokochałam seniorem Walser i bardzo za nią tęskniłam. Jestem małą Florą Olsunna, pani Sternau. Czy nie będziemy dobrymi przyjaciółkami, jak niegdyś? Witam panią i proszę o to bardzo!

Na te słowa przerażenie damy ustąpiło. Bładość odeszła z jej twarzy, łyzy zaświeciły się w oczach i wibrującym ze wzruszenia głosem odrzekła:

— Jaka piękna dama wyrosła z małej Flority? Witam panią serdecznie. Dlaczego nie miałabym zachować dawnej przyjaźni względem pani. Witaj kochanie!

Kiedy Flora przystąpiła z kolei do panny Sternau, książę zbliżył się do matki i rzekł po hiszpańsku, by go rotmistrz nie zrozumiał:

— Zgrzeszyłem srodze, seniora, przeciwko twojej osobie. Długi czas byłem bliski śmierci i nie mogłem umrzeć, nie pozbywszy się mojego wielkiego grzechu. Przebaczysz mi pani? Uczyni to proszę, ze względu na moją córkę!

Rzuciła nań głębokie i poważne spojrzenie. Błyszczało w nim miłosierdzie i wzniosłość niewieściego serca. Podała mu rękę i rzekła:

— Wasza wysokość, przebaczam wszystko.

Parę słów było to tylko, ale on je odczuł i poznał, że mieściły w sobie prawdę, nie obłudę. Dlatego odpowiedział:

— Dziękuję pani! Może daje mi pani okazję pokazania całej głębi mojej skruchy. Gorąco będę się starał, by zmasać tę ogromną winę względem pani.

Podczas obiadu panował najpierw, jak to zwyczajnie bywa, troszkę sztywny nastrój, który później stał się serdeczniejszym. Książę przyglądał się pani Sternau i zauważył, że mimo tylu lat, zachowała wielką część tej piękności, która wtedy dla niej stała się przyczyną tragedii. I ona rzucała często badawcze spojrzenie na księcia i przekonała się, że czyni na nią inne wrażenie niż niegdyś. Serce kobiety jest słabe wobec wrażenia cierpienia i ślady jego wielkiej choroby obudziły w niej współczucie, o co by się nawet nigdy nie podejrzewała.

A kiedy potem popatrzyła na Florę, roztajało jej serce. Tak, to była taka sama dama, jaką kiedyś chciała w niej widzieć. Już jako dziecko miała, ten sam charakter bez fałszu i obłudy. Czuła do niej nadzwyczajną sympatię. Cieszyła się więc serdecznie, kiedy Flora po obiedzie przyłączyła się do niej na przechadzce w ogrodzie. Tu się zbliżyły do siebie dusze obu dam. Poczyły, że są sobie bliskie, że muszą się wzajemnie kochać. Flora ujęła wreszcie ręką kibić swojej dawnej wychowawczynie i cichutko rzekła:

— Moja kochana pani Sternau! Tatko uda się do pani z wielką prośbą. Czy spełni ją pani?

— Tak, jeżeli będę mogła.

— Może będziesz pani mogła. Życzę jej tego z całego serca.

— Co to będzie za prośba?

— Nie polecił mi ojciec jej wyjawiać, ale lepiej będzie, jeżeli panią przygotuję. Tatko chce panią prosić, byś została pani księżną Olsunna!

Było to za nagle wypowiedziane ważne słowo.

Pani Sternau aż stanęła i rzekła przerażona:

— Księżną Olsunna?

— Tak, moja droga, kochana seniora Walser — odpowiedziała Flora, wołając ją pieszczotliwie jak za dawnych czasów. — Ma pani zostać księżną Olsunna, a więc moją mamcią. O, jakże by mnie to nieskończenie radowało, gdybyś mu nie odmówiła tej prośby!

— Niemożliwe! Niemożliwe! Śni mi się chyba! Co pragnie osiągnąć księżę, stawiając taki potworny wniosek?

Wtedy Flora przyciągnęła ją do siebie:

— Chodzi o to, by mi było wolno stać się siostrą mojego brata, za którym tak bardzo tęsknię. Karol Sternau ma się stać don Karlosem de Olsunna, by poszło w zapomnienie wszystko, co się stało.

Na to zarumieniła się pani Sternau tak, jak młodziuteńka dziewczyna. Kto by ją teraz zobaczył, musiałby poznać, że była niegdyś piękną dziewczyną.

— Mój Boże! Księżę wszystko wypaplał? Wiesz pani?...

— Że syn pani jest moim bratem? Wiem. Kiedy ojciec leżał na śmiertelnym łożu, powiedział mi o tym, a ja z ogromną radością przystałam na to, by tego brata odszukać i pozyskać.

— Cieszy mnie to bardzo. Czy księżę wszystko pani opowiedział?

— Wszystko. Całą swoją ciężką winę opowiedział mi. Na pani nie ciąży najmniejsza wina, żaden zarzut jej nie dotknie, żaden. Pani z całą pewnością wszystko mu wybaczysz, gdy ujrzysz, jaki on skruszony.

— Już mu przebaczyłam — zabrzmiał słodki głos.

— Dziękuję pani serdecznie! Szukał on długo syna pani, bardzo długo. Usiłował go znaleźć lecz nadaremnie, aż przyszedł do nas pan Rodenstein i powiedział, gdzie się pani znajduje! Ach, proszę nie odpychać ojca! Hrabianka Róża to poczciwa kobieta, ona ofiarowała swoją rękę synowi pani z czystej miłości, ona tak dużo wycierpiała. Jest godna, by zostać księżniczką Olsunna!

— Przebacz mi pani, moje słodkie dziecko, że nie od razu podejmę w tej sprawie decyzję. Chodzi tu o krok wielkiej wagi, tu nie można działać opieszale. Muszę się pani przyznać, że mojego męża nie kochałam gorącą miłością, jakby należało. Wyznam też otwarcie, że już nie gniewam się na pani ojca, ale nie odważyłabym się pokusić o koronę księżęcą, która by mi wprawdzie zaszczyty przyniosła, ale zniszczyła mój spokój, jaki daje cisza wśród pracy i samotność. Uczyniłabym to tylko dla mojego syna. W każdym jednak razie muszę koniecznie głębiej się nad tą sprawą zastanowić.

— Ach, wiem to, wiem doskonale, że ponosi pani wielką ofiarę. I mnie nie tak bardzo tak cieszy blask złudny księżęcej korony. Ale ojciec mój zawdzięcza zdrowie, jedynie pani synowi, a mojemu kochanemu bratu i dlatego sądzę, że potem wspólnie będziemy dzielić jej spokój i samotność. Ja sama uczynię to z największą ochotą.

— Pani? Czy miała byś zostać pozbawiona blasku i uciech, które należne są jej stanowisku. Przy boku znakomitego, wysoko postawionego męża, powinna pani odbierać hołdy na salonach, błyszczeć wśród sobie równych.

— O, ja rzekłam się stanowczo tych blasków! Wybrałam bowiem męża, który nie jest ani księciem ani hrabią nawet, tylko malarzem!

— Malarzem? A co ojciec na to?

— On pochwała mój wybór. A czyni to między innymi dlatego, że ma nadzieję, iż pani pozwoli jego synowi zostać spadkobiercą bogactw i godności Olsunnów. Widzi więc pani, że tylko od niej zależy bym i ja zaznała szczęścia.

— Ciężką odpowiedzialność na mnie pani wkładasz — rzekła pani Sternau rozważnie.

— Tak, ale za to z pełną odpowiedzialnością oddaję potęgę i wpływ w ręce Karola, by zgniótł nieprzyjaciół rodziny Rodriganda, którzy są i naszymi nieprzyjaciółmi.

— Bardzo to piękna rzecz. Ale czy mogę wiedzieć, co to za jeden, ten malarz, którego pani tak szczerze obdarowałaś sercem swoim, Floro?

— Bardzo chętnie! Moja matka będzie przecież moją najlepszą przyjaciółką i powiernicą. O wszystkim, co mi przygniata serce, powinna ona wiedzieć. Wreszcie rychło się o tym dowiesz, pani. On nazywa się Rodenstein!

— Rodenstein? Otto Rodenstein, syn rotmistrza?

— Zgadła pani.

— Mój Boże, co za zrządzenie! Dziwne i niezbadane są drogi pańskie! Ileż to razy ta rozterka gnębiła moje serce! Pan Otto w przypadku tego sporu jest zupełnie niewinny. Upór ojca ciężko go przygniótł i unieszczęśliwił. A teraz, ty Floro, przychodzisz jako anioł pojednania, miłości! O dzięki ci, stokrotne dzięki!

— Ja sama jestem niewymownie szczęśliwa, że to mnie niebo wybrało na swoje narzędzie, w tej sprawie. Widzi pani, że kobiety są powołane do pojednania i miłości. Bierz pani stąd przykład i nie odrzucaj ręki mego ojca. Pan Bóg nie chce śmierci grzesznika. Zachował go aż do tej chwili. Bądź więc pani tłumaczką woli Opatrzności. Wszyscy będziemy pani dziękować z głębi serca... Syn pani poznał również, iż choroba ojca jest częścią męczarni płynących z głębi duszy.

Stała taka czuła i wzruszona przed swoją dawną wychowawczynią, że pani Sternau zapłakała rzewnie.

— Bądź dobrej myśli, moje śliczne dziecko! — rzekła. — Poradzę się Boga. On z pewnością wszystko na dobrą drogę sprowadzi. Co na dnie duszy naszej leży, to winno tylko czystością serca być dobyte na wierzch.

Ucałowały się znowu i przechadzały się potem długo milcząc i dumając.

Pewne było, że książę miał w swojej córce znakomitą opiekunkę i pomocniczkę. Nie przeczuwał nawet tego, że jego sprawa już przybrała pomyślny obrót.

Rotmistrz przechadzał się przy boku księcia, zajęty żywą rozmową. Wielce mu to schlebiało, iż mógł u siebie przyjmować tak znamienitego gościa i dlatego był oszołomiony jego prostotą i grzecznością. Udali się do stajni, oglądali budynki gospodarskie, wybrali się nawet trochę w pole. Przy tym miał pocziwy, choć cokolwiek rubaszny kapitan, dobrą sposobność wygadać się i kiedy wrócił do domu, czuł się szczęśliwym jak nigdy przedtem. Kiedy zaś potem wkrótce zjawił się u niego leśniczy Kurt, by złożyć służbowe sprawozdanie, przechadzał się nadleśniczy w znakomitym, różowym wręcz humorze, raczył nawet zapytać:

— Jak podobają ci się nasi nowi goście, Kurcie?

— Do usług panie rotmistrzu, bardzo mi się podobają!

— A obcy pan?

— Baron, zacny chłop.

— Baron? To przecież książę!

— Książę? A do pioruna! — zawołał Kurt zdziwiony.

— Tak, książę. On tylko przybył incognito, jak to bywa u wielkich panów w modzie, mociumpanie!

— Piękna ci moda! Pierwszy lepszy z nas nie utnie takiego incognito!

— No, i ja bym sobie, mociumpanie, wyprosił, gdybyś ty tak chciał do mnie przybyć sobie incognito. A jego córka, co?

— Hm! — uśmiechnął się szeroko strzelec.

— No, co hm?

— A to zamaszysta kobietka! Prawie taka piękna jak nasza hrabina, pani Sternau!

— Głupstwo! Ona taka sama piękna jak tamta! Tylko, że piękności bywają wcale innego rodzaju, gatunku, pokroju. Dzieli sieje na różne kompanie, bataliony, dywizje i tak daley, mociumpanie. Bywają ci piękności czarne, brunatne i jasnowłose. Istnieją duże i małe, grube i cienkie piękności. A do tego ogniste i łaknące, delikatne i wstrzemięźliwe, dumne i skromne piękności. Są róże i fiołki, kaczeńce i osty, róże polne i niezapominajki między pięknościami. Wreszcie bywają prawdziwe i sztuczne, słodkie i gorzkie piękności.

— Br-r-r!

— A tak — brrr! Masz słuszność. Dziękujmy Bogu, że nie będziemy ani troszkę kosztować tych gorzkich piękności. Ale ta księżniczka naprawdę mi zajęła w głowę, mociumpanie. Gdybym miał syna i gdybym był księciem, to...

Zająknął się, już dawno nie wymówił był słowa „syn”, dziś jednak mu się wyrwało, więc na poły gniewny, na pół zakłopotany ofunknął Kurta:

— Czego tu stoisz gamoniu? Czy wszystko już zostało zrobione? A może myślisz, że dla ciebie wygłosiłem tę lekcję o pięknościach? Sądziłem że ty już dawno zabrałeś się. Precz mi!

— Do usług pana rotmistrza!

Pocziwy Kurt wyszedł. Już dawno przyzwyczał się do tonu swojego pana i nie brał mu tych niegrzeczności za złe. Na korytarzu spotkał się z piękną księżniczką. Przystanął koło ściany, żeby ją przepuścić. Ona jednak stanęła i zapytała:

— Czy wy podajecie do stołu?

— Tak.

— Dzisiaj wieczorem także?

— Tak jest.

— Umiecie milczeć?

— Nawet straszliwie! — odparł z naciskiem.

— A więc powierzę wam tajemnicę: pan Otto Rodenstein znajduje się w Kreuznach...

— Do stu pio..., do dia...hurra! Chciałem powiedzieć! Proszę mi wybaczyć! Ale panicz nie śmie zjawić się w Kreuznach!

— Niestety. Ale mam nadzieję, że się to dzisiaj wieczorem odmieni. On znajduje się u Helmera. Skoro dzisiaj podczas wieczerzy dam wam znak, to pobiegniecie szybko do chaty sternika i przyprowadźcie Ottona. Drzwi nie zamykajcie, tylko przymknijcie, tak abyście mogli słyszeć rozmowę i wtedy będzie wiedzieć, kiedy można wejść. Zrobicie to dla mnie?

— Rozumie się! — zapewniał.

Kiwnęła mu uprzejmie główką na pożegnanie i poszła daley. On zaś patrzył za nią długo i mruczał do siebie:

— Tak, tak, pan rotmistrz słusznie powiada i ta księżniczka zajęła mi głowę. Gdyby mój ojciec nie był rębaczem, tylko księciem, to wiedziałbym, co mam uczynić. Kosza by mi tam z pewnością nie dała, bo ja sobie nie jakiś tam chłopiec — roztropek. Ona przecież tak delikatnie zaśmiała się do mnie! Taka może być czasem troszkę gorzka, ale można z niej rychło uczynić słodką! A więc panicz jest u nas! Hm, to ci będzie skandal! Ale zrobię jej tę przyjemność i przywiodę go. Dla takiej kobietki przywlokłbym nawet samego biesa za uszy, szczególnie kiedy tak delikatnie na człeka spojrzę, jak ot, na mnie przed chwilą!

Mieszkańcy zameczku i ich szanowni goście mieli tyle do opowiadania, że południe upłynęło wyjątkowo szybko. Dla odmiany musiał zjawić się mały Robert i popisać się swoimi sztuczkami.

Tak zapadł wieczór i kolacja, podczas której panował wysmienity humor. Książę czuł się prawie całkowicie zdrowy. Jego dawna siła wróciła na miłą wiadomość. Flora mianowicie opowiedziała mu swoją rozmowę z panią Sternau. Parę chwil przed kolacją nastąpiła podobna rozmowa, a chociaż była bardzo krótka, jednak wyjątkowo ważna. Pani Sternau dała poznać, iż

postanowiła nie stawiać oporu szczęściu tylu osób. I książę o tym dowiedział się wkrótce i postanowił starego rotmistrza wziąć w obroty, by unicestwić wszelki zamiar odmowy.

Widział podczas kolacji oczy dawnej guwernantki tak mile i pojednawczo zwrócone na siebie, słyszał w jej łagodnym głosie coś takiego, co dodawało mu odwagi.

Dlatego, kiedy mówiono o rychłej nadziei jego wyzdrowienia w Kreuznach, rzekł wesoło:

— Właśnie po to wysłał mnie do was pan doktor Sternau. Dziękuję mu za to serdecznie. A jest jeszcze i druga ważna przyczyna mojego przybycia tutaj. To się odnosi do pana rotmistrza.

— Do mnie? — zapytał. — Czy śmiem wiedzieć co?

— Naturalnie! Moja córka mianowicie ma ochotę wyjść za mąż. Ja zostanę potem samotny, a chcąc tego uniknąć, postanowiłem uczynić coś podobnego, jak ona.

— Ożenić się?

— Tak — odpowiedział książę.

Pani Sternau wiedziała, co ma teraz nastąpić i starała się ze wszelkich sił ukryć wzruszenie. Flora zaś dała Kurtowi znak, ten wyszedł.

— Nie jestem wprawdzie młody — mówił Olsunna dalej — i jeszcze nie wyleczyłem się z mojej choroby, spodziewam się jednak być silnym i zdolnym do używania tego szczęścia, które polega na wzajemnym poważaniu i przyjaznej skromności. Już nawet wybrałem, wprawdzie nie Hiszpankę, tylko Niemkę, która należy do pańskich znajomych, mój rotmistrzu!

— Aha! Naprawdę? A któż to taki? — zapytał zdziwiony niedyskretnie.

— Potem panu powiem. Wie pan także, iż zwyczaj nakazuje prosić w takich wypadkach przyjaciela, który by objął rolę swata. Spodziewam się, że pan mi wierzysz, iż pana uważam za swego przyjaciela. Nie znam też stosowniejszego człowieka, któremu bym swoją sprawę powierzył, jak panu, mój kochany rotmistrzu. Chce pan być moim swatem?

Nadleśniczy zrobił minę, jakiej nie miał jeszcze nigdy w życiu. Siedział z otwartą gębą i był całkowicie zmieszany. On więc miał być swatem księcia! On, zwyczajny rotmistrz w stanie spoczynku! Co za cześć! Jego poczucie godności własnej wzrosło ogromnie. Zerwał się więc i rzekł skwapliwie:

— Ależ z największą przyjemnością, wasza dostojność! Wykonam swoją rzecz tak ładnie, jak nikt inny. Zaraz się ubiorę w najdelikatniejszą galę. Proszę mi tylko rozkazywać! A diabeł porwie białołowe, która by się odważyła dać panu kosza!

Wszyscy się śmiali, nawet pani Sternau, z tego drastycznego wywnętrzania myśli, które mu się wyrwało wśród ogromnej skwapliwości.

— No, nadzwyczajnej gali tu nie potrzeba, mój kochany panie Rodenstein — rzekł książę. — Dama, którą mam na myśli, nie ma wielkich pretensji. Możesz pan wypełnić swój obowiązek i urzędować w tym samym stroju, co teraz. Czy mogę panu wyznaczyć czas, w którym ma pan już dokonać dzieła swatów?

— Proszę, proszę! Każdej chwili jestem gotów!

— A więc niech pan rozpoczyna zaraz!

— Zaraz? Jakże to, ekscelencjo?

— Sądzę, że pan raczysz teraz i to w tej chwili zapytać tę damę, czy chce mnie i nas wszystkich uszczęśliwić swoją ręką.

— Teraz! W tej minucie! — zawołał rotmistrz zmieszany. — Ależ to tak wygląda, jakby ta dama była tutaj?

— Naturalnie, ona znajduje się między nami. Floro, ty siedzisz tam obok pana rotmistrza, wymień mu imię!

Flora schyliła się do ucha rotmistrza i wyszepnęła mu imię szczęśliwej wybranki. Uczynił minę, jakby mu kto wymierzył policzek, wyciągnął ręce przed siebie, jakby do obrony i rzekł:

— Żartujesz waszmość książę! Ale ostro powiadam, że poczciwa pani Sternau nie jest damą, z której bym miał stroić żarty.

Na to Olsunna odpowiedział poważnie:

— Masz pan słuszość. Nie żartuję też z niej. Pani Sternau była w Hiszpanii. Jest moją znajomą. Kochałem ją, kiedy była jeszcze panną Walser i teraz daję wyraz tej miłości, prosząc ją o rękę. Moja ranga nie liczy się tutaj. Cofnę się w zacisze i ogłoszę pana doktora Sternaua moim synem, on też będzie moim dziedzicem i na niego spadną wszystkie moje zaszczyty i godności.

To oznajmienie było tak dla Róży, jak i panny Sternau, a przede wszystkim dla rotmistrza wielką niespodzianką.

— To albo wariactwo, albo czysta prawda! — zawołał nadleśniczy.

— Tak, to czysta prawda! Spełnij więc obowiązek, panie rotmistrzu!

Ten ciągle był zakłopotany. Cała rzecz wydała mu się tak dziwaczna, że nie mógł przyjść do siebie. Czy go brano na pośmiewisko? Czy jest może w Hiszpanii zwyczajem czynić sobie podobne żarty? Ale ton księcia był bardzo poważny, prawie rozkazujący. Wszystko było możliwe. Przecież hrabianka Róża oddała swoją rękę doktorowi Sternauowi. A więc trzeba było mówić, niech się dzieje, co chce. Dlatego przybrał możliwie najdostojniejszą postawę i rzekł zwrócony do pani Sternau:

— Moja kochana pani Sternau! Wprawdzie sam wiem, co mam uczynić, ale pani słyszała wszystko i nie mogę postąpić inaczej. Jego wysokość, książę Eusebio de Olsunna poleca mi uroczyście prosić panią o rękę. Bóg świadkiem, że ręka ta pocziwa! Tyle ona warta z pewnością, co ręka damy dworskiej. Wiadomo pani lepiej niż mnie, czy to żart. Jeżeli to rzeczywiście prawda, to życzę pani z całego serca szczęścia z tego związku i proszę panią, byś mi dała jasną i otwartą odpowiedź w tej mierze.

Zapytana wstała, podała lewą rękę nadleśniczemu, a prawą księciu i odrzekła:

— Mój kochany panie rotmistrzu! To były z serca wypowiedziane słowa. Dziękuję panu serdecznie i wyznaję, że jestem gotowa zostać żoną księcia nie dla blasku, tylko dla tych, których kocham i którzy sobie życzą tego związku z całego serca.

Wtem przybiegła do niej Flora i chwyciła ją w swe ramiona.

— O, moja matko! Mam już matkę, którą mogę kochać! Jakże szczęśliwa jestem dzięki tobie!

Chude oblicze księcia błyszczało radością. Róża nie mogła wszystkiego należycie zrozumieć, tak samo panna Sternau, jednak przystąpiły obie, by zaręczonym złożyć życzenia. Przy drzwiach zjawił się znowu Kurt.

— Czy to komedia, czy prawda? — mrucał. — Nasza pani Sternau zostaje księżną! Tego bym się po niej nie spodziewał. Jak to się kobieta może zamaskować. A może ona była także incognito w Kreuznach?

A za drzwiami nadśluchiwał ktoś, komu serce biło gwałtownie, Otto Rodenstein. Wiedział, że teraz nastąpi rozstrzygająca chwila i pragnął, by już nadeszła.

Rotmistrz poznał wreszcie, że to nie były żarty. Nie mógł się nadziwić nadzwyczajnemu szczęściu, które spotkało jego gospodynię, ale nie pozostał za innymi w tyle i winszował jak należało. Potem dodał:

— Ekscelencjo zabierasz mi damę, której nikt nie zastąpi. A co gorsza, teraz i panna Sternau u mnie nie zechce pozostać.

— Nie smuć się pan bardzo! Nie sądzę, byśmy się musieli rozłączyć na wielką odległość albo na długi czas, mimo to, zadbam o to, by się znalazło godne dobre zastępstwo. Sądzę, że ono panu wystarczy.

— Nowa gospodyni? — zapytał rotmistrz z powątpiewaniem.

— Tak, albo nawet coś daleko lepszego. Przyjąłeś pan powierzoną sobie rolę swata ode mnie, jestem więc panu mocno zobowiązany i chcę się panu odwzajemnić. Najstosowniejszą przysługą będzie, kiedy wystąpię u pana także jako swat.

— Przecież ja nie mam córki!

— Ale syna i spodziewam się, że nie otrzymam gorszej odpowiedzi, niż tę, którą pan otrzymałeś od mojej oblubienicy.

— Proszę waszą wysokość milczeć! — rzekł rotmistrz ostro. — Jest to temat, który zakazałem w mojej obecności poruszać!

— Pozwoli pan, że nie będę należał do pańskich poddanych, których obejmuje ten rozkaz. A po wtóre, proszę wysłuchać swojego gościa!

Twarz Rodensteina przybrało zupełnie inny wyraz, jednak zapanował nad swoją złością i odpowiedział:

— Komu innemu nie pozwoliłbym o czymś podobnym mówić, ale proszę.

— Zakazałeś pan swojemu synowi wejść do domu ojcowskiego!

— Nie zasłużył na nic lepszego!

— To pańskie mniemanie, panie rotmistrzu i ja nie chciałbym osądzać, czy sprawiedliwą jest rzeczą, czy nie — czynić swojego syna niewolnikiem jakiegoś pryncypała i zakazywać mu słuchać głosu bożego, który dał mu talent wielkich dokonywać rzeczy. Dlatego go wypędziłeś pan z domu, ogołociłeś z miłości ojcowskiej obrabowałeś go z nazwiska. Może byś pan działał inaczej, gdyby wstawił się za nim głos matki, kobiety którą kiedyś kochałeś i o której musiałeś pan pomyśleć zanim odepchnąłeś syna, gdyż nie był on tylko twoim....

— A do pioruna! — zamruczał rotmistrz.

Nie można było poznać, czy był to okrzyk gniewu, czy oznaczał tylko niezadowolenie z przyczyny wzruszenia, jakie go zaczęło powoli opanowywać. Wszyscy wiedzieli, że swoją żonę nieboszczkę kochał nad życie i że właśnie jej strata uczyniła go szorstkim i drażliwym. Książę ciągnął poważnie dalej:

— Tak więc wstąpił syn pański na drogę, która go zaprowadziła w górę. Mimo to chciał rzec się sławy, by tylko zjednać sobie ojca. Ofiara ta była ogromna, nadzwyczajna. Potrzebna tu była bowiem cała suma zaparcia się samego siebie i ogromna miłość synowska. Nie przyjąłeś pan tej ofiary, nie uznałeś wielkoduszności syna. Ja mam lepsze o nim pojęcie, on zdobył mój szacunek. Jest on mężnym, nadzwyczajnym mężczyzną, z którego może być pan dumny.

Ja sam jestem więc gotów okazać mu poważanie i współczucie moje w sposób niezwykajny.

Poznał on damę z wysokich kręgów, ale nie chce jej poślubić bez wiedzy i zgody ojca. On jest artystą, dzięki któremu znaleźliśmy hrabiego Rodrigandę. Proszę w jego imieniu o pozwolenie zaślubienia owej kobiety.

W ten sposób nie odważył się jeszcze nikt przemawiać do rotmistrza. Sierdziło go to mocno, jednak po jego twarzy przemykało coś, jakby duma ojcowska, iż jego syna chwali taki człowiek. Wzruszyło go to widocznie.

— A gdzie jest owa dama?

— Tu stoi, to moja córka Flora. Nadleśniczy postąpił naprzód i zawołał:

— Pańska córka, księżniczka? No, jeżeli wszystko przedtem było prawdą to to jest już żartem.

— Czy faktycznie sądzi pan, by książę Olsunna ofiarował rękę swojej córki jakiemuś biedakowi, by tylko sobie pożartować? Moja córka kocha pańskiego syna. Godny on jest tego. Możesz pan być szczęśliwym, za to panu mogę ręczyć. Czyń pan teraz to, za co możesz odpowiedzieć przed nami, Bogiem i swoim ojcowskim sumieniem!

Rotmistrz podniósł obie ręce do czoła:

— Czy ja przypadkiem nie oszalałem? Mój syn i córka księcia Olsunny! Czyżbym się miał naprawdę tak strasznie pomylić co do niego? Czy naprawdę był tak zuchwały i sięgnął po rękę księżniczki? A niechże mnie porwie licho! No, to w takim razie jestem największym tumanem na świecie! Ale gdzie on jest, wasza miłość? Jeżeli mu ofiarujesz rękę swojej córy, musisz z pewnością wiedzieć gdzie go szukać!

— Tu jestem ojcie! — zawołał ktoś zza drzwi.

Otto wstał do pokoju, podszedł do ojca i ujął go za rękę.

— Co? Tutaj? — zapytał rotmistrz. — Tego ci przecież zakazałem! Udowodnij mi naprzód, iż to wszystko co o tobie mówili, to prawda, gdyż nie wierzę.

— To prawda, to wszystko szczerą prawdą! — potwierdziła Flora. Przystąpiła bliżej, objęła i ucałowała swojego narzeczonego i ujęła potem rękami szyję rotmistrza.

— Prawda kochany tatusiu, że ty się już nie gniewasz na niego? — mówiła doń pieszczotliwie. — On cię tak bardzo kocha. On tak tęsknił za tobą, a bez twojej miłości ja też nie będę mogła zaznać szczęścia.

Stary tarł ręką czoło i zapytał:

— Księżniczko, czy to prawda, czy to ty ściskasz starego Rodensteina?

— O, ja go nawet całuję, bo bardzo, bardzo go kocham!

Tak odpowiedziała i nim się spostrzegł, poczuł jej pełny, ciepły buziak, raz... dwa... trzy na wąsatych swoich ustach. Wtedy ją machał rękami w powietrzu i wołać:

— Aj, toż to prawda, czysta prawda! Mój syn żeni się z księżniczką! Toć to chłop, przed którym musi mieć respekt nawet królewicz. Zwycięstwo! Alleluja! Hosanna, synu Dawidowy! A te draby majami zaraz chwycić za rogi myśliwskie i uciąć trzydzieści tysięcy fanfar, dopóki im tchu starczy!

W momencie zniknął wierny Kurt. Rotmistrz zaś rozkrzyżował ręce jak mógł szeroko i zawołał:

— Chodźcie dzieci do mojego serca! Wszystkie, wszystkie! Przebaczcie staremu Rodensteinowi, że był takim głuptasem i zatruwał sobie i swemu chłopakowi życie. Teraz wszystko się odmieni!

Wszystkim popłynęły łzy radości... Takiej radości jeszcze nie było w zameczku w Kreuznach. Do późnej nocy siedzieli pojednani i połączeni, upijając się wzajemny szczęściem i radością.

Jedynym cieniem były stan hrabiego Emanuela, który w tej ogólnej radości nie brał udziału i nieobecność Karola.

Postanowiono w tej chwili dać mu znać o wszystkim, kiedy tylko będzie znany jego adres.

SPOTKANIA

Po ciężkiej potyczce z okrętem korsarskim, wróciła „Róża” na rzekę. Noc była ciemna, a podróż niebezpieczna, ale Helmer zapamiętał wszystkie zakola rzeki i dlatego też odważył się na tę wyprawę.

Przy jego boku stał Sternau bardzo rozdrażniony. Zbyt krótko był żeglarzem, by pojąć ostrożność Helmera. Ten przeczuwał jego myśli i starał się usprawiedliwić przed nim. Udało mu się dopiero wtedy, kiedy udowodnił, że „Pendola” w każdym razie uda się do Kapsztadu. Mały jacht był daleko szybszy i musiał tam zawinąć wcześniej.

— Idziemy zaraz po naszym przybyciu do gubernatora — rzekł Helmer. — I damy mu znać, że „Pendola” nie jest niczym innym, jak sławnym statkiem korsarskim „Lion”. On nie przepuści okazji i schwyci Landolę.

— A jeśli Landola nie uda się do Kapsztadu?

— To opłynie go naokoło, gdyż majtek mówił panu przecie, że ujęty porucznik huzarów ma być zawieszony na Antyle. Nasze drogi muszą się skrzyżować, na pewno go schwytamy. Czy w Kapsztadzie, czy na Karaibach.

Była to roztropna rozmowa, ale Helmer nie wziął w rachubę strategii Landoli, który niejako odgadywał plany przeciwników i działał wprost przeciwnie.

Landola rzeczywiście przypuszczał, że „Róża” zmierza do Kapsztadu. Słowa, które usłyszał z pokładu jachtu, czyli „pozdrowienie z Rodrigandy” były dlań wielką zagadką i powodem do niepokoju. Ten, który je wypowiedział z całą pewnością, był jego wrogiem. Ale kapitan piratów nie wiedział kto nim jest. W każdym razie rozumiał, że obecnie nie może pokazywać się w Kapsztadzie, musiał więc przedsięwziąć jakieś środki.

Postanowił zakotwiczyć w jakiejś bezpiecznej zatoce, a do Kapsztadu wysłać posłów.

Napisał list do swego zaufanego agenta w Kapsztadzie, któremu powierzył przechowywanie w czasie nieobecności swoich listów i telegramów. Dwaj ludzie, wsiedli do czółna i popłynęli do Kapsztadu.

Gdy łódź przybiła do brzegu, tylko jeden z marynarzy udał się do agenta.

— To szczęście, że zdołaliście się ukryć — powiedział agent, gdy przeczytał pismo. — Pewien Niemiec, który tu wczoraj przybył na jachcie, dał znać władzy, że kapitan Landola jest tą samą osobą, co osławiony rozbójnik morski, Grandeprise.

— Czy ten Niemiec jest jeszcze tutaj?

— Tak, uzupełnia zapasy. Nazywa się Sternau, a kapitanem jachtu jest niejaki Helmer. Gubernator wezwał do siebie wszystkich agentów, by ich przestrzec przed utrzymywaniem z Landolą jakichkolwiek kontaktów. Ja także jestem zmuszony zachować ostrożność. Wydam wprawdzie depeszę, którą otrzymałem wczoraj, ale nadal nie mogę już wam pomagać.

Wręczył żeglarzowi zaszyfowaną depeszę. Ten się oddalił, lecz chcąc wykonać polecenie Landoli udał się do portu, by zasięgnąć jak najwięcej informacji o „Róży”.

Po drodze minął marynarza w bogatym, żeglarskim stroju, który na jego widok stanął, jakby coś sobie przypominając. Po chwili pirat usłyszał za sobą:

— Hola chłopcze, do którego okrętu należysz?

— Do Amerykanina, tam — odpowiedział prędko korsarz i pokazał ręką na jeden z amerykańskich okrętów.

— Tak, tak! — rzekł drugi, wątpiąc. — Sądzę, że widziałem cię na innym okręcie. A czy znasz ty Fanchal, chłopcze?

— Znam.

— Kiedy tam byłeś?

— O dawno, byłem wtedy u Francuza na służbie.

— Tak, a więc musisz dobrze znać długą, chudą mamcie Dry.

— Nie mogę sobie przypomnieć. To już było tak dawno.

— Hm, sądziłem, że nie tak dawno widziałem cię tam. A słyszałeś co kiedy o Jefrouw Mietje?

— Nigdy.

— A w takim razie myślę się i to bardzo. Naprawdę sędzę, że należałeś jeszcze do niedawna do „La Pendoli” kapitana Landoli.

— Nie znam takiego człowieka i nie mam zresztą czasu. *Adieu!!* Poszedł dalej, ale w najbliższym kąciku przystanął i zmiarkował,

iż obcy idzie za nim. W tej chwili pojął całe niebezpieczeństwo i szybko pobiegł do łódki, po czym w pośpiechu odpłynęli.

Marynarzem, który zaczął pirata, był nie kim innym, jak Helmer. Chciał iść do kapitanatu portu, gdyż „Róża” miała już odbijać.

Przypomniał sobie bardzo dobrze twarz tego człowieka i obudziło się w nim podejrzenie’. Szybko powrócił na jacht.

— Widzisz, panie doktorze, tę łódkę, co się kołysze z boku? — spytał Sternaua.

— Tak.

— Siedzą tam dwa draby, zdaje się, że obaj należą do załogi Landoli. Trzeba za nimi posłać w czóźnie dwóch majtków, niech ich dyskretnie pilnują. Ja bym sam chętnie się tego podjął, ale muszę dotrzeć do kapitanatu.

Sternau posłuchał jego rady. Wysłał czterech tęgich wioślarzy i sternika w czóźnie.

Morze falowało, tak, że małego czózna nie można było widzieć, lecz łódź piratów świeciła z dala.

Wkrótce piraci pędzeni wiatrem dobili do „La Pendoli”.

Kapitan milcząc wziął depezę milcząc i udał się do kajuty, aby ją odcyfrować.

Doktor Sternau, ten, którego kazaliśmy uwięzić w Barcelonie, płynie za wami. Wie już o wszystkim.

Kortejo.

Hrabia Alfonso bowiem po swoim powrocie do Rodrigandy opowiedział o wszystkim i to także, co mu jego sługa Gerard Mason opowiedział w Kreuznach. Tak więc Gasparino Kortejo uważał za swój obowiązek poinformować o tym Landolę. Taką samą depezę wysłał w rozmaite miejsca, do których, jak przypuszczał, Landola zawinie.

Landola wrócił na pokład, i rzekł do pierwszego napotkał oficera:

— Podnosimy kotwicę, gdybyśmy zostali na miejscu, to nie wiadomo co nas może spotkać. Robi się tu niebezpiecznie. Mamy bowiem za sobą prześladowcę, którego musimy zmylić. Już wiedzą o tym, że „La Pendola” jest „Lionem”. Musimy zmienić więc nieco budowę okrętu i inne dać papiery. Płyniemy prosto do Indii Zachodnich.

Kiedy okręt opuścił zatokę, mały jacht Sternaua nie opuszczał go więcej niż na milę, ale tak by nie można było go zauważyć.

— A więc Landola już wie, że został zdemaskowany. On widocznie postara się zmienić i okręt i nazwę. A gdzie to może uczynić? Musiałby znaleźć jakiej ustronne miejsce. A gdzie? najlepiej do tego nadają się Zachodnie Indie, i te liczne, małe wysepki na Antylach. Musimy płynąć za nim. Nie może nam uciec.

Po krótkim czasie wypłynęła „Róża” na otwarte morze, by prześladować korsarza.

* * *

Dwa tygodnie później, w Meksyku spotykamy śliczną dziewczynę, która odpoczywając w zaciszu ogrodu, trzymała w rękach dwa listy. Jeden już przeczytała, a treść drugiego przyprawiała ją o palące rumieńce.

Miss Amy Lindsay, Meksyk.

Droga Miss Lindsay!

Opuściła pani Rodrigandę w bardzo dziwnych i przykrych okolicznościach. Ponieważ wiem, że one nadal Panią interesują, ośmielam się powiadomić ją o dalszym ciągu tej przedziwnej historii.

W załączeniu przesyłam Pani, bo mnie teraz muza nawiedziła, obszernie opisy wszystkich wypadków do dnia dzisiejszego włącznie i w końcu dowie się Pani, iż piszę te wiersze w Greenock, w jednej z pani posiadłości, jako gość adwokata Millnera. Jutro wypływam i jeżeli Bóg pozwoli, odnajdę ślad pana Lautreville, który jak mi wiadomo jest więźniem na statku „La Pendola”.

Jeżeli Pani posiada adres Róży, to spodziewam się, że napisze Pani do niej kilka słów. Ja zaś zobowiązuję się, że gdy tylko coś odkryję w interesującej nas sprawie, natychmiast dam znać.

*Pozdrowienia
Karol Sternau.*

To był list, teraz zaś poczęła czytać załącznik. Dowiedziała się o wszystkim, co wydarzyło się w Rodrigandzie od czasu jej wyjazdu i naturalnie o zaślubinach Róży z Karolem Sternauem. To ją wprawiło w smutne rozmyślenia o zniknięciu ukochanego.

Jakże często o nim myślała! A tu nagle dowiaduje się, że go wloką jako więźnia w daleki świat, na bezkresne morza. Za co? Co uczynił, że miał takich okrutnych nieprzyjaciół? Czy uda się Sternauowi — temu dzielnemu i śmiałemu człowiekowi ocalić go? Siedziała tak rozmyślając, a z jej jasnych oczu płynęły łzy.

Nagle zbudzono ją ze smutnych rozmyślań. Zjawiała się służąca i oznajmiła przybycie seniority Józefy Kortejo.

Szybko otarła łzy, lecz nie miała już czasu, by odłożyć listy. Obie damy poznały się podczas letniej *tertulii*. Pod tym mianem rozumie się w Meksyku spotkanie towarzyskie panów i dam, mające na celu zabawę. Przy tej sposobności przedstawiono jej Józefę Kortejo, która nie zrobiła na niej miłego wrażenia, jednak przyłgnęła do Amy i nie opuszczała jej już ani na krok.

Amy traktowała ją nawet oziębło, ale Józefa zawsze podczas takich spotkań musiała ją znaleźć i naprzykrzać się. Wczoraj nawet prosiła, by wolno jej było odwiedzić Amy w domu. Delikatna Angielka nie mogła tej prośbie odmówić, nie chcąc być niegrzeczną i stąd te dzisiejsze odwiedziny.

Józefa zjawiała się, Amy podniosła się wprawdzie z uśmiechem, który był poprawnie grzecznym, ale nie bardzo przyjaznym. Ta Józefa była formalnie natrętna, chociaż Amy nawet nie dopytywała się, kim właściwie był jej ojciec. Ona nie zwykła była tego czynić, gdy osoby były jej obojętne lub nawet niesympatyczne.

— Przebaczysz mi kochana *miss*, że jej przeszkodzę — rzekła Józefa z ukłonem, który miał być uprzejmym, do takowego jednak nie nadawała się jej ogromna postać, nie miała też potrzebnej elegancji.

— O proszę, witam panią — brzmiała zimna odpowiedź. Kiedy proszono Józefę by usiadła, natychmiast zaczęła dalej mówić:

— Nie wykorzystałabym tak rychło danego mi wczoraj zezwolenia na odwiedziny pani, gdyby nie okoliczność, że właśnie mój ojciec znajduje się obecnie u don Lindsaya.

— Tak? — spytała zdziwiona.

— W pewnej sprawie, którą mój ojciec chce omówić z pańskim, jako namiestnikiem króla Anglii. Przyszłam z nim, gdyż mnie bardzo cieszy, iż miałam okazję zawrzeć znajomość z tak dystyngowaną damą. Ja w tym względzie muszę się zdawać na samą siebie.

Amy spojrzała zdziwiona na swego gościa. Józefa nie wydawała jej się bowiem wcale tak dystyngowaną i znakomitą osobą, jak to sama o sobie mniemała i mówiła.

— Sądzę, że Meksyk liczy niemało znakomitych rodzin.

— Hm, może! — rzekła Józefa, krzywiąc wstrętnie nosem. — Znakomitych, ale nie w całym tego słowa znaczeniu. Ja jako narzeczona najbogatszego właściciela dóbr ziemskich w Meksyku, powinnam być ostrożna w wyborze przyjaciółek.

Zjawiała się służąca i przyniosła czekoladę, Amy zapytała:

— To pani jest zaręczona?

— Otwarcie jeszcze nie, gdyż trzeba było uwzględnić pewne, dyplomatyczne powody.

— A, narzeczony pani jest dyplomata?

— Właściwie nie — odparła z zakłopotaniem. — Jednak użyłam tego wyrazu, gdyż on ma w ojczyźnie rzeczywiście wielką przyszłość przed sobą, która właśnie teraz otwiera przed nim swe gościnne wrota.

— A, gratuluje!

— Dziękuję, *miss* Lindsay. Słyszała może pani o hrabim de Rodriganda?

— O hrabim de Rodriganda? — zapytała zdziwiona.

— Tak. Imię to panią zaciekawia.

— Tak. Mam przyjaciółkę Różę de Rodriganda y Sevilla. Jej ojciec nazywa się Emanuel.

Oczy Józefy zabłyszczały, jak u drapieżnego ptaka.

— Gdzie poznała pani Różę i kiedy?

— W Madrycie, potem ją odwiedziłam w Rodrigandzie.

— Kiedy to było, *miss*?

Ton jej głosu był ostry. Amy, która nie posiadała ani nie miała talentu policyjnego, ale właśnie pod wpływem informacji, jakie otrzymała w liście postanowiła być ostrożną. Dlatego odrzekła mimochodem:

— Jakieś niespełna sześć miesięcy temu.

— Musiało to być później! — rzekła niegrzecznie Józefa.

— Dlaczego pani tak sądzi?

— Gdy mówiła pani o hrabim Emanuelu, jako ojcu Róży.

— Przed sześciu miesiącami był nim jeszcze, potem dowiedziałam się, iż umarł. Napisał mi o tym dzisiaj, mój przyjaciel.

— Ach tak, który?

Tego było Amy za dużo. Wstała i rzekła zimnym tonem:

— Sennorita, czy w Meksyku należy to do grzeczności, w tak niedelikatny sposób dowiadywać się o stosunki osobiste innych?

Dziewczę z sowimi oczyma nie dało się zbić z tropu i spokojnie odrzekła:

— Tutaj zaliczają to do dowodów współczucia.

— Pozwoli więc pani, że zapytam również kim pani jesteś?

— Byłam pani przedstawiona.

— Zwyczajnie, jako seniorita Józefa.

— Nazwisko moje, Kortejo.

— O tym dowiedziałam się później. Ale kim jest senior czy też don Kortejo?

— Był sekretarzem u hrabiego Ferdynanda, a teraz jest w tej samej randze u hrabiego Alfonso.

— Sekretarzem, a więc pisarzem! — rzekła Amy, cofnąwszy się o krok. — Wie pani, co znaczy lord angielski?

— Całkiem dobrze.

— I wie pani, że mój ojciec jest nim?

— Wiem.

— I pani, jako córka pisarza, odważyła się być mi przedstawiona, a wreszcie nawet mnie odwiedzać! Ale niech będzie. Pozwolę na to najbiedniejszej nawet dziewczynie, jeżeli ją tylko mogę polubić. Ale pani odważa się wypytywać mnie jak hiszpański alkad jakąś Cygankę. Co pani myślisz? Zabieraj się pani z mojego mieszkania, zaraz!

Józefa zbladła jak kreda. Schwyciła swoją mantylkę i zapytała:

— Czy pani mówi to poważnie, *miss*?

— Tak, zupełnie poważnie. Czy pani ojciec jest spokrewniony z Gasparino Kortejo z Rodrigandy?

— Tak, są braćmi i najczulszymi przyjaciółmi.

— A więc moja antypatia do pani była uzasadniona. Wuj pani, Gasparino, jest zbrodniarzem pierwszej wody. On przyczynia się do tego, by hrabiów i i hrabianki czynić obłąkanymi, on działa tak, że ludzie gdzieś znikają i że ich wysyłają za morza... O, zabieraj się stąd pani! Nie chcę cię widzieć więcej!

Odwróciła się i wyszła z pokoju. Józefa została sama, prawie zdrętwiała ze złości i zdziwienia. Złość podziałała jak skurcz na jej członki, wreszcie jednak mogła się poruszać. Zacisnęła pięści i zgrzytnęła zębami:

— Czekaj ty hardy robaku! Odpokutujesz mi to i to rychło! Wyszła z pokoju, Amy zaś wróciła. Była rozgniewana rozmową z Józefą. Wkrótce jednak uspokoiła się, myśląc o szczęściu swojej przyjaciółki Róży.

Po chwili służąca oznajmiła przyjście lorda. Amy podeszła do niego i ucałowała.

— Jak to dobrze, iż przychodzisz, ojcze! Twoja obecność mnie rozweseli, bo się troszkę rozgniewałam. Wyobraź sobie, iż była u mnie Józefa Kortejo.

— A jej ojciec u mnie. Powiedział, iż ona jest u ciebie. Czy to twoja przyjaciółka?

— Nie. Chciała nią być, ale ja jej nie mogę znieść, tej córki pisarza!

Lord miał minę komicznie zdziwionego i zapytał:

— A jakże to się stało, że moja delikatna Amy tak nagle zhardziała?

— Zhardziała? Nie jestem hardą, ale jej nie mogę znieść. Ciągłe chce przebywać w moim towarzystwie, nawet mnie dzisiaj odwiedziła, a potem wzięła na egzamin, jak jakiś nauczyciel... Pokazałam jej drzwi.

— Tak samo uczyniłem jej ojcu. Chciał mnie oszukać. Słyszał, iż mam zamiar zakupić posiadłość w Meksyku. Ofiarował mi niedawno wielką posiadłość, która leży na północy, a nazywa się hacjenda „del Erina”. Niejaki Petro Arbelez jest tam dzierżawcą. Dzisiaj przyszedł znowu, by usłyszeć moją odpowiedź. W międzyczasie dowiedziałem się, że hacjenda jest własnością tego Arbeleza. Kortejo nie ma najmniejszego prawa sprzedawać jej bez polecenia hrabiego Rodrigandy. Ten bowiem podarował ją Arbelezowi... Ale ja przychodzę do ciebie w zupełnie innej sprawie: czy chętnie podróżujesz?

— O, bardzo!

— Już nawet sama odbywałaś dalekie podróże. Nie troszczyłem się dawniej o to. Teraz jednak niechętnie bym się zgodził na coś podobnego, lecz sprawa jest zbyt ważna. Mam doręczyć gubernatorowi Jamajki bardzo ważne depesze, które mają tak wielką wartość, iż nie odważyłbym się ich powierzyć obcym rękóm. W przystani Vera Cruz czeka okręt wojenny, który ma przewieźć te listy, ale nie mogę ich oddać oficerowi, gdyż on nie jest dyplomatą. Nie mam innego sposobu, jak posłać ciebie. Wprawdzie damy nie mają wstępu na taki okręt, ale muszą dla mnie uczynić wyjątek.

Amy aż podskoczyła.

— Tatku, ja jadę! Oddaj przesyłkę w moje ręce!

— Dobrze. Widzę, iż jesteś prawdziwą Angielką, która nie obawia się żadnych wycieczek. Kiedy będziesz gotowa?

— Nawet jutro rano.

— A więc przygotuj się. Ja cię odprowadzę na okręt do Vera Cruz. Gubernator Jamajki jest moim przyjacielem, do którego daję ci mój list prywatny. Przyjmie cię z szacunkiem i szczerością. Możesz być tego pewna.

Na drugi dzień wyruszyła kawalkada złożona z powozu i dwudziestu jeźdźców. Kapitan okrętu wojennego przyjął ich z należnymi honorami. Odstąpił Amy swoją własną kajutę i skoro tylko ojciec pożegnał się z córką, wręczywszy jej naprzód ważne depesze, okręt odbił od brzegu.

Pogoda sprzyjała, podróż była piękna i mijała szybko. Dniem siadywała Amy w namiocie na pokładzie, wieczorem zaś zachwycała się czarowną czystością karaibskiego morza, które jest znane zarówno ze swej niecodziennej piękności, jak i niebezpieczeństw, które niesie.

Żadne morze nie świeci tak wspaniale. Przez jego kryształowo czystą wodę można było ujrzeć samo dno. Odbijały się tam dziwaczne postacie zwierząt i roślin morskich.

Z dala po lewej stronie widoczna była Kuba, znak, że do Jamajki już bardzo niedaleko. By dostać się do stolicy państwa, musiano przepłynąć przez niebezpieczną ławicę, która już setkom okrętów przyniosła niebezpieczeństwo.

Było przed południem, gdy nagle jeden z majtków oznajmił, iż z dala spostrzegł żagle. Gdy się zbliżył do statku, okazało się, że to jacht, który oprócz dwóch żagli posiadał napęd parowy.

Amy siedziała pod dachem swego namiotu, obok stał kapitan.

— Mały diabelny statek, a pędzi tak szybko, że nigdy bym się tego po jachcie nie spodziewał, widzi pani?

Przystąpiła do relingu pokładu.

Wojenny statek huknął z działa, by dać jachtowi sygnał do zatrzymania się.

— Co to za statek? — zapytał oficer.

— Prywatny jacht „Róża”! — brzmiała odpowiedź.

— Czyja własność?

— Karola Sternaua z Niemiec.

Na te słowa Amy wykrzyknęła ze zdziwienia. Wyteżyła oczy i ujrzła wyniosłą postać Sternaua w pobliżu steru.

— Zna pani tego człowieka? — zapytał kapitan.

— Znam, *sir*. Jest to jeden z moich najlepszych przyjaciół. Czy wolno mi pozostać na pokładzie?

— Proszę bardzo — a sam zawołał: — Czy pan Sternau na pokładzie?

— Tak.

— Zbliź się pan, ukaż się nam!

— Nie mam czasu!

— *Miss Lindsay* jest tutaj! — zawołał kapitan.

— A, w takim razie zaraz będę u was.

W parę chwil odbiło czółno od jachtu. Ona powiewała chusteczką, on machał kapeluszem. Wreszcie był na pokładzie angielskiego statku. Pierwsze powitanie odbył z kapitanem, potem zwrócił się do Amy, która powitała go z ogromną radością.

— Myślałam, że pan jest w Afryce! — rzekła, podając mu obie ręce.

— Prześladowałem „Lion” aż dotąd — odparł.

— Jaki „Lion”? To chyba statek korsarski? — zapytał kapitan.

— Tak jest, *sir*. Nie mam czasu, gdyż nie śmiem go spuścić z oczu. O *sir*, gdybyś mi chciał pomóc złapać tego kapitana *Grandepriise*.

— Natychmiast, *sir*, natychmiast! — wołał Anglik podniecony.

— Ależ to szczęście wielkie! Gdzie on?

— Niedaleko stąd, możemy go zaatakować z dwóch stron. Przyczynę dla której prześladowuję ten statek wyjaśni panu *miss Amy*.

Sternau powrócił na jacht. W pół godziny ujrzał przed sobą „La Pendolę”. Kapitan jachtu śmiał się, patrząc na mapę morską i mówił do Sternaua:

— Za dziesięć minut zbliżymy się do niego. Odbijemy ster i obezwładnimy go.

— Dobrze, ale nie strzelać pod linię wodną, tam znajduje się więzień. Okręt nie może być zatopiony.

— To samo musimy powiedzieć Anglikowi.

Jacht udawał, że korsarz wcale go nie obchodzi. Temu zaś nic nadzwyczajnego nie wpadło w oko. Dopiero na wolnym morzu jacht rzucił się na korsarza. Niebawem ster w pirackim okręcie został uszkodzony.

Ten śmiały i niespodziany manewr wywołał na „La Pendoli” ogromne przerażenie. Landola poznał statek.

— To ten sam drab! Dołóżcie mu!

Ale okręt „La Pendola” nie był gotowy do natychmiastowej walki. Strzały z karabinów nie osiągały jachtu. Tam, na pokładzie stał Sternau.

— Pozdrowienie z Rodrigandy! — zawołał.

W tej chwili podniósł strzelbę i wycelował. Daleko nosząca rusznica huknęła i w tym samym momencie upadł kapitan Landola.

— Nie zabiłem go, tylko śmiertelnie zraniłem. Strzał przeszedł przez ramię i potrzaskał kości. Człek ten musi jeszcze mówić.

Potem huknął drugi strzał. Pierwszy oficer, stojący obok bandery, upadł nieżywy, potem padł sternik, nareszcie drugi oficer..

— Tak, to dobrze! Teraz nie mają oficerów. Widzisz pan, tam, nadchodzi Anglik.

Okręt pancerny przystanął przed korsarzem.

— Hallo! — zawołał kapitan do Sternaua. — Już go pokaleczyliście? Brawo!

— I zabiłem mu czterech oficerów — dodał Sternau. — Proszę uważać na więźnia, który przebywa na samym dole.

— Rozumiem.

Anglik wystrzelił, kula przeleciała ponad pokładem korsarza na znak, że ma pokazać flagę. On wywiesił hiszpańską.

— Co to za okręt? — zapytał Anglik.

— „La Pendola”, kapitana Landoli.

— Jaka załoga?

— Dwudziestu czterech majtków.

— Przeklęty łgarzu! Tutaj dawaj majtków, na mój okręt!

Korsarz był zgubiony, nie było steru. Dla załogi jedynym ratunkiem była ucieczka. Stworzono pozory posłuszeństwa, zupełnie jakby chciano poddać się woli angielskiego kapitana, tymczasem łodzie żeglowały w stronę lądu, ku Jamajce. Ludzie ci nie mieli czasu zabrać ze sobą czegokolwiek, ratowali własne życie. Ale i tego im nie darowano. W jednej chwili Sternau siedział im na karku. Zobaczył, że nie mają ze sobą więźnia, więc posłał dwa czółna na dno morskie, zaś załogę trzeciego i czwartego powystrzelał. Teraz powrócił do okrętu.

Anglik spuścił również swoje czółna i skierował się na korsarski okręt. Na pokładzie znaleziono trzy trupy. Zranionego kapitana nie było. Wzięto go do jednej z łodzi, które Sternau ostrzeliwał. Tak więc nie można się było od niego niczego dowiedzieć. Nastąpiło przeszukanie okrętu.

Znaleziono dowody na to, że był to statek piracki. Sternau jednak nie troszczył się o te rzeczy. Zapalił jedną ze znalezionych latarni i udał się na samo dno okrętu. Quimbo, niewolnik piracki szedł z nim jako przewodnik.

By okręt szedł głęboko w wodę, zapełnia się spód kamieniami i piaskiem. To nazywa się balastem. W „La Pendoli” składał się z samego piasku. A ponieważ na każdym okręcie panuje

ogromna wilgoć, więc piasek ten był całkiem mokry. W tym piasku wykopano dół i wyłożono drzewem. Wyglądał jak niski chlew. I w tym to dole tkwił żywy szkielet człowieka, przypominający dokładnie znane wizerunki śmierci. Na nim wisały kajdany.

Kiedy szkielet usłyszał wchodzących, zadźwięczał kajdanami. Grobowy ton tego głosu był wzruszający. Sternau przystąpił bliżej i rzekł:

— Panie poruczniku, nadchodzą przyjaciele.

— Ach, co za głos! Prawda to czy sen?

Podniósł się z wolna i patrzył na wchodzących.

— Quimbo! — zawołał. — Ty znowu tutaj! A ten pan, kto to?

Sternau podniósł latarnię i oświecił swoją twarz.

— O mój Boże! — zawołał więzień. — Senior Sternau.

Nie był w stanie mówić dalej. Z radości zemdłał. Sternau zbadał okowy i rozkuł je.

Zaniesiono Mariano do kajuty Landoli, a nie od razu na pokład, gdyż oczy jego odzwyczyły się już od światła. Sternau posłał czółno do angielskiego okrętu, by przywiozło Amy Lindsay.

Tymczasem porucznik, czyli Mariano, jak go zwano u rozbójników, doszedł do siebie.

— Senior Sternau, czy to prawda, czy ja może śnię? — zapytał cicho.

— To rzeczywistość. Ale nie pytaj pan o nic. Potem się dowiesz wszystkiego. Teraz musimy zająć się panem, odzież pańska przegniła, wprost nie można na pana patrzeć. Ten kapitan Landola będzie mieć w swoim kufrze jakieś ubranie. Poszukamy, gdyż za parę minut będzie miał pan odwiedzin.

— Ale jakże to się stało? Słyszałem strzały...

— O tym, później. Płynąłem z Europy do Afryki, a stąd aż tutaj, by pana odnaleźć. Znajdujemy się w pobliżu Jamajki. A teraz... Oto masz pan spodnie, bluzę, koszulę, trzewiki, chustkę do nosa i kapelusz. Wszystko czego panu trzeba. A tu jest woda do mycia. Spiesz się pan tylko!

— Cóż to za odwiedzin mają nastąpić?

— Przyjdzie jedna dama. Dalej nie powiem nic. Zapukaj pan, skoro będziesz gotów.

Sternau wyszedł z kajuty. Mariano ubierał się. Podczas tego usłyszał z dworu cichy szept. Był bardzo słaby, udało mu się jednak ubrać, a kiedy oglądnął się w zwierciadle stwierdził, że wygląda jako tako, ktoś zapukał.

— Proszę wejść, *miss*. On nie umrze z radości.

Także usłyszał słowa Sternaua. Spojrzał przed siebie i ujrzał ukochaną, tę, co była jedyną jego myślą wśród ciężkich lat niewoli i niedoli. Jej oblicze zabłyśło, jak ożywcze słońce, którego nie widział tak dawno. Zachwiał się, ale zebrał siły. Z rękoma rozwartymi pospieszył naprzeciw niej.

— Amy, *miss* Amy, co za radość!

Ona nie widziała jego chudej postaci, jego zapadłych policzków, widziała tylko blask radości jego pełnych oczu. Wyciągnęła doń obie ręce.

— Alfredzie — zawołała. — Wreszcie, wreszcie znowu jesteś wolny!

Padli sobie w objęcia i tak trwali. Nie mówili ani słowa, ale ich usta znalazły się, ich serca biły nawzajem. Rozkosz spotkania była ogromna. Jego ramiona oderwały się wreszcie od ukochanej, zbladł, zachwiał się...

— Alfredzie! — zawołała podtrzymując go. — Co ci się stało?

— Szczęście zbyt potężne dla mnie! — jęknął cicho.

Padł na krzesło.

Amy uklękła przed nim, patrzyła nań z bezgraniczną troskliwością. Teraz dopiero spostrzegła ogromne zniszczenie, jakiego dokonała na jego twarzy i całym ciele długa niewola, głód, pragnienie i cierpienia. Serce jej omal nie pękło z bólu i chciała krzyknąć, jednak zapanowała nad sobą i cicho ze współczuciem zapytała:

— Ty jesteś chory, mój kochany?

— Dużo przecierpiałem i byłbym też wkrótce poddał się moim cierpieniom, ale teraz wszystko już minęło, wszystko będzie dobrze!

Głaskała jego chude policzki.

— Tak, mój Alfredzie, będziesz znowu silny, taki jak tam, w Hiszpanii, kiedy byłeś naszym zbawcą i obrońcą. Już cię od siebie nie puszcę, dopóki nie zginą wszystkie ślady twej męczarni. A potem...

— A potem? — zapytał.

— Potem będziemy już całe życie należeć do siebie!

On potrząsnął smutno głową:

— Zdaje mi się, nie będzie to możliwe.

— Dlaczego nie, mój drogi?

— Nie znasz mnie. Wiesz o mnie zbyt mało. I to, co wiesz, nie jest czystą prawdą.

Ciężko mu było wypowiedzieć te słowa. Ona popatrzyła nań z przerażeniem, potem rzekła:

— Czy tak cię osłabiły te wszystkie cierpienia? Twoja siła i hart ducha wrócą niedługo. Prawda, że niewiele wiem o tobie, ale to mi wystarczy, gdyż wiem, że mnie kochasz. Reszta jest mało istotna.

— Mimo to musisz się o tym dowiedzieć. Wysłuchaj mnie. Nie jestem tym, kim się wydaję...

Położyła mu rączką na usta:

— Nie teraz, Alfredzie! Wiem, iż jesteś czysty i szlachetny, a więcej nie chcę na razie wiedzieć. Będziesz zdrow, opowiesz mi kochanie, co ci ciąży na sercu. A teraz dziękujmy Bogu, że cię ocalił.

Tak siedzieli przytuleni, myśląc tylko o sobie, gdy tymczasem ze statku przenoszono różne przedmioty na angielski okręt. Wreszcie wszedł Sternau.

— Przepraszam. Troska o przyjaciela każe mi przeszkodzić wam w pogawędce. Przychodzę jako lekarz i proszę pana porucznika, by udał się ze mną na pokład. Człowiek, który całymi miesiącami przesiadywał na dnie okrętu, musi dbać o swoje zdrowie.

Poszli za nim na górę.

Teraz na powietrzu, w jasnym świetle dnia ujrzano, jaki straszny wpływ wywarła na Alfredzie niewola. Barwa jego skóry była szara, oczy były głęboko zapadnięte, a skóra ostro naciągnięta na wystających kościach policzkowych. Był bliski tak samo cielesnego rozkładu, jak i duchowego upadku.

Sternau zbadął go dokładnie. Pełne trwogi oczy dziewczyny spoczywały na lekarzu

— Dziękujmy Bogu, że się dzisiaj spotkaliśmy, poruczniku. Tydzień później nie byłoby już pan między żyjącymi. Osłabienie ogromne. Zalecam dużo świeżego powietrza, dużo ruchu i odpowiednie dla choroby odżywianie.

— Jak długo zatrzyma się pani na Jamajce, *miss Amy*? — zapytał po jakimś czasie lekarz.

— Dopóki nie otrzymam odpowiedzi. Czy stan naszego przyjaciela jest taki, że wymaga dłuższego pobytu?

— Zalecam mu przede wszystkim spokój, ale zostać nie może ani tutaj, ani w Kingston, gdyż powietrze w tych okolicach jest prawie zabójcze. Parowiec zostanie tutaj do jutra, bo musi przeładować wszelkie zdobycze korsarzy. Mam pewną propozycję, otóż chcę, aby pani popłynęła i to zaraz moim jachtem do Kingston. Gubernator, skoro pani tylko go o to poprosi, odpowie szybko i potem już ja sam zawiozę panią do Vera Cruz. Możesz pani mojemu jachtowi całkowicie zaufać. Im wcześniej dostanie się nasz pacjent na wyżynę Meksyku, tym szybciej możemy liczyć na jego powrót do zdrowia.

Zgodziła się na ten projekt i powiadomiono o tym kapitana okrętu. Ten wprowadzając zauważył, iż dama została powierzona jego pieczy, nie mógł jednak zmusić jej do pozostania na jego statku.

Zauważył też, że Sternau brał udział w natarciu na pirata i dlatego należy mu się część łupu, ten jednak podziękował za wszystko, kazał przenieść rzeczy Amy na swój statek i odpłynął w stronę Kingston. Sternau towarzyszył *miss Lindsay* do gubernatora, który koniecznie chciał ją przedstawić swojej rodzinie i prosił, by gościła u nich dłużej, ale ona usprawiedliwiła się wagą wielu spraw, które ją zmuszały do natychmiastowego powrotu do Meksyku. Kiedy urzędnik zmiarkował, że nic nie pomagają jego prośby, zarządził natychmiastowe wysłanie depeesz. Na drugi dzień przed południem „Róża” była już w drodze.

Na tym samym miejscu spotkali okręt wojenny, który już niedługo miał się uporać ze swoją robotą i pragnął zatopić korsarza w głębi fal.

— Widocznie nikt z piratów nie umknął — rzekła Amy.

— To ważne pytanie! — odrzekł angielski kapitan. — Wczoraj patrzyłem przez lunetę na brzeg Jamajki i ujrzałem kilku mężczyzn w marynarskich strojach niosących kogoś rannego czy też chorego. Ponieważ ta część wybrzeża nie jest zamieszkana, zaciekała więc mnie obecność tych ludzi. Wysłałem czółno w tę stronę i dowiedziałem się od moich chłopców, że widzieli wprawdzie ludzkie ślady, ale ani jednego człowieka.

— A może kapitanowi Landoli naprawdę udało się dostać na wybrzeże? — rzekł Sternau. — W takim razie byłoby lepiej zawinąć koło brzegu. To mógł być kapitan, gdyż jego, specjalnie tylko zraniłem.

Wtedy przemówił Mariano:

— On nie jest wart by żyć. Jednak ucieszyłbym się, gdyby tak było. Spotkałbym się z nim, wyrównał nasze rachunki. On był dla mnie wcielonym diabłem. Straszne dla mnie wymyślał męczarnie. Gdybym go miał w swojej władzy, oddałbym mu wszystko w dwójnasób.

— Dobrze, musimy się przekonać — rzekł Sternau. — Nie potrwa to dłużej, jak godzinę i będziemy wiedzieć, na czym stoimy.

Jacht popłynął w kierunku wskazanym przez kapitana. Sternau sam badał ślady, ale ponieważ wczoraj był przyływ i odpływ morza, ślady się zatarły. I tak z niczym wrócili nasi na okręty.

Droga do Vera Cruz była pomyślna i trwała krótko. Sternau i Helmer towarzyszyli dwojgu zakochanym do Meksyku. Jacht został pod opieką marynarzy.

Ponieważ Mariano był bardzo osłabiony, więc podróż konna nie była możliwa. Użyto w tym celu dylizansu pocztowego, który między Meksykiem a wybrzeżem odbywa regularną trasę. Trzej ci mężczyźni uzbroili się należycie, solidnie zaopatrzyli w żywność, gdyż w tych okolicach restauracje czy inne gospody nie istnieją, i tak udali się w podróż.

Taka podróż meksykańskim dylizansem nie należy do przyjemności. Wóz przystosowany jest do przewozu dwunastu, z górą szesnastu osób i ciągnięty przez na pół dzikie muły. Zwierzęta te dniem i nocą pasą się na wolności i trzeba je łapać przy pomocy lassa, jeżeli ma się ich użyć do zaprzęgu. Z ogromną niechęcią dają się zaprząć, ale kiedy już raz są w drodze, wtedy pędzą szalonym galopem.

Okolica prawie niezaludniona, droga prowadzi przez puste, skaliste obszary, głębokie rozpadliny, ciemne, dziewicze lasy, rzadko kiedy gdzieś spotyka się indiańską, ubogą chatkę. Żaden Europejczyk nie ma pojęcia o trudach takiej podróży. Po takich właśnie okolicach pędzi dylizans szalonym galopem. Woźnica kiwa się na koźle, trzymając lejce w rękę, a obok niego siedzi pomocnik, chłopak od mułów.

Ten nie ma ani chwili spokoju. Skacze z wozu podczas szalonego biegu, nadaje dylizansowi kierunek. Kamykami, które zbiera po drodze i nosi w kieszeniach, traktuje leniwe lub opieszale zwierzęta i ciągle jest w pracy.

To jego szkoła, którą musi odbyć, chcąc kiedyś zostać woźnicą. Dobry woźnica dylizansu jest cenioną osobistością i bardzo słusznie.

Oprócz niezłej pensji ma zagwarantowane wyżywienie i jeżeli w ciągu roku ani razu nie wyrócił dyliżansu, to wtedy ma prawo żądać pod koniec każdego roku dodatkowej nagrody, a do tego wszystkiego tytułują go „senior”.

Wielką plagą w czasie podróży jest panująca niepewność. Każdy Meksykanin jest po części rabusiem, dlatego też w taką drogę należy się wybierać uzbrojonym. Mimo to jednak często się zdarza, że podróżni padają łupem rozbójniczych zapędów krajowców.

Wieczorem nasi podróżni dotarli do pewnego rodzaju folwarku, gdzie byli zmuszeni przenocować. Była to mała, brudna chata ogrodzona kłującymi kaktusami. Wewnątrz tego ogrodzenia pasły się wychudzone konie i muły. Chatę zamieszkiwał „poczmistrz”, chudy Meksykanin, który raczej wyglądał na jakiegoś mordercę, niż na poczciwego człowieka.

Oprócz tego miał on szynk. Napoje sprzedawał za solidnie wyśrubowane ceny.

Amy obawiała się tego człowieka. Oprócz tego panujący w mieszkaniu brud brzydził ją, dlatego przygotowano dla niej spanie w dyliżansie. Trzej mężczyźni chcieli przebywać w pobliżu niej i postanowili spać pod gołym niebem.

Wieczór był piękny. Amy i Mariano odłączyli się od innych i udali na spacer. Szli pod rękę, nic nie mówiąc, gdyż otaczające ich szczęście nie pozwalało na to. Wreszcie Amy rzekła cichym głosem:

— Ciężki był czas między pobyt w Rodrigandzie a chwilą obecną!

— Dla mnie czas pełen ciężkich przeżyć — odrzekł.

— A dla mnie bolesnej troski o ciebie, mój Alfredzie!

— Nie nazywaj mnie Alfredem, gdyż mam na imię Mariano. Alfred de Lautreville było tylko przybranym imieniem. Wszystko ci powiem... Nie bój się o mnie, nie zaszkodzi mi to wcale, że się tobie wypowiadam.

Usiedli na załomie skały. On jej opowiadał dziwną i straszną historię swojego żywota, a ona z jednego zdziwienia przechodziła w drugie.

— Już pewnie słyszałaś nieco od Sternaua o moim domniemanym pochodzeniu. Więc dobrze. Jestem ofiarą zbrodni, a moim zadaniem jest odkrycie prawdy.

Porwano mnie od moich rodziców, dostałem się do jaskini zbójców... Tak, moja miła, lękaj się zbójcy. Tak, ty milczysz. Ty mną teraz pogardzasz i tego się właśnie bardzo obawiałem...

— Ach, przecież ty nie jesteś winien temu, że się tam znalazłeś!

— Słusznie mówisz, nie jestem winien temu. Mimo to żyłem między brygantami i wychowano mnie w ich duchu. Nie starałem się nawet uwolnić... Ale kapitan miał widocznie inne względem mnie zamiary. Kazał mnie wychowywać tak, jak zasługiwało na to moje pochodzenie. Jedną rzecz niegodną popełniłem, mianowicie to, że w Rodrigandzie nosiłem fałszywe nazwisko.

— Ach, przecież nie mogłeś inaczej, mój Mariano. Opowiedział jej o wszystkim, nie pominął nawet rozważań Sternaua, który w nim odkrył prawdziwego dziedzica imienia Rodriganda y Sevilla.

— Dziękuję ci za twoją szczerość — zawołała Amy, całując go. — Bóg wszystko poprowadzi ku dobremu.

— A twój ojciec? — zapytał.

— Nie obawiaj się, on mnie kocha i uczyni dla mnie wszystko. Siedzieli przez dłuższy czas, potem wrócili do swoich. Amy usnęła w dyliżansie, mężczyźni leżeli obok na ziemi, okryci swoimi kocami.

Na drugi dzień wyruszono w dalszą podróż. Nużąca jazda nadwerężyła zdrowie Mariano, a kiedy dotarli do Meksyku, był bardziej chory, niż przedtem. Ale Sternau uspokoił stroskaną dziewczynę, dając jej nadzieję powrotu Mariano do zdrowia już po kilku tygodniach.

Amy chciała, by trzej towarzysze pojechali z nią do pałacu ojca, ale Sternau odmówił.

— Pozostaniemy w hotelu — rzekł. — Pani ojciec nie zna nas osobiście, a pani opowiadania na nasz temat nie wystarczą jeszcze do tego, by korzystać z jego gościnności.

— Ależ pan oddał mi tak wielką przysługę, cało i bezpiecznie odprowadził aż do Meksyku! Uśmiechnął się i rzekł:

— *Miss Amy*, chcesz może naszego druha Mariano bez żadnego wstępnego wyjaśnienia przedstawić jako swojego narzeczonego?

Zarumieniła się i rzekła:

— Ma pan słuszność. Zajedźcie panowie tymczasem do hotelu, ale obiecać mi musicie, że nie będziecie się wzbraniaли, kiedy tego zapragnie mój ojciec i zostanieie naszymi gośćmi.

— Bardzo chętnie. Udałem się nawet do Meksyku, by poznać tego Korteja i kiedy zamieszkać u państwa to, mi się to z pewnością uda. Może szybko znajdziemy klucz do zagadki, której rozwiązanie jest naszym zadaniem.

Przyjechali do hotelu, Amy udała się do domu. Lord Lindsay nie spodziewał się tak rychłego powrotu córki i był ogromnie zdziwiony, zobaczywszy ją.

— Amy! — zawołał, wstając z krzesła. — Czyż to możliwe?

— Oczywiście! Spodziewam się papo, że nie uważasz mnie za jakiegoś ducha!

— Ale ty nie mogłaś być na Jamajce!

— Byłam tam, a na dowód tego, oddaję ci pismo gubernatora. Mój szybki powrót zawdzięczać możesz panom, którzy mi towarzyszyli. Przede wszystkim doktorowi Sternauowi.

— Jak to, temu sławnemu lekarzowi, o którym mi tyle opowiadałaś wróciwszy z Rodrigandy?

— Właśnie o nim mówię. On mnie odprowadził na Jamajkę, a stamtąd do Meksyku. Wszystko ci wyjaśnię, przeczytaj najpierw odpowiedzi gubernatora. Ja tymczasem poprawię toaletę.

Po godzinie znów była u niego. Siedząc przy jego boku, opowiadała mu prawdziwie i szczerze, jak powinna zrobić to córka. Słuchał skupiony, z poważną miną. To bowiem, o czym teraz usłyszał, brzmiało bardziej awanturniczo, — niż jakiś romans. Zatrwożył się. Amy była jego jedyną córką. Miał co do niej daleko idące plany, a tu naraz oznajmia mu, że kocha, i to kogo? Hiszpańskiego bandytę!

Kiedy skończyła opowiadanie, daremnie czekała na odpowiedź. Wstał, przechadzał się w milczeniu po komnacie. Nareszcie stanął przed nią i zapytał łagodnym głosem:

— Amy, dziecko moje, dotąd zawsze miałem z ciebie pociechę, a dzisiaj pierwszy raz mnie zasmucasz!

Podeszła do niego i objęła go za szyję:

— Przebacz mi, nie będę cię więcej zasmucać. Ale Bóg chciał, bym pokochała tego mężczyznę i dlatego nie mogę postąpić inaczej!

— I ty wierzysz w to wszystko, coś mi tu opowiedziała o tym Mariano? Ty widocznie za bardzo pokochałaś tego wychowanka zbójckiej bandy.

— Tak, pokochałam go — rzekła, patrząc ojcu w oczy. — Żyć bez niego nie będę mogła ani też nie zaznam szczęścia!

— A o mnie, o swoim ojcu nie myślisz wcale? Ciągle tylko mówisz o tej awanturniczej miłości!

— Ojczy, ty pragniesz mojego szczęścia? Mariano możesz osądzić, gdy go poznasz bliżej. Jeżeli wtedy powiesz, iż nie jest godny mojej ręki, posłucham cię od razu.

Wielkie zaufanie słycać było w tych słowach.

— Dziękuję ci, Amy, za twą ufność. Nie zawiedziesz się na swoim ojcu. Idź teraz, odpocznij. Ja tymczasem muszę pomyśleć o tym, co mam uczynić, by cię uszczęśliwić.

Pocałował ją z ojcowską czułością i wrócił do swojej pracy. Ale ta sprawiała mu o wiele więcej trudności, niż każdego innego dnia. Przechadzał się niespokojnie po pokoju. Wreszcie, zdawało się, że powziął jakiś nowy zamiar.

— Jeden tylko jest na świecie człowiek, który mi może dać radę w tak ważnej sprawie. A jest nim nie kto inny, tylko właśnie doktor Sternau, który w mych wyobrażeniach wyrósł na

bohatera. Nie znam go wprawdzie osobiście, ale to, co o nim słyszałem, zupełnie wystarcza, by mu zaufać.

Zadzwoił na służącego. Wprawdzie w Meksyku jest prawie hańbą dla takiego pana iść piechotą ulicami miasta, lord jednak powziął zamiar właśnie w ten sposób udać się do hotelu, który mu córka wskazała jako miejsce pobytu trzech znajomych.

Gdy dotarł na miejsce, spytał o seniora Sternaua.

— Jest w swoim pokoju. Jak mam pana zapowiedzieć?

— Że ktoś pragnie z nim mówić w cztery oczy.

Sternau zdziwił się ogromnie, że w tak krótkim czasie po przybyciu, znalazł się już ktoś, co pragnie z nim mówić i to sam na sam. Mimo to spełnił prośbę nieznanego. Kiedy lord wszedł, Sternau poznał, że ma przed sobą dostojnego gościa, a oczy lorda spoczęły z widocznym upodobaniem na olbrzymiej postaci, na otwartej, dobrej twarzy Niemca.

— Pragnął pan ze mną mówić? — zapytał Sternau po hiszpańsku.

— W istocie — odpowiedział zapytany. — Może panu będzie przyjemniej rozmawiać po niemiecku? Jestem Anglikiem. Nazywam się Lindsay.

— Czy, może lord Lindsay, ojciec...

— W istocie jestem nim, mój panie.

— A w takim razie bardzo proszę, *sir*. Nie mogłem się spodziewać takich odwiedzin.

— Rzeczywiście są dość nieoczekiwane — rzekł lord siadając. — Ale pan zdaje się, odgadujesz ich przyczynę.

— Może — odparł, skłoniwszy się poważnie.

— Proszę przede wszystkim przyjąć podziękowanie, panie doktorze, za opiekę nad moją córką!

— Ależ to drobiazg. Nie uczyniłem nic innego, niż to, co uczyniłby każdy człowiek na moim miejscu.

— A potem pozwoli pan, że z nim porozmawiam na cokolwiek inny temat.

— Najprawdopodobniej chodzi o mojego przyjaciela? — zapytał.

— Tak. Mam na myśli miłość tego pana i mojej córki.

— To *miss* Amy opowiedziała już wszystko?

— Zaraz opowiedziała. Nie mogło być inaczej. Ona ufa swojemu ojcu. Znasz pan tego człowieka dobrze?

— Znam.

— I jego pochodzenie?

— Też.

— Więc to nie jest dla pana zagadką?

— Nie.

— Amy powiedziała jednak, że on ma iście awanturniczą przeszłość. Czy to prawda?

— Proszę mnie tylko dobrze rozumieć — przemówił Sternau — Pytał mnie pan, czy znam historię mego przyjaciela, przytaknałem. Jest on, mówiąc krótko, wychowankiem bandy zbójczej, od której wymknął się i nie ma na świecie żadnych skarbów ani majątku.

— Ale czy ten wychowanek rabusiów ma przyszłość?

— Prawdopodobnie.

— Jaką?

Sternau wzruszył ramionami. Nie znał on lorda i nie mógł wiedzieć, z jakim zamiarem tutaj przybył. Zachowywał się więc ostrożnie.

— Mówi pan z ogromną rezerwą, panie Sternau — rzekł Lindsay.

— Proszę przyjąć do wiadomości, że niczego bardziej nie pragnę, niż szczęścia jedyne go dziecka. Również pan to przyzna, że ostrożny ojciec żadną miarą nie może ujrzeć tego szczęścia w związku z mężczyzną, o którym wie tylko, że był rabusiem.

— O proszę, Mariano nie był rozbójnikiem, *sir*!

Wreszcie Sternau zaczął dokładnie opowiadać o swoich domysłach. Zaczął od przybycia do Hiszpanii i doszedł aż do chwili obecnej. Lord słuchał z ogromną uwagą. Słowa Sternaua brzmiały prawdopodobnie i były w stanie przekonać nawet lorda.

— Ależ to coś nadzwyczajnego! — zawołał — O takich sprawach czyta się w romansidłach! Mimo to czuję się na wskroś przekonany pańskimi argumentami i wnioskami. A więc jeszcze raz przyglądnijmy się całości; hrabiemu Emanuelowi Rodriganda y Sevilla wykradają jedyne syna...

— Tak jest.

— Dzieje się to przy pomocy brygantów, którzy chłopaka ukrywają w swojej jaskini. Właściwym rabusiem był Gasparino Kortejo.

— Jestem o tym najzupełniej przekonany.

— Chodzi o to, by z syna Korteja uczynić hrabiego Rodrigandę. Nieprawdaż? Matką tego dziecka jest pobożna siostra Klarysa. Tak? Teraz dalej. Ojciec dominikanin poznał tajemnicę, odkrył mu ją pewien umierający żebrak Pedro, a odbyło się to przy asyście Mariano, który w ten sposób dowiaduje się po części o swoim pochodzeniu. Przybywa do Rodrigandy i tam rozpoznaje go Kortejo. Skutkiem tego, młodzieńca porywa kapitan piratów, który go miał unieszkodliwić. Pan go ocalił i przywiózł do Meksyku. Czy tak?

— Dokładnie.

— Jaki jednak ma pan ceł w dalszej podróży po Meksyku?

— Chciałbym się dowiedzieć, gdzie się znajduje i czy żyje jeszcze owa Maria Hermoyes, która przywiozła do Meksyku zamienione dziecko, również Pedro Arbelez, który był w owym czasie intendentem u hrabiego Ferdynanda, tutaj w Meksyku.

— To nie będzie trudne zadanie.

— Proszę nie zapominać o tym, że nie wierzę w to, iż hrabia Ferdynand faktycznie nie żyje. Ten sternik, który umarł w więzieniu barcelońskim, opowiadał mi o pojmanym, którego sprzedano w Harze. Sądzę, iż jest nim hrabia Ferdynando. Proszę tylko pomyśleć o tym, jakimi środkami posługuje się Kortejo. Jestem przekonany, że w grobowcu Rodrigandów w Meksyku jedna trumna jest pusta. Mam nawet zamiar otworzyć ją, by się o tym naocznie przekonać.

— Ja panu pomogę uzyskać zezwolenie władzy na to.

— Dziękuję milordzie. Nie trzeba mi takiego pozwolenia, gdyż tą drogą niczego się nie dowiem. Proszę o pomoc w innej sprawie. Może panu będzie łatwiej zapoznać mnie z Pablem Kortejem. Koniecznie muszę go poznać.

— Dobrze. Obracam się w kołach, w których można go czasami spotkać, gdyż jest pełnomocnikiem rodziny Rodriganda. Wprawdzie jestem przekonany, iż jest on łajdakiem ostatniego rzędu, ale w takiej sprawie... A co się tyczy Petra Arbeleza, to jest właścicielem hacjendy del Erina.

— W takim razie udam się i tam. Na razie nie powiedziałem Mariano o tym, iż znam jego tajemnicę... A teraz... jakim innym sposobem mógłbym się dyskretnie dowiedzieć, o położeniu grobowca Rodrigandów.

— Już ja się o to postaram.

— Dziękuję. Proszę jednak o pośpiech, gdyż...

Drzwi się otwały, wszedł Mariano. Kiedy jednak spostrzegł obcego, chciał wyjść, ale Sternau wstał szybko i powiedział.

— Proszę wejść, nie przeszkadzasz nam pan. Zwrócił się do lorda i rzekł:

— Oto jest mój przyjaciel Mariano — a do chorego zwracając się rzekł: — A tu oto widzi pan lorda Lindsaya, ojca owej damy, której mieliśmy przyjemność towarzyszyć.

Usłyszawszy imię ojca ukochanej, Mariano zarumienił się i widać było, że walczy z zakłopotaniem. Zapanował jednak nad sobą i skłonił się z elegancją przed lordem.

— Właśnie rozmawialiśmy o panu. — rzekł lord otwarcie — Chciałem pana widzieć i dobrze się stało, że się pan zjawił. Był pan w czasie powrotu mej córki do domu, jej wiernym obrońcą. Dziękuję panu serdecznie.

Wyciągnął do młodziana rękę. Ten uściskał ją i rzekł: — Milordzie, opieka moja nie mogłaby ochronić *miss* Amy przed żadnym niebezpieczeństwem. Jestem chory i dlatego, nie mogłem nawet być jej walecznym rycerzem.

Jego umęczone oko ożywiło się, na białych policzkach zajaśniał rumieniec. Można było poznać, że przed chorobą był mężczyzną co się zowie. Słowa Sternaua przypomniały się teraz lordowi. Poczł litość nad potomkiem wielkiego rodu, umęczonym tak srodze bez własnej winy. Zatrzymał jego prawicę w swojej dłoni i rzekł uprzejmie:

— Pan koniecznie potrzebuje dobrej opieki, by szybko powrócić do zdrowia. Czy znajdzie ją pan tutaj, w hotelu?

— Spodziewam się, milordzie.

— Próżne marzenie. Bądź pan więc tak dobry i sprowadź się do mnie. Pan Sternau opowiedział mi bardzo dużo o pańskim losie, muszę więc tak postąpić. Mam nadzieję, że pańscy przyjaciele, przyjmą również moje zaproszenie i zostaną moimi gośćmi.

Była to miła niespodzianka tak dla Mariano, jak i Sternaua.

— Milordzie — rzekł lekarz. — To więcej, niż zwyczajna gościnność. To dobrodziejstwo. Bóg to panu wynagrodzi. Z wielką chęcią przeniesiemy się do pana.

— Byle szybko. Zaraz nadjedzie powóz. *Adieu!*

Wyszedł. Lekarz odprowadził go do drzwi. Gdy wrócił, zastał Mariano płaczącego. Były to łzy radości... Obfite łzy, którymi płaczą nawet mężczyźni, którzy nie mogą ukryć swych wzruszeń.

Powóz przybył. Mariano bowiem nie mógł jechać konno, a poczciwy Helmer też nie był zwolennikiem jazdy wierzchem. Jako prawdziwy żeglarz miał jednego rumaka, statek, a na czworonogim siedział nie więcej niż dziesięć razy w życiu. Za to Sternau musiał już dnia następnego pojechać z lordem na Alamedę i wzbudził tam ogólny podziw.

— Pan wzbudza powszechne zainteresowanie. Czy widzi pan tę grę damskich wachlarzy? — rzekł lord.

— Mam swoją damę, milordzie — odparł Sternau poważnie.

— O, tego tutaj nie bierze się tak poważnie!

— Tym poważniej biorę ja.

— A więc nie ma pan zamiaru, by któryś z tych Meksykanów zrobił się nagle szalenie zazdrosny?

— Nie pragnę tego.

— No, zobaczymy, czy pan doprawdy okażesz się takim twardym. Teraz jednak korzystajmy ze sposobności, przedstawię panu kilku z tych eleganckich Meksykanów i Meksykanek.

Ci podziwiali szlachetną postawę niemieckiego lekarza. Kiedy wrócili obaj do domu, przynieśli ogromną ilość zaproszeń. Przez kilka dni, wszystkie damy z towarzystwa z zamiłowaniem rozmawiały o rycerskim Niemcu, przy którym bledli wszyscy Meksykanie.

Kortejo wszedł do swego pokoju srodze zatroskany. Potem udał się do Józefy, która leżała w hamaku i myślała o Alfonso i pięknych Hiszpankach, swoich możliwych rywalkach.

— Są wiadomości, przede wszystkim list mojego brata.

W jednej chwili wyskoczyła Józefa z hamaku wyciągnęła rękę po listy.

— Daj to! Co w nich jest?

— Hm. Rozmaite rzeczy. Dobre i złe. Alfonso był w Paryżu i Niemczech. Chciał zgładzić tego doktora Sternaua, którego musimy się obawiać. Posiada on wyjątkową bystrość umysłu, podziwu godną i ma przy tym ogromne szczęście w działaniu. Można uważać, że diabeł jest jego sprzymierzeńcem.

— No, może też diabeł przyjdzie z czasem i zabierze go — rzekła. — Myślałam o nim przypadkiem. Czy słyszałeś o Niemcu, który teraz opanował nasze salony? Nazywa się senior Sternau. Jest gościem angielskiego posła i był przedstawiony w najwyższych kręgach. Lekarz, zwyczajny lekarz. Może to ten sam.

— Nazywa się Sternau? Do diabła! Ale czekaj no chwilę, przeczytajmy naprzód listy. Podał jej pismo, a ona czytała:

„Kochany bracie!

Tym razem mam dla ciebie nieco ważnych wiadomości. Jak o tym już wiesz, doktor Sternau uciekł, brygami dopomogli mu przekroczyć granicę. Kazałem go śledzić i dowiedziałem się, iż ma zamiar udać się do Paryża. Naturalnie chodziło mi o to, by go unieszkodliwić. Postąpiłem za nim Alfonso.

Niestety, przyjechał za późno. Sternau był już w Niemczech. Alfonso udał się za nim, jednak znacznie ucierpiał podczas katastrofy kolejowej. Musiał długo leczyć rany. Tymczasem Sternau ożenił się z Różą.

Stało się to w małej miejscowości koło Moguncji, w Kreuznach.

Alfonso przybył za późno. Ślub się już odbył, a Sternau udał się w drogę. Wiecie, co postanowił? Ten człowiek chce odszukać kapitana Landolę, by mu odbić tego Mariano, który w Rodrigandzie nazywał się Alfredo Lautreville. Można się spodziewać, że ten zamiar może się mu udać, jeżeli wy mu nie przeszkodzicie.

Dałem o tym wszystkim znać do tych przystani, do których zwyczaj przybija Landola. A teraz trochę przyjemniejszych rzeczy. Alfonso stoi obecnie na czele domu Rodriganda, musi dbać o to, by nie wygasły tradycje tego rodu, jednym słowem musi się ożenić.

Już rozglądnałem się za żoną i udało mi się nawet zwrócić jego uwagę na damę, która ma wszelkie po temu warunki, by doprowadzić imię Rodriganda do większego znaczenia.

Wiesz, że swego czasu byłem ochmistrem w domu księcia Olsunny. Opowiadałem ci również o jego miłosnej przygodzie z niemiecką guwernantką, która potem, w niestawie uciekła od niego. Ta miłostka oddała go w moje ręce, także mogę mu dyktować warunki. Ma on jedyne dziecko, córkę. Wprawdzie jest starsza od Alfonso, ale nadzwyczaj piękna, niezmiernie bogata i z rodu stojącego wyżej niż rodzina Rodrigandów, jest przecież księżniczką! Alfonso widział ją i od tej pory marzy tylko o niej. Spodziewam się, że wpływ mój na księcia doprowadzi do powiązanie tego małżeństwa, o czym ci jak najrychlej doniosę, jeśli tylko moje zabiegi zakończą się szczęśliwie.

*Twój brat
Gasparino.*

Józefa, czytając te słowa zbladła, a kiedy skończyła, zgrzytnęła zębami, zmięła papier i rzuciwszy go na podłogę, deptała nogami.

— Czeką go taki sam los, jak ten list, skoro się nie zechce ze mną ożenić. Ja ich obu rozdepczę, rozmiażdżę!

— Tylko cicho, jeszcze tak daleko nie zaszło! — uspokajał ją ojciec.

— Tak? Jeszcze nie tak daleko? Do czego miało więc już dojść? Same myśli takie są podłą zdradą wobec mojej osoby! Mimo to nie oddam go drugiej, on jest moją własnością, niczyją inną. Chcę być hrabiną Rodriganda, a co pragnę, staram się zrealizować, choćbym użyć miała najstraszniejszych nawet środków. Rozumiesz? Stała przed ojcem jak furia. Ten zaś rzekł bardzo spokojnie:

— Napiszę do Gasparina.

— Ja sama napiszę doń i zażądaj natychmiastowej odpowiedzi!

— A jeśli powie „nie”?

— To zginie, przysięgam ci to!

— Józefo, przecież to mój brat!

— Właśnie dlatego! A czemuż nie chce spełnić moich pragnień? Tamci zasługują na gorszą karę. Wiesz przecież, iż mam testament.

— Nie użyjesz go przeciwko niemu!

Zaśmiała się szyderczo, przystąpiła do ojca i rzekła zuchwale:

— Jakże dziwny mi się wydajesz! Twój brat ma syna, ty zaś córkę. Wszyscy razem jesteśmy złodziejami, oszustami, nawet mordercami, a tylko dlatego, by posiadać Rodrigandę. A więc ma się stać ona własnością tylko jego syna, a twoja córka ma odejść bez niczego? Nie, mam tak, jak i on do tego prawo. Skoro zostanie hrabią, to ja zostanę hrabiną. To jedyne słuszne rozwiązanie. I od tego nie odstąpię ani na krok.

Kortejo rzekł niby przekonany:

— Właściwie masz słuszość. Tylko nie trzeba tak zaraz wybuchać gniewem. Mamy na głowie dość problemów. Na przykład ten lekarz, Sternau.

— Sądziś naprawdę, że ten Sternau, który przebywa tutaj, jest owym niebezpiecznym człowiekiem?

— Tak.

— W takim razie trzeba sprawę zbadać. Koniecznie musimy zdobyć zaproszenie na przyjęcie, gdzie można by spotkać tego strasznego wroga.

Sternau był przygotowany na to spotkanie. Mógł przecie spodziewać się, że Kortejo znał go przynajmniej z nazwiska, gdyż w całym w mieście mówiono o nim.

Tak minął tydzień. Lindsay zaprosił raz Sternaua na zwyczajną przejażdżkę konno. Wyjechali z miasta i pędzili wśród wzgórz.

— Nareszcie mogę dotrzymać obietnicy, panie doktorze. Tam znajduje się grobowiec rodzinny rodziny Rodrigandów— wskazał ręką wspaniałe mauzoleum w korynckim stylu.

— Dziękuję, milordzie!

Tuż przed północą trzech mężczyzn podążyło na cmentarz. Noc była ciemna. Przeskoczyli mur. Byli to znani nam ludzie: Sternau, Helmer i Mariano, który wyzdrowiał na tyle, że był w stanie dotrzymać kroku towarzyszom.

— Proszę tu zostać — szepnął Sternau. — Chciałbym się przekonać, czy nie ma kogoś w pobliżu.

Zbadał cmentarz dokładnie.

— Chodźmy teraz, ale cichuteńko.

Koło mauzoleum przeskoczyli przez okratowaną bramę i natchnęli się na ciężką, metalową przykrywą, zakrywającą wejście do podziemia.

W ciągu dnia przygotowano potrzebne narzędzia, z łatwością więc odśrubowali przykrywą i wtargnęli do wnętrza grobowca. Sternau był pierwszym, natrafił na jakąś trumnę.

— Znalazłem trumnę, Helmer, zapal pan latarkę ale tak, by ani blask nie wydostał się na zewnątrz.

W całym lochu zobaczono tylko jedną trumnę.

— Co ujrzymy? — szepnął Mariano.

— Albo nic, albo popioły pańskiego stryja, Ferdynanda — odpowiedział Sternau.

— Strasznie się robi!

— Boi się pan?

— Nie. Ale wstaw się pan w moje położenie: obrabowany bratanek przy trumnie swego stryja.

— Ależ odwagi. Przecież to nie rabowanie zwłok, ani w ogóle żadna obelga dla nieboszczyka! A za to co czynimy, możemy odpowiadać tylko przed Bogiem i sumieniem. A teraz otwórzmy trumnę!

Przyłożyli znowu klucze do śrub. Śruby zgrzytnęły w drzewie i w trumnie odśrubowano wieko. Teraz stali trzej mężowie patrząc na siebie z wyrazem oczekiwania. Stali bowiem przed

odkryciem wielkiej tajemnicy, musieli więc przede wszystkim zapanować nad dziwnym, w głębi duszy budzącym się uczuciem.

— A teraz, w imię Boże... do góry! — zawołał Sternau.

Schwycił, podniósł wieko i odłożył na bok. Helmer poświecił latarką we wnętrze trumny i trzej mężowie rzucili okiem jak na komendę do jej środka, a potem na siebie.

— Trumna jest próżna! — rzekł Mariano.

— Tak właśnie myślałem — zauważył Sternau.

— Nigdy nie było w niej żadnych zwłok — odezwał się Helmer.

— O, ciało tu leżało — rzekł Sternau, oświecając latarką białe, atlasowe poduszki, które wypełniały wnętrze trumny. — Proszę tylko popatrzeć na odciski, jakie pozostały po nim. Ale nie były to zwłoki, bo zabranie ich z trumny nie miało sensu. Ale skoro jest trucizna, która wywołuje obłąkanie, to istnieje również medykament na letarg. Teraz zamknijmy trumnę jak należy, by nie został po nas najmniejszy ślad.

Lord Lindsay z ogromną ciekawością oczekiwał przybycia ich. Prosił Sternaua i Mariano, by zaraz do niego przyszedli. Kiedy mu opowiedzieli o wyniku poszukiwań, zawołał przerażony:

— Nie uwierzyłbym ‘w coś podobnego! Co za zbrodnia! Zaraz należy donieść o tym władzom!

— To nie doprowadzi do niczego! Do władz meksykańskich nie mam zaufania. Nawet ty *sir*, nie pomógłbyś tutaj wiele. Mógłbyś tylko dowieść, że brakuje zwłok, ale gdzie się podziały, albo czy ten, kogo pogrzebano był zmarłym czy żywym, a także, kto był sprawcą zbrodni... nie mógłbyś pan odkryć w jawny sposób. Takim doniesieniem gotowi jesteśmy zwrócić uwagę wrogów na niebezpieczeństwo, jakie im grozi — rezonował Sternau.

— Co mamy więc robić?

— Najpierw odnaleźć hrabiego Ferdynanda. Potem zaprowadzimy zbrodniarzy na cmentarz i zażądamy od nich wydania zwłok. Inaczej nic nam nie wyjdzie. Trzeba koniecznie udać się do Harrary, gdzie biedaka miano sprzedać. Przede wszystkim jednak trzeba mi pomówić z Arbelezem i Marią Hermoyes.

— Od jednego z moich służących, któremu poleciłem nawiązać swoistego rodzaju romans w domu Rodriganda dowiedziałem się, że Maria Hermoyes nie cieszyła się dobrą opinią u Pabla Korteja i jego córki, jak też u hrabiego Alfonsa. Zaraz więc po śmierci hrabiego Ferdynanda uciekła do Arbeleza.

— A to ciekawe! — zawołał Sternau. — Nie możemy jednak wyruszyć od razu, gdyż Mariano jeszcze nie odzyskał sił. Potrwa to z tydzień.

— Najmniej tygodnia potrzeba, by pan Helmer przyuczył się do sztuki jeździeckiej, bo tęgiego trzeba kawalerzysty, by odbył podróż aż na granicę indiańską.

Mariano znajdował się pod znakomitą opieką. Amy podawała mu wyśmienite lekarstwo, miłość. Całymi godzinami przebywali ze sobą, a lord Lindsay udawał, że nic nie widzi.

W dwa dni po zbadaniu grobowca, Lindsay ze Sternauem zostali zaproszeni na uroczyste przyjęcie, gdzie także miał pojawić się Kortejo z córką. Sternau był więc przygotowany na ciekawe spotkanie.

Zabawa odbywała się u nadzwyczaj zamożnej rodziny. Dla gości stały otworem liczne apartamenty, w których mogli się zabawiać wedle gustu i upodobania. Po przywitaniu się z panią domu, Sternau odszedł do oranżerii. Niebawem przybył za nim Lindsay, oznajmiając mu przyjście Korteja z córką.

— Proszę mnie im przedstawić!

Wrócili do komnat i zobaczyli Korteja z córką, stojących w grupie nowoprzybyłych gości.

— Ten długi, chudy to Kortejo — zauważył lord.

— Bardzo podobny do swojego brata!

— A ta seniora po jego prawicy, to córka!

— Ta z obliczem sowy?

Przystąpili do grupy, lord szybko, Sternau cokolwiek wolniej.

— A, milord! — zawołał Kortejo — Bardzo się cieszę, że pana spotkałem.

Chciał mówić o interesach, o hacjendzie del Erina. Lord odprawił go krótko, mówiąc, że podczas zabawy nie lubi rozmawiać na tak prozaiczne tematy. Zresztą w tej sprawie dowie się niebawem czegoś pewnego. Tutaj zdradził się niepotrzebnie i niedyplomatycznie, oznajmiając Kortejowi, że Sternau niebawem udaje się do hacjendy.

— A teraz przedstawię państwu mojego przyjaciela.

Wskazał rękaw tył, gdzie stał Sternau. Kortejo i Józefa obrócili się w tę stronę. Kortejo się dwa kroki, na twarzy malowało się zdziwienie.

— Księżę Olsunna! — zawołał — Ach, ależ to niemożliwe. Ale co za podobieństwo, uderzające — dodał po chwili.

— Pan się myli. Ten pan, to doktor Sternau.

— Doktor Sternau? — zapytał Kortejo, rzuciwszy badawcze spojrzenie na Niemca. Potem przybrał na siebie maskę grzeczności i rzekł: — Wielki to dla mnie zaszczyt poznać pana, panie Sternau. Jak mi mówiono, pochodzi pan z Niemiec?

— Tak.

— Lubię Niemców. Pozwoli pan, że przedstawię mu córkę moją, Józefę!

Uklonili się wzajemnie. Potem wszyscy troje udali się w stronę ławki. Sternau przeczuwał, iż teraz zaczną go egzaminować.

Oboje Kortejowie zaprosili lekarza do siebie w gościnę. Jeśliby zaś pozwolił, mówili, to odwiedzą go nawet w domu. Nie sądził, że będą na tyle bezczelni, by przestąpić próg domu, w którym ich z taką niechęcią traktowano.

— Ten sam, ten sam! — mruzczał Kortejo po skończonej rozmowie — Przyglądnęłaś mu się uważnie? To przeciwnik, którego nie wolno nam lekceważyć.

Popatrzyła na swego ojca pogardliwie i odpowiedziała: — Którego nie ma co lekceważyć? Dziwnie mówisz. Powiadam ci, to jest przeciwnik, który przerasta stu innych, czy jednak sprostą jednej kobiecie, to się dopiero pokaże. Co za postać, czoło, oko! Teraz pojmy Różę. Jak spokojnie mówił. Jednak zna nas i wie o wszystkim. We wrogim zamiarze przybył do Meksyku. Musi zginąć! Żal mi go, ale inaczej nie może być. Jest naszym wrogiem!

Już następnego dnia przed południem odwiedzili Sternaua. — Przebacz pan, że odwiedzamy go tak z marszu. Józefa tęskni bardzo za Europą. Nie mamy długi czas wiadomości stamtąd, dlatego chcielibyśmy z panem pogawędzić.

Sternau zapanował nad swoim gniewem i przywitał ich z możliwą grzecznością. I znowu egzamin! Czy był w Vera Cruz, a kiedy, a jak? A gdzie poznał *miss Amy*? Jak wyglądało życie towarzyskie w Rodrigandzie? A jak się nazywał porucznik, który tam przebywał? Czy długo tam był? Czy wrócił ponownie do Francji?

Ale Sternau nie dał się złowić w nieprzyjacielskie sieci.

Niedługo potem wszedł Helmer. Sternau przeprosił gości, mówiąc, iż musi się nagle oddalić, w bardzo ważnej sprawie. Udał się prosto do lorda i wyjednał u niego zaproszenie „pocziwych” gości na śniadanie. Miał w tym bowiem własny cel.

Siedzieli w jadalni i spożywali meksykańskie delikatesy. Po jakimś czasie wszedł niepostrzeżenie Mariano. Kortejo siedział z boku, w mgnieniu oka podskoczył z krzesła.

— Hrabia Emanuel! — zawołał.

Zbladł straszliwie, wytrzeszczył oczy. Józefa wstała również i wpatrzyła się w młodzieńca. W pałacu Rodrigandów znajdował się obraz hrabiego Emanuela z lat młodości. Podobieństwo było tak uderzające, że nawet Józefa się przestraszyła.

— Myli się pan — rzekł Sternau. — To nie hrabia Emanuel de Rodriganda tylko porucznik de Lautreville, o którego mnie wczoraj pytaliście państwo.

— Pan, zdaje mi się, bardzo często zamieniasz osoby młodsze na starsze. Wczoraj pan Sternau był księciem Olsuną, dzisiaj młody porucznik, hrabią Emanuelem. To rzeczywiście dziwne! — rzekł lord.

— Proszę mi darować, ale to podobieństwo, tak mnie zdziwiło, że zapomniałem nawet o różnicy lat!

Podczas dalszej rozmowy żrenice Józefy spoczywały na Mariano i Amy. Ta bystra dziewczyna poznała uczucie, jakie te dwie osoby łączyło. I to niespodziane ścisnęło ją za serce.

Ileż to razy stała przed obrazem hrabiego Emanuela. Uważała go najwspanialszego mężczyznę. Marzyła o szczęściu, którego by mogła doznać, gdyby ją pokochał. A teraz siedziała przed odbiciem tego obrazu. Prawie krzyknęła z radości, zobaczywszy wcielony obraz marzeń swoich. W tej chwili poznała różnicę, jaka zachodziła między Alfonso a Mariano. Dla Alfonsa była w tej chwili obojętną. Poznała istnienie miłości, która przychodzi w jednej chwili i natychmiast zwycięża. Pochłaniała niejako rysy Mariana i z ogromną niechęcią musiała oderwać oczy od jego wizerunku.

Pojechała z ojcem do domu.

— No, a teraz wiesz, na czym stoimy? — zapytał Kortejo.

— Proszę? — zapytała w zamyśleniu.

— Ten porucznik, to prawdziwy hrabia Alfonso.

Przytaknęła głową.

— Sternau go ocalił!

— Zdaje się!

— Ale jak i gdzie? Co mogło się stać z Landolą i jego statkiem?

— Nie wiem.

Spostrzegł dziwną zmianę w córce i w ogromnym gniewie zawołał:

— Jak się zblamowałem! I wczoraj i dzisiaj. Ta podwójna zamiana! Ale i podobieństwo jest ogromne! Wiesz kim jest Sternau? Synem guwernantki i nauczyciela!

— No, i co dalej? — zapytała jakby nieprzytomna.

— Co dalej? — krzyknął rozdrażniony. — Co z tobą dziewczyno? Zgubiłaś swoje myśli, he? Co dalej! Ten Sternau jest synem... i to jedynym synem, księcia Olsunny! Słyszysz?

Zwróciła uwagę na jego słowa.

— A, ty widocznie bredzisz! — rzekła.

— Ani mi się nie śni. Przeczytam ci list Gasparina, w którym opisuje tę awanturę.

Wyszła. W swoim pokoju rzuciła się do hamaku. Jej sowie oczy nabrały milszego wyrazu, lica zarumieniły się. Myślała o nim, tylko o nim.

Potem pospieszyła do biblioteki ojca, zdjęła ze ściany portret hrabiego Emanuela i jął całować.

— Identyczny! O, czym jest Alfonso w porównaniu z nim. Czym jest fałszywy Rodriganda wobec prawdziwego! Jakże się zlekłam zoczywszy go. A w sercu mnie coś tak ukłuło. Przyjemne było to ukłucie, nie bolało. Co to było? Może miłość?

Znowu przytuliła usta do obrazu.

— Siedział koło jasnowłosej Amy i... on ją kocha! Ich oczy zawsze, ciągle szukały siebie. Ich ręce spotykały się pod stołem, widziałam to dokładnie. A to mnie już bolało! Czy to zazdrość?

Patrzyła czule na obraz.

— Czy istnieje naprawdę miłość, która nie potrzebuje ani lat, ani miesięcy, ani nawet tygodni, by zakwitnąć wspaniale? Nawet na pierwszy rzut oka? Jeśli tak, to ta miłość obudziła się we mnie ku temu, który tak jest podobny do ciebie, o słodkie ty moje, słodkie oblicze!

I znowu ciągle całowała obraz. Naraz odezwał się głos. Ojciec jej wszedł niepostrzeżenie i krzyknął zdziwiony:

— Józefo! Dziewczyno, co robisz? Co ci znowu za pomysł chodzi po głowie! Zdaje mi się nawet, że całowałaś stary obraz. Zawieś go w tej chwili na gwoździu!

ZBRODNICZE PLANY

Od tego dnia w Józefie Kortejo zaszła zmiana.

Ojciec rzadko z nią rozmawiał. Służąca opowiadała mu, że seniorita stoi ciągle przed lustrem, przymierza nowe suknie, rozrywa wianki kwiatów i woła gniewnie:

— Ach jaka jestem brzydka, jaka brzydka! Ani złoto, ani kamienie drogie, ani róże nie zmieniają tego!

Gdy Kortejo podkraść się czasem pod jej pokój, to słyszał jak z kimś rozmawiała, wiedział jednak, iż była sama. Często słyszał słowa:

— O jakże cię Kocham! Przyjdź i ucałuj mnie, och najdroższy! A później w gniewie dodawała:

— Nielitościwy, ja cię zabiję, uduszę! Nienawidzę cię, gdyż mi wyrwałeś serce z piersi!

Sam nie wiedział, co ma o tym myśleć. Dlatego wszedł raz do niej, na poważną rozmowę. Stała przed lustrem wydekoltowana i przyglądała się sobie. Ale jej chude ramiona, cienka szyja i bardzo skąpa pierś wyglądały w tym stroju jeszcze gorzej.

— Co robisz? Chyba zwariowałaś! — zawołał.

Obróciła się i zarzuciła chustę na obnażone wdzięki pozbawione uroku. Zarumieniła się.

— Co robię, przymierzam toaletę!

— To ma być toaleta? Gdzie chcesz się w niej pokazać?

— Jeszcze nie jestem zdecydowana. Chciałem iść dzisiaj na igrzyska.

— Ach, więc chcesz wyjść? Dobrze. Idę z tobą. Całe wyższe towarzystwo tam się zgromadzi. Pierwszą nagrodą będzie kosztowna uprzęż na konia, którą zwycięzcy wręczy hrabina Montala.

— Hrabina Montala? Dlaczego ona? Czy nie ma innych?

— Ona jest najpiękniejsza. A może ty chcesz rozdawać nagrody? — zaśmiał się.

Jej oczy błysnęły gniewem. Zaciśnęła jednak wargi i odwróciła się.

— Czy myślałaś o tym, co ci wczoraj powiedziałem?

— Nie. Nie miałam czasu.

— Nie miała czasu! — zawołał gniewnie — Czemu to nie miałaś czasu zajmować się naszymi wrogami? Nim wyjadą, muszę znać twoje zdanie!

— Kiedy wyjeżdżają?

— Pojutrze.

Zdawało się, że jej blade oblicze zbladło jeszcze bardziej, rzekła jednak:

— To niech jadą!

— Co? Mamy wypuścić z rąk prawdziwego Rodrigandę?

— Fałszywy także nie przynosi nam żadnej korzyści!

— Tego nie mów. Przecież ci obiecałem, że napiszę do brata. On się z tobą musi ożenić.

— Poczekaj jeszcze z tym pisaniem!

Pokiwał głową. Nie rozumiał jej postępowania. Wszedł.

Józefa rzuciła się do lustra i zaczęła posypywać pudrem szyję, czoło, a na oblicze nakładać całe warstwy różu. Chciała się przekonać, czy nie będzie w ten sposób piękniejszą. Wtem zapukano do drzwi.

Weszła jej służąca, Amaika. Ta stara Indianka długo już służyła u Kortejów i cieszyła się zaufaniem seniority. Józefa zamknęła drzwi, stanęła przed zwierciadłem i rzekła:

— Amaika, przyglądaj mi się dobrze. Jestem piękna czy brzydka?

Stara klasnęła w ręce i odpowiedziała:

— Brzydka? O Madonno, jakże panienska może być brzydka? Piękna, bardzo piękna jest moja panienczka!

— Naprawdę?

- Na moją biedną duszę! — przysięgała obłudna starucha.
- Pomogło mi więc pudrowanie! Czy mam jeszcze nałożyć rózu na policzki?
- Nie, seniorita. Tak wyglądasz właśnie delikatnie. Muszą cię kochać!
- Muszą, ale on nie!

— On? — zaśmiała się Indianka. — On panienkę także pokocha. On panienkę uściśnie i ucałuje, kiedy tak jak teraz będzie panienka miała ochotę na szaleństwa. Panienka jest taka czarowna, że on się nie oprze jej wdziękom!

— Ale czy on przyjdzie? — zapytała mile połączona.

— Przyjdzie, przyjdzie.

— Skąd wiesz o tym?

— Panienka wie przecież, że czuwam nad nią i uczynię wszystko, by tylko panienka była szczęśliwa!

— Kto powiedział, że on przyjdzie?

— Tu karteczka.

Wyciągnęła zadrukowaną kartkę i podała jej. Mieszkańcy Meksyku organizowali od czasu do czasu igrzyska wojenne, które bywają bardzo kosztowne. Odbywają się one zwykle wieczorem, kiedy już nie dopieka słońce, potem odbywa się jeszcze maskarada, w której biorą udział osoby, znajdujące w tym upodobanie. Tylko niektórzy, do których czasami dopuszczani są też cudzoziemcy biorą udział w tych igrzyskach. Dzisiaj wieczorem właśnie takie igrzyska miały się odbyć, a kartka zawierała nazwiska zawodników.

Józefa czytała je po cichu, dwa jednak przeczytała na głos: — Senior Karlos Sternau wybrał łąso, rusznicę, pałasz i sztylet, a senior Alfred de Lautreville rusznicę, pałasz i sztylet.

— Ach, wiedziałam, iż on jest bohaterem! — rzekła — Nie włada tylko jedną bronią. Z pewnością dostanie nagrodę. O, gdyby mógł ją odebrać z moich rąk! Indianka zdziwiła się. — To jest możliwe! — rzekła.

— Jak to? Hrabina Montala wręczy nagrody.

— Te nagrody, to prawda. Ale czy panienka nie może mu także wręczyć nagrody?

Józefa spąsowiła:

— Jaką?

— Pocałunek serdeczny i czuły!

— Może. Będiesz mi towarzyszyć i postarasz się pomóc w tym. Starej w to graj! Rozpoczęły więc obie przygotowywać się do tego rozkosznego wieczora.

W rezydencji lorda Lindsaya przygotowywano się również. Mariano nabrał sił, oczy jego znowu błyszczały. Policzki wypełniły się i zarumieniły. Mógł jeździć na koniu z dawną swobodą i zręcznością. Dlatego też postanowił wziąć udział w igrzyskach, a Sternau obiecał pójść za jego przykładem.

Sternau ostatnimi dniami był bardzo małowówny i zamyślony. Spowodowała to rozmowa w cztery oczy z lordem, tuż po wizycie Kortejów.

— Panie Sternau, co pan powie na temat tej pomyłki, Olsunna i pan?

— To rzadki i ciekawy wybryk natury, nic więcej!

— A mnie to dziwi. Pański ojciec był Niemcem, a matka Niemką?

— Tak.

— Czy nie mówił pan wczoraj do Mariano, że pańska matka była w Hiszpanii nauczycielką?

— Tak, była.

— Mój przyjacielu, nie chcę ubliżyć pańskiej matce, ale takie podobieństwo przypadkowo nie powstaje. Proszę o tym pomyśleć!

I Sternau rzeczywiście rozmyślał, ale to myślenie wydało mu się wielką nielojalnością wobec matki.

Popołudniu tysiące ludzi ciągnęło na równinę, gdzie urządzono arenę dla zawodników. Na oznaczonym miejscu zebrali się zawodnicy i wyruszyli konno. Kiedy ich szeregi dobiły do

placu, na ich powitanie zabrzmiał okrzyk z tysiąca piersi. Niejedno oko niewieście patrzyło na rozpalone postacie walecznych, którzy odważyli się stanąć w szranki, by okazać swoją zręczność.

Na balkonie siedzieli sędziowie, otoczeni wiankiem pięknych dam. Między nimi znajdowała się hrabina Montala, najpiękniejsza wdowa w całym kraju. Starali się o nią liczni adoratorzy, żaden jednak nie pozyskał jej względów. Obok siedziała jej przyjaciółka, która przybyła aż z Morelli, specjalnie na zawody.

Właśnie zbliżył się orszak walecznych. Wszyscy bez różnicy ubrani byli w pyszne stroje meksykańskie. Przyjaciółka zapytała hrabinę:

— *Dios*, cóż to za rycerz, który na czarnym rumaku właśnie wjeżdża w bramę?

— Nie widziałas go jeszcze? A prawda, od trzech tygodni nie byłaś w stolicy!

Śliczna hrabina patrzyła na rycerza rozpalonymi oczyma i zapomniała przy tym odpowiedzieć przyjaciółce.

— No, kto to? — zapytała ponownie.

— Jeden Niemiec — brzmiała krótka odpowiedź.

Przyjaciółka popatrzyła na nią badawczo, zaśmiała się i rzekła:

— Niemiec! I to wszystko? Więcej nic nie wiesz?

— Gość angielskiego ambasadora.

— A to jakiś niezwykły gość.

— Lekarz. Jest na liście walczących, nazywa się Karol Sternau.

Znowu zaśmiała się przyjaciółka.

— Na liście walczących? Czy przedtem nie słyszałaś tego imienia?

— Słyszałam, ale zapomniałam.

— Dobrze mówisz.

— Dlaczego?

— Sądzę, że kto tego człowieka raz zobaczy, nie zapomni nigdy. Popatrz na tę postać!

— Za masywna, za masywna! Przyjaciółka znowu się zaśmiała.

— To rzecz gustu.

— Nie sądzą, by jego siła fizyczna odznaczała się zręcznością. A do tego Niemiec, jak się może mierzyć na łące i sztylety z Meksykaninem? Niemcy tylko rusznicą i pałaszem władają dobrze.

— Ganiś go, znak pewny, że nie jest ci obojętny.

— Oho! — rzekła hrabina dumnie.

— Kim jest senior obok niego? — zapytała przyjaciółka.

— Przyjaciół, również gość ambasadora, to oficer, a nazywa się Alfred de Lautreville.

— Jak widzę, dobrze znasz tych cudzoziemców.

— Czego chcesz? Wszystkie tutejsze damy zakochane są w nich po uszy.

— Naturalnie, oprócz ciebie.

— Nie przeczę!

Skoro każdy zawodnik zajął swoje stanowisko, rozpoczęła się gra. Naprzód walczone na pałasze. Zawsze dwóch na dwóch, a potem zwycięzcy ze sobą. Sternauowi nikt się nie oparł, a Mariano dorównał każdemu swoją zręcznością. Doszło więc do tego, że mieli oboje walczyć o nagrodę, Sternau jednak odstąpił dobrowolnie.

— Widzisz — rzekła hrabina do przyjaciółki. — Obawia się zręczności przyjaciela. Nie otrzyma on nagrody.

Przyszła kolej na sztylety. Tą bronią włada Meksykanin nadzwyczaj dobrze. Tu nie obyło się bez ran. Wielu krwawiło, inni zrezygnowali. Jeden tylko ani razu nie był draśnięty: Sternau. On został zwycięzcą.

— No, a cóż, brak mu ciągle zręczności?

— Przypadek.

— Jeden walczy przeciwko dwudziestu i zwyciężają, a ty to nazywasz przypadkiem?

Hrabina milczała. Tymczasem wsiadano na konie, by puścić w ruch lassa. Jechało po dwóch, z których każdy usiłował swego przeciwnika zerwać z konia. Zwycięzeni odjeżdżali, zwycięzcy pozostawali, by walczyć ze sobą.

— A co, Niemiec? Nieroztropnie z jego strony mierzyć się z innymi! — rzekła przyjaciółka żartem.

— Upił się zwycięstwem swoim, dlatego jest nieostrożny.

Długo czekano na rozstrzygnięcie, a kiedy ono nareszcie nastąpiło, znowu zwycięzcą został Sternau. Ani razu nie zachwiał się w siodle, ani jeden go nie schwycił swoim lassem, on zaś pościągał wszystkich przeciwników.

Czwartym punktem były rusznice. Poustawiano tarcze strzelnicze. I tutaj zwyciężył Sternau. Kiedy oddał ostatni strzał, unosił się w górze wielki białołowy sęp. Sternau wskazał na ptaka i nabił strzelbę.

Dało się słyszeć przytłumione mruczenie. Nikt nie wierzył, by kula mogła ptaka dosięgnąć. Ale strzał huknął i sęp spadł na dół. Gromki okrzyk nagrodził ten mistrzowski strzał.

Zwycięzcy zbliżyli się do trybuny. O czym nikt nie sądził, było ich tylko dwóch i to obaj przyjaciele. W meksykańskim stroju było im do twarzy. Kiedy odebrali nagrody, kłaniali się z rycerską godnością.

Igrzyska się skończyły, rozpoczęła maskarada. Zwyczaj zakazywał przebierać się tylko uczestnikom zawodów. Sternau i Mariano oddali konie i nagrody jednemu ze służących lorda i przechadzali się po placu. Później jednak każdy poszedł w swoją stronę.

Dwóch zawodników stało ze sobą i omawiało wynik igrzysk. Wściekali się, że im dwaj cudzoziemcy odebrali wszystkie zaszczyty.

— Jak myślisz, Gonsalvo, czy to słusznie, by do walki dopuszczano cudzoziemców?

— Nie, i to jeszcze takich słoni, którym się nikt nie oprze. Kiedy mi przyjdzie ochota, pchnę tego Sternau w krzyże i będzie miał dosyć.

— Ja ci pomogę. Ale skąd weźmiemy pieniędzy, by u naszych pobożnych ojców kupić odpuszczenie takiego grzechu?

— Właśnie! Gdyby nie to, już by mój sztylet był w jego cielsku. To nie mała rzecz iść na drugi świat, kiedy zajdzie potrzeba, z morderstwem na sumieniu.

W ich pobliżu stała maska, która usłyszała tę rozmowę. Przystąpiła bliżej i zapytała:

— Ile będzie kosztować odpust u pobożnych ojców, panowie?

— Co pana to obchodzi?

— Może dużo, bo ja bym chciał wam tę sumę podarować.

— A do czarta! Naprawdę? Kim pan jesteś?

— To nie ma znaczenia. Ja złoścę się tak samo jak wy, że ten człowiek wydziera nam Meksykanom nagrody. Zakłuć zuchwalca!

Odpusty opłacam ja!

— Ale to będzie piękna sumka, przyjacielu! Pięćdziesiąt pesos dla nas obu.

— Dam wam sto, jeżeli Sternau pożegna się z życiem za godzinę!

— Kiedy nam je dasz?

— Zaraz po, gdzie i kiedy będziecie chcieli!

— A to ładnie brzmi. Ale kiedy spełnimy dzieło, a pan nie zechcesz zapłacić, nie jesteśmy w stanie panu nic uczynić.

— To zakłujcie mnie.

— Znamy pana? Proszę na chwilę zdjąć maskę! Maska uczyniła, jak jej polecono.

— Znam pana, senior Kortejo! Pan nas nie oszukasz! Zrobimy to o czym mowa, a jutro przyjdziemy po zapłatę.

Obaj mężczyźni odeszli. Kortejo został sam.

Brzmi to wręcz nieprawdopodobnie, by taki targ mógł się odbyć tak błyskawicznie, kto jednak był w Meksyku, ten wie, iż nie jest to rzadkością.

Mariano po odejściu Sternaua wszedł między tłum. Cieszył się odzyskaniem siły. Naraz ktoś pochwyił go za rękę. Ujrzał przy swym boku żeńską maskę, która go ciągnęła na bok. To pachniało awanturką, dlatego pospieszył za nią.

Zaprowadziła go na ruiny murów wodociagowych.

— Usiądź, senior. Muszę z tobą pomówić.

— Jestem na pani rozkazy. A proszę łaskawie, seniora, wyjaśnić mi, czego ode mnie pragniesz.

— Chcę pana o coś zapytać. Czy mogę usiąść obok pana?

— Proszę.

Tymczasem lord Lindsay wpadł na myśl założenia maski. Spostrzegł Mariano i chciał go trochę podrażnić. Jeszcze jednak nie zbliżył się doń, gdy do młodzieńca przystąpiła żeńska maska. To dało mu znakomitą okazję, by dobrze poznać charakter młodzieńca. Jeżeli od razu da się złowić w sieć miłostek, wtedy nie był godny Amy. Dlatego Lindsay pospieszył za nim i ukrył się po drugiej stronie muru, skąd mógł słyszeć każde słowo.

— Więc proszę mówić, seniora!

— Dobrze, ale mi senior przede wszystkim przysięgnij, że pod żadnym warunkiem nie zdejmiesz mojej maski.

— Czy pani jest taka brzydka, że nie można na nią patrzeć?

— Nie, ale nie chcę być poznaną, chyba, że sama wyrażę zgodę.

— Dobrze, daję pani słowo!

— Powiedz mi pan, czy masz narzeczoną, senior?

— Nie.

— A ukochaną?

— Czy musi pani to koniecznie wiedzieć?

— Tak. To, co chcę panu powiedzieć, ma ogromną wartość.

— Brzmi bardzo ciekawie. Mogę być szczery i bez tego. Tak, mam ukochaną.

— I całym sercem jej pan sprzyjasz?

— Nie mogę bez niej żyć.

Długie westchnienie wyrwało się masce.

— Nie zerwałbyś pan z nią pod żadnym warunkiem?

— Pod żadnym.

— Ależ ona jest tylko ukochaną, a nie żoną jeszcze.

— To wszystko jedno. Przysięgałem wierność i przysięgi tej dotrzymam.

— Nie opuściłbyś jej pan nawet dla wielkiego zysku?

— Szczęście moje w niej leży, a życie w Bogu. Dochowam przysięgi.

Umilkła, potem westchnęła znowu i zapytała energicznie:

— Wierzę, iż obecnie pan tak myśli, później będzie inaczej. Postanowiłam sobie być szczerą i dlatego powiem panu otwarcie, że go kocham.

— A do diabła! To miałbym opuścić swoją ukochaną dla pani!

— Tak.

— O, to nie uchodzi, moja pani! Bo ją kocham, a pani nie!

— Może jestem piękniejszą od niej!

— Możliwe, ale mało prawdopodobne.

— Bogatszą!

— To mi obojętne.

— Szlachetniejszego rodu i lepszego charakteru!

— To niemożliwe!

Porwała jego rękę i wsunęła pod płaszczyk.

— Dotknij pan mojego serca, ono bije dla pana!
— *Caramba*, co pani strzeliło do głowy! Płaszczyka to już dotknę, ale nic więcej. Proszę mi tylko nie mówić, że jesteś uczciwą, porządną dziewczyną.

Zadrzała i odpowiedziała gniewnym tonem:

— Jestem nią! A co czynię, czynię z ogromnej miłości!

— Żal mi pani bardzo, naprawdę, ale nic nie mogę zrobić!

— To ja panu też nie pomogę! — odrzekła.

— W czym?

— Nazywasz się pan Alfred Lautreville, ale pan nim nie jesteś!

Zdziwił się.

— Kim więc jestem?

— Prawdziwe pańskie nazwisko powinno brzmieć Alfonso de Rodriganda.

Schwycił ją za ramię, schylił się do niej i rzekł:

— Kobieto, co mówisz? Skąd wiesz o tym? Kim jesteś? Bolesny ucisk jego ręki był dla niej nawet przyjemny.

— Po co mnie pan pyta? To daremne!

— Musisz powiedzieć!

— Kto mnie zmusi?

— Ja, przekonam się kim jesteś!

— Przysiągłeś pan nie zdejmować mojej maski. Jeżeli ukochana może liczyć na pana obietnicę, to ja też bym chciała!

— Dotrzymam słowa. Ale wie pani kim miałbym być?

— Tak. Wiem o tym lepiej, niż pański kapitan, doktor Sternau lub kapitan Landola. Wiem wszystko lepiej, aniżeli wszyscy, wszyscy!

— I nie chce mi pani tego powiedzieć?

— Nie. Powiem tylko kochankowi. Porzuć swoją dziewczynę!

— Nigdy!

— Czy Amy jest dla ciebie ważniejsza niż hrabiowski tytuł? — zapytała gniewnie.

— Tysiąc razy, ale skąd znasz jej imię?

— To ciebie nie obchodzi. Pomyśl o tym, co czynisz. Daję ci dziesięć minut do namysłu. Nie chodzi tylko o ciebie, ale i o innych. Może twój ojciec jeszcze żyje, a stryj Ferdynand także.

— Kobieto, ty wiesz wszystko! — zawołał przerażony.

— O twoich sprawach, rzeczywiście. Powiedz tylko słówko, a uczynię cię szczęśliwym i bogatym. Kocham cię! Chcę być twoją i dlatego ofiaruję wszystko za twoją miłość!

— Wszystko daremnie. Serce moje nie jest moją własnością, nie mogę nim dysponować!

— To sprzedaj je!

Dotychczas mówiła stosunkowo spokojnie, teraz jednak, widząc, iż ani prośby ani groźby nie pomagają, wstała i głosem drżącym ze wzruszenia rzekła:

— Pozostawiłam ci wybór między miłością a nienawiścią, szczęściem a nieszczęściem, niebem a piekłem. Jeżeli mnie wybierzesz, w przeciągu tygodnia zostaniesz uznany hrabią Rodriganda. Odepchniesz mnie, wtedy dusza twoja krzyżeć i wyć będzie z bólu! Czas do namysłu minął. Wybieraj!

Wstał.

— Zostaję wiernym mojemu słowu! — rzekł spokojnie.

— Czy to twoje ostatnie słowo?

— Ostatnie.

Zadrzała ze złości i chęci zemsty.

— Zginiesz! Ty i twoja Amy... Zmień zdanie! Proszę cię, zastanów się!

— Inaczej nie mogę!

— To bądź przeklęty, zakochany głupcze! Dam ci się jeszcze we znaki! Poznasz ty mnie!

— Już i tak cię poznałem, nie trzeba nawet zdzierać maski. To, co ty wiesz, może wiedzieć tylko jedna osoba, Józefa Kortejo, córka mordercy i oszusta!

Chciała odejść, obróciła się jednak:

— Mylisz się, senior. To z Józefą Kortejo nie ma nic wspólnego!

— Czyżby! Wszystko masz z nią wspólne, nawet ową piękność, którą chciałaś mnie oszołomić. Zabieraj się stąd!

To był dla niej straszny cios. Stanęła.

— Robaku! — zgrzytnęła. — Drzyj! Gdybyś wiedział, kim jestem, to poznałbyś, że jesteś w mojej mocy!

— Ciesz się, że ci dałem słowo, gdyż byłbym ci już dawno zerwał maskę!

Nagle zagrzmiał głos koło niego:

— Ale ja to uczynię, bo nie dałem słowa!

Zamaskowana postać wyskoczyła zza muru i rzuciła się do dziewczyny. Józefa poznała, w jakim znajdowała się niebezpieczeństwie. Wyciągnęła spod płaszcza sztylet. Uderzyła w rękę, która chciała zedrzeć maskę i kiedy lord szarpnął ręką krzyknął boleśnie, Józefa zniknęła między maskami.

— A do diabłów, ona miała sztylet — rzekł Lindsay, wyciągając chustkę z kieszeni, by zatamować krew.

— Kim pan jesteś? — zapytał Mariano.

— Przyjacielem pańskim!

Głos brzmiał głucho, Mariano nie poznał lorda.

— I podsłuchałeś pan rozmowę?

— Od początku do końca, gdyż w tym celu przyszedłem.

— Jest pan skończonym drabem, który zasługuje na tęgie przetrzepanie!

— Całkiem słusznie!

— Żądam, by pan zdjął maskę!

Zdjął maskę i stanął przed Mariano. Ten poznał przybysza, przeraził się bardzo i rzekł:

— Ach, milord! Proszę o wybaczenie!

— Ja jestem tym, który winien prosić o przebaczenie.

— Wybaczam, milordzie! Innemu bym tego nie darował!

— Wierzę panu. Jesteś pan porządnym człowiekiem. Czy sądzi pan, iż to rzeczywiście była Józefa?

— Z pewnością.

— Ja też tak myślę. Niestety, nie złapałem jej i nie możemy jej nic udowodnić. Proszę mi zawiązać chustkę na rękę. Mam małą ranę.

Potem ręka w rękę odeszli.

Mariano czuł się szczęśliwy, że miał takiego świadka zwierzeń Józefy. Miał nadzieję, że wyjdzie mu to na dobre...

Sternau po odejściu Mariano zwrócił się w stronę przeciwną. Szedł od grupy do grupy i nie zauważył, jak za nim podążały dwie postacie. Wreszcie znużył go hałas, dlatego zamysłony udał się w zacisze.

Myślał o ojczyźnie, drogiej żonie, o matce i siostrze, starym nadleśniczym i ciągle jeszcze nie widział tych dwu postaci za sobą. Nareszcie chciał wracać i w tej chwili, obróciwszy się, padł na ziemię.

Obaj mężczyźni nie pomyśleli nad tym, że Sternau obracając się musi ich zobaczyć, gdyż zza nich dochodziło światło z miejsca zabawy.

Sternau spostrzegł ich od razu, natychmiast zrozumiał, że podążali za nim w złym zamiarze, dlatego zniknął z niebywałą szybkością i czekał aż odejdą. Zbliżyli się i usiłowali w ciemność nocy znaleźć poszukiwanego.

— Nie widzę go, a ty?

— Także nie.

— Gdzieś pewnie usiadł.

— A może zmienił kierunek? To byłoby przekłete! Jak powróci na plac, to trudno będzie wykonać zlecenie.

— Ty idź na prawo, ja na lewo. Kto go spotka, ten wymierzy cios! Sternau rozmyślał co ma czynić. Zabić ich i potem poinformować o napadzie, trudno to będzie udowodnić. Wybrał jedynie słuszną drogę powrócił na plac, gdzie spotkał lorda i Mariano.

Opowiedział im swoją przygodę. Zaraz domyślili się, że przyczynił się do tego Kortejo. Wrócili do domu, gdzie powitały ich szczęśliwa Amy.

— Nadchodzą zwycięzcy! — wołała radośnie, prowadząc trzech mężczyzn do salonu. — Jesteśmy z was dumnymi.

— Przede wszystkim z potrójnego zwycięzcy! — rzekł Mariano, wskazując na Sternaua.

— A z drugiego także — dodał lord. — Nasz przyjaciel odniósł po igrzyskach zwycięstwo, które było największe. Dlatego powinien otrzymać nagrodę!

Wziął rękę Amy i włożył w prawicę Mariano: — Kochacie się dzieci moje i godne jesteście siebie. Bądźcie szczęśliwi, życzę wam tego!

To była wielka niespodzianka i nagroda, jakiej nigdy jeszcze nie wręczono po igrzyskach. Oboje zakochani padli sobie w objęcia. Był to wieczór radości i rozkoszy. Całkiem inaczej było u Korteja. Pablo wrócił do domu, by mieć alibi, że kiedy wynajęte zbiry zabiją Sternaua, on był u siebie.

Niedługo wróciła Józefa. Oblicze jej pałało, źrenice błyszcząły. Zrzuciła z siebie strój maskowy i stanęła przed ojcem.

— Ojcze, ten Sternau pojutrze jedzie do hacjendy?

— Tak, z dwoma towarzyszami.

— Nie dajmy tym ludziom ani minuty swobody.

— Jeden już pewnie nie żyje: Sternau. Jutro postanowimy co zrobić z drugim.

Ojciec i córka siedzieli ze sobą, kiedy nadeszli hidalgowie, ci którzy mieli zabić Sternaua.

— No i co udało się?

— Niestety nie. Szedł sam, my za nim, ale nagle straciliśmy go z oczu. Powróciwszy na plac, zobaczyliśmy go wsiadającego na koń z lordem Lindsayem.

Kortejo potrząsnął gniewnie głową.

— Jesteście głupcami i tchórzliwymi najmitami. Nie chcę słyszeć o was!

— My to zrobimy, senior! — rzekł jeden.

— Nie potrzebuję was. Możecie iść. Za swój niekorzystny i bezcelowy trud macie zapłatę, dziesięć pesos, podzielcie między sobą i zabierajcie się precz!

Hidalgowie byli zadowoleni, że i tyle dostali. Józefa udała się spać, ale sen nie przychodził. Rozmyślała nad zemstą, nie wymyśliła jednak nic takiego, co odpowiadałoby sile jej gniewu. Kortejo również nie spał. Myślał całymi godzinami. Wreszcie poszedł do stajni i kazał osiodłać wierzchowca. Nad rankiem wyjechał z miasta w północnym kierunku.

Minęło dwa dni, przed rezydencją lorda Lindsaya zatrzymały się silne konie, a wewnątrz odbywały się pożegnania.

— Jak długo zabawi pan w podróży? — pytał Lindsay.

— Kto to może w obecnych czasach wiedzieć? Wrócimy jak tylko będzie można.

— Spodziewam się. Nie żałujcie koni. Jest ich na pastwiskach tysiące. Ma pan jeszcze jakieś życzenie?

— Tak, milordzie. Nie wiem, co może mnie spotkać w tym kraju. Jeśli bym długo nie wracał, proszę zająć się moim jachtem i załogą.

— Uczynię to, chociaż jestem przekonany, że nie będę musiał. Bywajcie zdrowi!

Sternau i Helmer siedzieli już na koniach, kiedy Marian stał jeszcze na schodach; nie mógł się rozłączyć z Amy w żaden sposób. Wreszcie dosiadł konia. Wyjechali tą samą drogą, którą dwa dni temu wyruszył Kortejo.

Sternau nie wziął ani przewodnika ani służącego. Miał przy sobie mapę Meksyku, ona była ich przewodnikiem. I chociaż żaden z nich nie jechał nigdy przedtem tą drogą, nie zabłądzili.

Do hacjendy el Erino był jeszcze dzień drogi. Jechali równiną, usianą wysepkami gąszczy. Sternau był z wszystkich trzech najbardziej doświadczony. Nie uszedł jego uwagi ani jeden złamany kłosek, ani gałązka, ani kamyk. Kiedy tak jechali w milczeniu, rzekł do towarzyszy:

— Popatrzcie tam, w stronę krzaków, leży tam na straży człowiek, za nim stoi uwiązany koń!

— Nie widzimy nic.

— Wierzę, bo tu trzeba doświadczenia. Skoro podniosę strzelbę, uczynicie tak samo. Ale nie strzelać, dopóki ja sam nie zrobię.

Pojechali naprzód i zrównali się z krzewami. Sternau zatrzymał nagle konia i podniósł strzelbę. Obaj towarzysze uczynili tak samo.

— Hola, senior, a czego tam szukasz na ziemi? — zawołał. Krótki, szorstki śmiech, a potem dały się słyszeć słowa:

— A co to pana obchodzi?

— Nawet bardzo. Wyjdź stamtąd, jeżeli łaska!

— Naprawdę? To wyjdę.

Z krzaków wyszedł mężczyzna odziany w skórę bawołą. Był Indianinem, ale strój miał krój, który lubią *ciboleros*. Uzbrojony był w strzelbę i nóż. Mężczyzna ten wyglądał tak, jakby nie wiedział w całym swoim życiu, co to strach. Jak tylko wyszedł z gąszczy, koń jego postępował za nim sam.

Przebiegł oczyma grupę trzech mężczyzn i rzekł:

— Hm, to było niezłe zrobione, panowie. Można by nawet myśleć, że już byliście na prerii.

Sternau zrozumiał, a Mariano zapytał:

— Dlaczego?

— Udaliście, że mnie nie widzicie, a potem nagle zwróciliście w tę stronę rusznice.

— Gdy spostrzeżliśmy ukrytego człowieka, wydał nam się podejrzany — zauważył Sternau.

— Co robiłeś w krzaku?

— Czekałem, zdaje mi się na was.

Sternau ściągnął brwi i przestrzegął:

— Tylko żadnych głupich dowcipów! No, powiedz, na kogo?

— Powiem, tylko dowiem się dokąd jedziecie.

— Do hacjendy del Erina.

— Dobrze, więc jesteście tymi, na których czekam. Wczoraj pędziłem tam na górach za bawołem i znalazłem podejrzane ślady. Poszedłem za nimi i podsłuchałem gromadkę białych, którzy leżeli razem i głośno opowiadali. Dowiedziałem się, iż chcą pojmać kilku jeźdźców, którzy jadą do hacjendy del Erina. Wyruszyłem zaraz w drogę, by przestrzec tych ludzi. Jeżeli wy nimi jesteście, to dobrze, jeżeli nie, pójdę dalej leżeć, dopóki nie nadejdą ci właściwi. Sternau podał mu rękę i rzekł:

— Poczciwy z was człowiek! Dziękujemy. Wnoszę z opowiadania, że właśnie my jesteśmy tymi oczekiwanymi jeźdźcami. Ilu było tych ludzi?

— Dwunastu.

— Tylu to sam na siebie biorę. Zbiera mnie prawie ochota pomówić z nimi przez chwilę.

Łowca bawołów popatrzył na Sternaua z boku i rzekł:

— To bierzesz na siebie dwunastu, senior?

— Tak. Czasem nawet więcej — odparł poważnie.

— Takich nawet jedenastu wydaje się za dużo.

— Tak myślicie? Jeżeli musiałbym spotkać się z nimi, przyglądałbym się im dobrze. Ale to niezbyt mądrze leżeć w niebezpieczeństwo.

— Sądzę tak samo — przytaknął obcy ironicznie.

Indianin wsiadł na konia i jechał na czele tego małego oddziału. Siedział sposobem indiańskim pochylony do przodu, by badać wszelkie ślady, a Sternau wywnioskował, że może się na nim polegać.

Wieczorem, kiedy szukano miejsca na spoczynek, okazało się, że Indianin i w tej materii jest doświadczony, Sternau poznał z jakim niezwykłym mężem ma do czynienia. Jadł razem z nimi, zapalił podarowane cygaro, ale kiedy mu podano rum, odmówił.

Ognia nie rozniecono, rozmowę prowadzono po cichu.

— Znacie ludzi z hacjendy? — zapytał Sternau.

— Pewnie.

— Kogo tam można zastać?

— Seniora Arbelleza, jego córkę Emmę, seniorem Hermoyes i trapera, który jest chory na głowę. Potem mnóstwo czeladzi i czterdziestu *vaqueros* i *ciboleros*.

— Wy jesteście również *cibolero*?

— Nie, jestem wolnym Misteką.

— W takim razie musicie znać Mokaszi–motak, wielkiego wodza Bawole Czoło.

— Znam go — odparł spokojnie. Przebywa tu i ówdzie, dokąd go poprowadzi wielki duch. Kiedy usłyszysz, że znajdują go wszędzie, będzie się cieszył. Jak mam się do was zwracać, panowie?

— Ja nazywam się Sternau, to senior Mariano, a to Helmer. A my jak mamy mówić?

— Jestem Misteką, tak też mnie nazywajcie.

Ułożyli się spać.

Na drugi dzień przed południem stanęli przed hacjendą. Misteką zatrzymał się i wskazał na nią ręką.

— To hacjenda del Erina, traficie do niej.

Sam odszedł, oni zaś niebawem stanęli przed bramą.

— Senior Arbellez w domu? — zapytali *vaquera*, który się zjawił. — Powiedzcie mu, że ma gości, którym może zaufać.

Otworzył, wjechali na podwórze i oddali konie. Hacjendero wyszedł na ich spotkanie. Oko jego spoczęło z podziwu na wyniosłej postaci Sternaua.

— *Dios mios*, a to co? Jesteś pan Hiszpanem?

— Nie, Niemcem.

— O to kaprys przyrody. Byłbym prawie uznał pana za księcia Olsunę. Ale tamten jest starszy. Witam pana!

Podał mu rękę i wyciągnął ją także w stronę Mariano, a gdy spojrzał w jego twarz zawołał ze zdziwieniem:

— *Caramba!* A to co znowu? Hrabia Emanuel! Ale być nie może, gdyż hrabia jest dużo starszy!

Schwycił się za czoło. Te dziwne podobieństwa. Tu padło jego oko na Helmera: załamał rękę.

— *Valgame dios*, ochraniaj mnie Boże! Ja chyba zwariowałem — zawołał.

— Co takiego? — zawołał jasny, miły głosik dziewczęcy.

— Chodź no tu, moje dziecko. Coś takiego nie zdarzyło mi się jeszcze. Przychodzą ci trzej seniorowie, a każdy jest podobny do kogoś ze znanych mi osób.

Emma weszła uśmiechnięta. Kiedy spostrzegła Helmera, zawołała:

— Naprawdę tatku, ten senior jest bardzo podobny do mego biednego Antonia.

— No, jakoś to się wyjaśni, proszę wstąpić w moje progi! Weszli do jadalni, gdzie podano im przekąski. Helmer właśnie podniósł szklanę do ust, chcąc pokrzepić się wybornym winem,

kiedy w drzwiach zjawiła się blada postać, która rzuciła na obecnych błędne, niewymowne spojrzenie.

— Czy możliwe? — zawołał. — Antoś! Antoś! O mój Boże! Obląkany popatrzył nań i pokiwał głową.

— Jestem nieżywy, zabito mnie! — pisnął.

Helmer opuścił ręce i zawołał:

— Senior Arbelez, kim jest ten mężczyzna?

— To narzeczony mojej córki. Nazywa się Antoni Helmer, traperzy nazwali go Piorunowym Grotem.

— To mój brat!

Z tym krzykiem rzucił się do obląkanego i przyciskał do piersi. Chory pozwolił czynić ze sobą wszystko, patrzył obojętnie w twarz brata i powtarzał:

— Jam nieżywy, zabito mnie!

— Co jemu jest? — zapytał Helmer.

— Obląkany.

— O Boże, jakie nasze spotkanie jest straszne!

Padł na krzesło, zakrył oczy rękami i począł gorzko płakać. Inni stali w milczeniu. Arbellez pierwszy zaczął się pytać o ich stosunki rodzinne.

— Wiele o panu opowiadał — zakończył hacjendero.

— Jestem nieżywy, zabito mnie! — skarżył się tymczasem chory. Sternau nie spuszczał zeń oczu i nareszcie zapytał:

— Gdzie leży przyczyna jego choroby?

— Dostał uderzenie w głowę — odpowiedział Arbellez.

— Był lekarz?

— Tak i po dłuższych obserwacjach stwierdził, że nie ma ratunku.

— To nie lekarz, ale fuszer i ignorant. Bądź pan dobrej myśli, Helmer. Brat pański cierpi, ale można go uratować.

Krzyk radości. To Emma krzyknęła i chwyciła lekarza za obie ręce:

— Czy prawda, senior?

— Tak. Jestem lekarzem. Skoro tylko dowiem o okolicznościach jego obląkania, będę mógł powiedzieć czy ratunek jest możliwy.

Emma zaraz chciała opowiadać, ale odłożono tę sprawę na później. Teraz rozmawiano o podróży.

— Pewnie ważna sprawa sprowadziła pana do nas — począł hacjendero.

— Rzeczywiście, bardzo ważna. Drogę odbyliśmy częściowo sami, częściowo przewodniczył nam Indianin z plemienia Misteków.

— A to Bawole Czoło!

— Bawole Czoło? — zapytał Sternau zdziwiony — Czy on nigdy nie nosi odznak wodza. I to z takim sławnym mężem jechaliśmy... A teraz, czy ma pan czas wysłuchać nas?

— Jestem na pan usługi. Najpierw jednak pozwólcie wskazać sobie pokoje, w których zamieszkacie. Temat nam nie ucieknie.

W tej chwili weszła Karia. Ona wskazała trzem podróżnym pokoje. Sternau otrzymał ten, w którym zwykle mieszkał Alfonso. Niedługo wyszedł do ogrodu i spotkał się z piękną córką hacjendera i jej ukochanym.

Usiadł obok nich i obserwował chorego. W trakcie rozmowy dowiedział się o całej przygodzie Helmera w jaskini skarbu królewskiego.

— A więc sławny wódz, Niedźwiedzie Serce był także przy tym. Czy od tego czasu nie widziano go?

— Nie.

— I całe to nieszczęście z powodu jednego tylko człowieka, tego Alfonso de Rodriganda. Odplacimy mu jak należy.

— O senior, czy istnieje dla mego biednego Antonia jakaś nadzieja? Brat jego już mi powiedział, że pan jest wielkim i sławnym lekarzem, że pan własną małżonkę wyleczył z obłądu.

— Największym lekarzem jest Bóg, ale ja zawsze mam nadzieję. Zaraz go obejrzę, potrzebne narzędzie mam zawsze przy sobie.

Wziął rękę pacjenta. Emma poszła do swojej komnaty i padłszy na kolana modliła się mocno. Gdy wróciła do salonu, wszyscy byli już zgromadzeni w oczekiwaniu na lekarski werdykt.

— Przynoszę wszystkim pomyślną wiadomość. Senior Helmer będzie zdrowy — powiedział Sternau — Uderzenie było nadzwyczaj silne, nie roztrzaskało jednak czaszki. Tylko któreś naczynie krwionośne się rozlało i stąd chory zapomniał o wszystkim, tylko uderzenie pozostało w myślach. Dlatego sądzi, że nie żyje. Konieczna jest trepanacja czaszki. Otworzę czaszkę w tym miejscu i nagromadzoną tam krew usunę. Wtedy ustanie jej ucisk na mózg i organ ten będzie mógł swobodnie pracować. W tej samej chwili choremu wróci pamięć.

— Czy operacja zagraża życiu? — zapytała Emma.

— Jest bolesna, ale nie niebezpieczna. Jeśli krewni chorego zgodzą się na nią, przeprowadzę trepanację już jutro.

Zgodzili się wszyscy, a Arbellez dodał:

— A o honorarium proszę się nie troszczyć, panie doktorze. Pacjent jest bardzo bogaty. Otrzymał bowiem od wodza Misteków wielki skarb i jest w stanie opłacić nawet trepanację.

— Spodziewajmy się, że operacja uzdrowi go na tyle, iż będzie mógł sam dysponować skarbem — odrzekł Sternau i wyszedł przygotowywać instrumenty na jutrzejszą operację.

Wieczorem, po kolacji odbyło się spotkanie, na którym omawiano właściwy cel podróży. Co Arbellez i Marya Hermoyes opowiedzieli potwierdziło tylko przypuszczenia Sternaua.

Poczciwy hacjendero ofiarował w tej chwili Mariano swoją hacjendę. W całym domostwie nie było nikogo, kto by wątpił w to, że Mariano jest prawdziwym hrabią Alfonso.

Nadszedł dzień operacji.

Sternau prosił o pomoc Helmera, Mariano i starego Arbelleza. W południe udali się do pokoju chorego. Drzwi przymknięto, nikomu nie wolno było wejść. Wszyscy mieszkańcy domu zebrali się razem i modlili za udane przedsięwzięcie.

Czasem zdawało się, że słyszą bolesne skomlenie albo jakiś głośny ton dolatywał do ich uszu, potem zwykle była cisza. Nareszcie po długim czasie nadszedł Arbellez. Był błydy i rozdrażniony.

— No, jak tam? — zapytała szybko Emma.

— Senior Sternau jest pełen nadziei. Pacjent nieprzytomny. Pójdiesz tam czuwać przy nim. Skoro się obudzi ma widzieć tylko same znane oblicza.

Poszła z ojcem. Na korytarzu spotkali nieprawdopodobnie bladego Helmera. Kiedy weszli Sternau stał pochylony nad chorym, badając jego puls i oddech. Kiedy Emma zobaczyła strasznie umęczone rysy twarzy chorego, z trudem zapanowała nad sobą.

— Seniora, proszę usiąść tak, by zobaczył ją, gdy tylko się ocknie. Ja zaś schowam się za firanką — szepnął Sternau.

Minuty mijały długie jak wieczność, aż nareszcie pacjent poruszył ręką.

— Nie się pani tylko nie przestraszy — szepnął Sternau cicho. — Według mojego obliczenia, on najpierw krzyknie w śmiertelnej trwodze, gdyż ciągle sądzi, że go zabito.

Mądry lekarz powiedział prawdę. Chory poruszył się. Były to chwile w których władza myśli w nich rosła... Nagle krzyknął tak strasznie, że nawet stary Arbelez zadrżał. Po tym krzyku nastąpiło długie, głęboki westchnienie, a potem chory otworzył oczy.

W oczach tych nie było całymi miesiącami śladu poczucia rzeczywistości. Teraz wydawało się, jakby chory obudził się ze snu. Popatrzył najpierw prosto przed siebie, potem na prawo i lewo. Zdziwił się. Wzrok jego zatrzymał się na Emmie, a wargi szepnęły:

— Emmo! O Boże śniło mi się, że mnie ten Alfonso zabił. Było to w jaskini skarbcia królewskiego. Czyż naprawdę jestem przy tobie?

Wyciągnął ku niej rękę, ujęła ją w swoją i rzekła:

— Jesteś koło mnie, Antoni!

— Ale mnie głowa boli w tym samym miejscu, gdzie trafiło uderzenie — dotknął ręką głowy. — Dlaczego jestem obandażowany?

— Jesteś troszeczkę zraniony — rzekła.

— Tak, czuję to. Potem mi to opowiesz. Teraz chcę spać. Zamknął oczy i zasnął. Sternau wyszedł z ukrycia i szeptał z radością:

— Udało się! Jeżeli tylko gorączka pomyślnie minie, to będzie zdrów. Panie Arbellez, proszę iść do czekających i zanieść im tę wiadomość. Ja zaś będę tu czuwał z senioritą.

Hacjendero wprowadził tą wiadomością wszystkich w zachwyty.

Dzień i noc następna upłynęły pomyślnie, ale rano przyniósł niepokój, nie u chorego jednak. Zjawił się mianowicie Bawole Czoło i dopytywał się o hacjendera. Spotkawszy się z nim opowiedział, że na hacjendę planowany jest napad. Arbellez przeraził się.

— Więc muszę zaraz przyprowadzić seniora Sternaua.

— Seniora Sternaua? Tego wielkiego cudzoziemca?

— Tak.

— A co on może tu zrobić?

— Dać nam radę.

Indianin machnął bagatelizująco ręką.

— Kim on jest?

— Lekarzem.

— Lekarzem bladolicych! Jak on może dać dobrą radę Bawolemu Czołu, wodzowi Misteków?

— Nie tobie, a mnie radę da. Naradzicie się obaj co nam czynić. On jest człowiekiem roztropnym. Wczoraj rozciął Piorunowemu Grotowi głowę i powrócił mu pamięć.

Indianin zadumał się.

— Mój przyjaciel, Piorunowy Grot mówi znów jak rozsądny człowiek?

— Tak. Za parę dni całkiem wyzdrowieje.

— To ten senior Sternau jest może wielkim lekarzem, ale nie wojownikiem. Widziałeś jego broń?

— Tak.

— Ale na koniu?

— Z daleka go widziałem.

— No widzisz, siedzi na koniu jak każdy biały człowiek. Broń jego błyszczy jak srebro. A to nie oznacza wielkiego wojownika.

— A więc nie chcesz się z nim naradzać?

— Jestem waszym przyjacielem, uczynię to, ale korzyści to nie przyniesie. Niechaj on przyjdzie.

Arbellez zawołał Sternaua. Po drodze opowiedział mu, co wódz o nim sądzi. Sternau przywitał go więc z lekkim uśmiechem i spytał:

— Słyszałem, że jesteście Bawole Czoło, największy wódz Misteków. Prawda?

— Jestem nim.

— Jakie nam wieści przynosisz?

— Widziałem jadąc do hacjendy, dwunastu białych, którzy chcą na was napaść i wszystkich pozabijać. Obecnie widziałem trzy razy tyle białych.

— Podśłuchałeś ich?

— Tak.

— Kiedy mają nadejść?

— Jutro w nocy. Są w „rozpadlinie tygrysa”, dokąd wedle miary bladych twarzy, trzeba jechać godzinę, albo iść dwie godziny.

— Co robią?

— Jedzą, piją, śpią. Leżą nad źródłem. Widziałem dwie straże, jedna przy wejściu, druga wyjściu. Siedzieli pod drzewem i patrzyli w niebo. Mają flinty, noże i pistolety.

— Czy zechcesz mnie tam zaprowadzić?

Na to pytanie popatrzył Misteka na lekarza ze zdziwieniem.

— Czego tam chcecie? — zapytał.

— Chcę się im przyglądać.

— Na co? Już ja ich widziałem. Aby ich zobaczyć należy iść drogą przez mech. Poplamicie sobie swój ładny, meksykański strój — rzekł to z pobłażliwym uśmiechem i dodał: — a kto tam dojdzie, tego zastrzelą.

— Obawiacie mi się towarzyszyć? — zapytał Sternau.

Misteka spojrział mu pogardliwie w oczu i odparł:

— Bawole Czoło nie zna obawy. On was tam zaprowadzi, ale co wam pomoże, kiedy trzykroć po dwanaście białych was dopadnie.

— Czekajcie!

Z tymi słowy Sternau oddalił się, by przygotować się do drogi.

— Ten doktor zginie — zauważył Indianin.

— To ty go obronisz — odparł poważnie Arbellez.

— On mówił, że nie obawia się dwunastu nieprzyjaciół. Ma wielką gębę, ale małą rękę, mówi dużo, czyni mało!

Z tymi słowy przystąpił do okna i patrzył na podwórze, jakby go nic więcej nie obchodziło.

Sternau włożył swoje ubranie myśliwskie.

— Teraz możemy iść — rzekł.

Misteka popatrzył nań ze zdziwieniem. Powierzchność Sternaua była tak wojownicza i rozkazująca, że Indianin przystąpił i rzekł:

— Chodźmy więc!

— Ale konie zostawimy tutaj — rzekł Sternau.

— Dlaczego?

— Mężczyzna może się prędzej ukryć bez konia, który łatwo może zdradzić swego pana. Nie chcę też zostawiać końskich śladów. Oko Misteki błysnęło, poznał, że Sternau zna się na rzeczy.

Droga prowadziła piaszczystymi łąkami, potem wzgórzami zarosłymi krzewiną, a wreszcie przez las, za którego drzewami można się było znakomicie ukryć. Szli już prawie dwie godziny. Sternau zauważył, iż Indianin stał się bardziej ostrożnym. Wywnioskował stąd, że „rozpadlina tygrysa” już blisko. Nareszcie Misteka stanął i szepnął:

— Jesteśmy niedaleko, nie rób hałasu.

Sternau nie odpowiedział ani słowa. Milcząc postępował za swoim przewodnikiem. Nareszcie ten położył się na ziemię, Sternau zrobił to samo. Tak czołgali się cicho naprzód, dopóki nie usłyszeli ludzkich głosów..

Dobili na skraj głębokiej kotliny, której ściany spadały stromo, tak stromo, że nie można było się na nie wspinać. Rozpadlina miała długość około ośmiuset kroków, a szerokości trzysta. Na jej dnie wił się potok, a na jego brzegu leżało może trzydziestu dobrze uzbrojonych zbirów. Przy wejściu i wyjściu rozpadliny stały straże.

Sternau obrzucił wszystko okiem, potem szepnął:

— Widzieliście trzykroć po dwunastu wojowników?

- Tak.
- Teraz ich zaledwie dwakroć piętnastu, reszta odeszła.
- Udali się na zwiady.
- Albo po łup.

Nadśluchiwał. Mówiono głośno, więc można było słyszeć każde słowo. Ci ludzie czuli się bardzo bezpieczni.

- A ile mielibyśmy dostać, gdybyśmy ich schwytali? — rzekł jeden.
- Dziesięć pesos na głowę? To byłoby dosyć.

— Tyle nie są warci ci dwaj Niemcy i jeden Hiszpan. — — Inną obrali drogę, niech ich czart porwie!

— Czego klniesz? — zapytał jeden z rabusiów. — Powiadam ci, to dobrze, iż nam uszli, gdyż teraz otrzymamy całą hacjendę, naturalnie pod warunkiem, iż zastrzelimy wszystkich, szczególnie tego Niemca i Hiszpana. Niemiec to Sternau, Hiszpan zaś Lautreville.

— Ale czy jest nas tyle, by zdobyć hacjendę? Ten Arbellez ma blisko pięćdziesięciu *vaqueros*.

- Głupcze, my ich przecież napadniemy niespodziewanie.

Sternau wiedział już dość. Nie był on człowiekiem, który bez potrzeby przelewał krew, ale tu chodziło o zniszczenie bandy zbójckiej.

Chwycił za ogromną rusznicę zdejmując ją ostrożnie i pomału z karku.

- Co chcecie począć? — Zapytał Indianin.
- Pozabijać tych ludzi.

Indianin otworzył szeroko gębę:

- Tylu? — zapytał.
- Tak.

Znać było po twarzy Indianina, że uważał swojego towarzysza za wariata. Chciał się cofnąć, ale Sternau rozkazał:

— Zostań! A może masz obawy! Jestem Matawa-se, Księżę Skał. Ci mordercy sami wpadli w nasze ręce!

Gdy Indianin usłyszał to imię, skłonił się pełen szacunku.

— Ty bierzesz wejście na swoją rusznicę. Żaden nie śmie uciec. Z tymi słowy nałożył Sternau rusznicę jak przystało i zwrócił lufę w dół.

— Zobaczysz jak Księżę Skał zwycięża swoich nieprzyjaciół. To mówiąc wstał, tak, że go można było widzieć. Wydał z siebie głośny okrzyk, jak to zwykli czynić traperzy, gdy zgubią się w lesie, i w tej chwili wszystkie oczy zwróciły się na niego.

- Jestem Sternau, którego chcieliście pojmać! — zawołał w dół.

Głos jego odbił się echem i za razem huknęła rusznica. Zbiry porwali swoją porozrzucaną broń, ale gdy tylko któryś schylił się, trafiała go kula Niemca, a gdy miał zamiar uciec spotykał kule Misteki.

Strzały padały jeden za drugim. Po chwili w jarze pozostało tylko dwóch, jednego Sternau zastrzelił, ostatniego chciał oszczędzić.

- Połóż się i nie ruszaj się! — zawołał doń z góry.

Posłuchał zaraz.

- Idź na dół do niego, a ja będę uważał z góry — powiedział do Indianina.

Po chwili zbir został pojmany, Sternau zszedł z góry.

- Wstań!

Bandyta podniósł się, przerażony, drżał na całym ciele. Nigdy jeszcze nie był świadkiem takiej masakry.

- Ilu was było? — zapytał go Sternau.

— Trzydziestu sześciu.

- Gdzie ci, których brakuje? Rabuś zawahał się z odpowiedzią.

- Mów ile, to cena twego życia!
- Udali się do hacjendy Vandaqua.
- Co tam robią?
- Odwiedzili seniora.
- Którego?
- Co kazał napaść na hacjendę del Erina.
- Jak się nazywa?
- Ja go nie znam.
- Konie są tu?
- Tak. Pasą się niedaleko.
- Jak daleko stąd do hacjendy Vandaqua?
- Trzy godziny.
- Kiedy odjechali?
- Przed godziną.
- Kiedy mają wrócić?
- Wieczorem.
- Dobrze, zaprowadź nas po konie na pastwisko.

Sternau załadował strzelby, potem udał się na pastwisko. Tu wybrano trzy najlepsze konie i zaprowadzono do doliny. Tam przywiązano do nich pojmanego i broń rozbójników, a potem udano się w drogę powrotną.

Mieszkańcy hacjendy ze zdziwieniem patrzyli na ten oddział. Sternau pospieszył do pacjenta. Tymczasem Misteka opowiedział całą przygodę.

— Ten lekarz, to największy bohater prerii — rzekł. — To Matawa-se, Księżę Skał. On zabił w przeciągu dwóch minut, prawie dwakroć piętnaście wrogów.

Właśnie skończył opowiadać, kiedy wszedł Sternau. Zastał pacjenta śpiącego, pod opieką Emmy. Wszyscy inni mieszkańcy hacjendy zgromadzili się na podwórku. Arbellez przystąpił doń i podał mu rękę.

— Senior jesteś prawdziwym diabłem. Ale to dobrze, uwolniłeś mnie od straszego wroga.

Sternau kiwnął głową i zapytał się o hacjendę Vandaqua.

— Tam przebywa teraz Pablo Kortejo, który wynajął tę bandę rozbójników na del Erina. Musimy go mieć w rękach. Pan, Mariano i pan wybierzemy się tam w towarzystwie dziesięciu mężczyzn. Bawole Czoła wróci z dziesięcioma do „rozpadliny tygrysa”, by zabrać łupy i konie, a reszta zostanie pod okiem mojego przyjaciela Helmera, by bronić hacjendy, bo nie można wiedzieć co się stanie. Zgadza się pan?

Nikt nie miał nic przeciwko temu. I tak dwa oddziały wyruszyły z hacjendy, każdy w swoim kierunku.

Oddział Bawolego Czoła miał łatwą pracę. Ogołocono trupy i zawieziono łupy do domu.

Inaczej było z drugim, ten musiał być bardzo ostrożnym. Kiedy przekroczone granicę, spotkano się z *cibolero*, który szedł z hacjendy. Sternau podjechał doń i zapytał:

— Idziesz z hacjendy Vandaqua?

— Tak, senior.

— Właściciel jest w domu?

— Siedzi i gra w srebrne pesos.

— Z kim gra?

— Z obcym seniorem, niejakim Kortejo.

— Czy są jeszcze jacyś obcy u was?

— Jeszcze sześciu seniorów, którzy dopiero co przybyli. Leżą koło *vaqueros* i także grają, ale nie w srebrne pesos.

Teraz chodziło o pojmanie Korteja. Ale jak? Napadać na obce domostwa nie wypadało. Mimo to, Sternau i Mariano zgodzili się zajechać przed sam dom, a potem dopiero zdecydować, co zrobić.

Skoro odział stanął przed hacjendą, sam właściciel wyszedł na powitanie.

— Ach, senior Arbellez — rzekł z dziwnym uśmiechem na ustach.

— A cóż to za niespodzianka, mój panie sąsiedzie?

Sternau wjechał koniem naprzód i odrzekł na miejscu Arbeleza: — Proszę wybaczyć, senior! Jestem tutaj obcy i szukałem seniora Kortejo w hacjendzie del Erina! Dowiedziałem się, że musi być u pana, więc przybyłem. Czy można z nim pomówić?

Powierzchność Sternaua wywarła wielkie wrażenie na hacjendero, uśmiezek jego zniknął. Podniósł rękę i wskazując w dal, odpowiedział:

— Bardzo mi żal senior. Kortejo odjechał przed chwilą.

— Dokąd?

— Nie wiem.

Jasne było, że ten człowiek Korteja nie zdradzi. Chodziło o to, by zbadać, czy przedtem powiedział prawdę.

— Czy wolno nam na krótki czas odpocząć u was?

— Bardzo proszę, seniores!

Zaproszenie to było dowodem, że Kortejo odjechał naprawdę.

— Co to byli za ludzie, co na zachód wyjechali? — zapytał Sternau.

— Kto to może wiedzieć? — odpowiedział hacjendero.

— No cóż, bywajcie zdrowi — rzekł. — Zaraz sami się dowiemy kto to taki był.

Pojechali w kierunku oddalającego się oddziału. Było to kierunek „rozpadliny tygrysa”. Dotarli jednak szczęśliwie do wejścia do kotliny. Tu zbadano ślady. Poznał, że *vaquero* już tutaj byli. Znalazły się ślady, które prowadziły z kotliny na zachód. Był to z pewnością Kortejo ze swoimi. Chodziło teraz, by dowiedzieć się dokąd odjechali.

Poszli śladami, które zawiodły ich w las, stamtąd na południe. Dla pewności badano ślady do wieczora i przekonano się, że prześladowani mieli zamiar udać się do małego miasteczka El Oro.

— Możemy wracać — rzekł Sternau. — Ludzie ci nie są przynajmniej na jakiś czas groźni. Dostali nauczkę, którą sobie zapamiętają dobrze.

— Doniosę o tym władzom — rzekł Arbellez.

— Co to panu pomoże?

— Nic, wiem to dobrze. Ten, przez naturę tak wspaniale obdarzony kraj, jest przecież jednym z najniezwyklejszych na ziemi. Nie można znaleźć w nim ani prawa ani sprawiedliwości. Kto pragnie zadośćuczynienia, musi je sam wymierzyć... Wracajmy. Napadu teraz się obawiać nie potrzebujemy. Dłuższy czas będzie panował spokój.

Późnym wieczorem wrócili do hacjendy del Erina. Kortejo był rzeczywiście w sąsiedniej hacjendzie. By osiągnąć swój cel, wziął na żołąd jedną z włóczących się tutaj band. Ci ludzie mieli za zadanie, Sternaua i jego towarzyszy napaść i zabić w czasie podróży, a gdy się to nie udało, postanowili napaść na hacjendę.

Udano się w jej pobliże, do kotliny tygrysa. Tam podsłuchiwał ich Bawole Czoło, a Sternau rozbił bez litości.

Kortejo był zbyt wyniosły, by pobytem swoim zaszczylić biednych włóczęgów. Odwiedził sąsiednią hacjendę. Tam otrzymał wiadomość, że w okolicy kotliny słychać głośne strzały. Wyruszył więc, by sprawdzić, skąd pochodzą.

Kiedy dotarł na miejsce, *vaqueros* już odjechali z łupem. Zastał tylko nagie, ogołocone z broni trupy swoich sprzymierzeńców. Zeskoczył z konia i z przerażeniem badał nieszczęsne miejsce.

— Byli tu ludzie z hacjendy del Erina — rzekł do swoich towarzyszy. — Dowiedziano się o tym, co zaplanowaliśmy i napadnięto naszych. Gdzie nasze konie?

Koni naturalnie nie było.

— Wszystko zabrali, wszystko! — wołał Kortejo — Ale tutaj wróć, a może zastawili zasadzkę. Musimy uciekać i to bardzo szybko!

— Bez zemsty nawet? — zapytał jeden.

— Zemścimy się wtedy, kiedy będziemy mogli.

— Dokąd jedziemy?

— Do najbliższego miasta, albowiem tylko tam jesteśmy bezpieczni, a więc do El Oro. Ale jedźmy manowcami, nie prosto.

— Dobrze, uczynimy zadość waszej woli, jednak pod warunkiem zemsty. Mamy bowiem obowiązek odpłacić za zgon naszych towarzyszy.

— Obiecuję wam w tym względzie zostawić wolne pole działania.

Kortejo obiecywał, nie mając o tym pojęcia, czy będzie w stanie dotrzymać obietnicy. Zmiarkował, że szczęście mu nie sprzyja i że w hacjendzie del Erina nie śpią.

Nocą przybyli do El Oro. Konie stapały pewniej, czując dobrą drogę pod kopytami. Była to droga do miasteczka. Parę światełek zabłysło przed nimi, na górze pokazał się pierwszy domek. Wtem zawołał na nich szorstki głos:

— Kto tam?

— Co to ma znaczyć? — zawołał Kortejo.

— Co ma znaczyć? Chcę odpowiedzi!

— Kim jesteście?

— Do pioruna! Nie widzicie? Ogromny z was głupiec! Jestem strażą, rozumiano? Chcę wiedzieć kim jesteście i czego tutaj chcecie?

— Straż? Nie żartujcie! Chciałbym wiedzieć z jakiego powodu ustawiają tutaj straż!

— Zaraz zobaczycie, czy stoję tu dla żartów — odpowiedział groźny głos. — Więc kto tam?

— Przyjaciel, wpuście nas — zaśmiał się Kortejo. Wtedy strażnik wyjął piszczałkę i gwizdnął głośno.

— Co robicie?

— Słyszycie, daję sygnał.

— Ale po co to?

Przy tych słowach chciał Kortejo usunąć Meksykanina na bok, ale ten wyciągnął broń i zawołał.

— Stać, albo kula w łeb! Macie tu czekać, dopóki nie nadejdą ludzie. El Oro znajduje się w stanie oblężenia.

— Aha! A od kiedy?

— Od dwóch godzin, na rozkaz seniora Juareza.

Imię to wywarło natychmiast wrażenie. Towarzysze Korteja cofnęli się, a on sam zdziwiony krzyknął:

— Juarez? On jest w El Oro? A to co innego. Teraz słucham rozkazów. Nadchodzą już pańscy kamraci.

Na gwizd straży dała się słyszeć odpowiedź. Zbliżyli się dobrze uzbrojeni ludzie, z których jeden zapytał:

— Co tam nowego Hermillo?

— Ci ludzie chcą wejść do miasta. Nie powiedzieli jednak kim są.

— No to może mnie powiedzą.

— Nazywam się Kortejo, jestem ze stolicy. Teraz wracam do domu i chciałbym przenocować w El Oro.

— To pańscy ludzie?

— Tak.

— Kim pan jest?

— Zarządcą posiadłości, hrabiego de Rodriganda.

— Ach! Także znakomita pijawka! Chodź pan za mną!

Słowa te wypowiedziane zostały niezbyt przyjaznym tonem.

— W takim razie chyba pojedę dalej — rzekł prędko Kortejo. Nie podobało mu się terażniejsze położenie.

— A tak nie uchodzi! Doszedł pan aż do naszej przedniej straży, więc nie możesz się wycofać. Naprzód!

Kortejo poszedł za nim. Nie trzeba było wielkiego zucha, by wśród ciemności spróbować ucieczki. Ale Kortejo nie był bohaterem, więc posłuchał rozkazu.

Patrol zaprowadził ich do miasteczka, które składało się z paru domków, ale wszędzie panowało duże ożywienie. Widziało się konie w uprzęży, a jeźdźcy na dobre gospodarowali w domach mieszkańców.

Juarez tymczasem, nie był jeszcze prezydentem, ale partyzantem i był sławny na tyle, że imię jego wzbudziło obawę. Był Indianinem. Wiedziano o nim, że był okrutny, chytry i pamiętliwy. Ale posiadał niezłomny charakter i siłę woli, które wystarczały, by wśród politycznego zamieszania zaprowadzić ład i spokój.

Miał kwatery w najlepszym domu miasteczka. Do niego przyprowadzono Korteja z towarzyszami. Przy wejściu stało czterech uzbrojonych jeźdźców na koniach z wyciągniętymi pałaszami.

Korteja zaprowadzono do wielkiej sali, gdzie właśnie spożywano kolację.

Przy stole rezydował Indianin, Juarez. Włosy miał krótko ostrzyżone, tak, że można było przyglądać się jego potężnej głowie. Ubrany był zwyczajnie, skromniej nawet, jak jego towarzysze, każdy jednak na pierwszy rzut oka poznałby, że on tutaj jest panem.

— Co tam? — zapytał krótko, zobaczywszy wchodzących.

— Ci ludzie zostali zatrzymani przez straże.

Oko Indianina zwróciło się z ogromną bystrością na Korteja.

— Kim pan jesteś?

— Nazywam się Kortejo, jestem zarządcą dóbr hrabiego de Rodriganda, mieszkam w Meksyku.

Juarez namyślał się chwilą, potem pytał dalej:

— Bogatego Hiszpana Rodriganda, którego własnością była hacjenda del Erina?

— Tak.

— Dokąd jedziecie?

— Do Meksyku.

— Skąd?

— Z hacjendy Vandaqua.

— Co pan tam robił?

— Odwiedziłem jej właściciela, mego przyjaciela.

Brwi Juareza ściągnęły się groźnie, zapytał:

— A więc jesteś pan jego przyjacielem?

— Tak.

— Czyli, że nie jesteś pan moim. Ten człowiek jest stronnikiem Miramona.

Kortejo zląkł się. Miramon był prezydentem Meksyku i starał się o prezydenturę. Jeździł po kraju, zbierał stronników i mordował tych, którzy nie okazywali się jego zwolennikami.

— Nie pytałem go o polityczne poglądy.

Kortejo chciał się bronić. Tym jednak zdaje sienie polepszył swojej sytuacji.

Usta Juareza rozwarły się i ukazały dwa rzędy białych zębów.

— To mnie nie przekonuje. Gdzie dwóch przyjaźni się ze sobą, tam mówi się o polityce. Zresztą wiem, że pan także jest zwolennikiem Miramona.

Brzmiało to jeszcze gorzej. Kortejo więc pospieszył z obroną:

— To musi być pomyłka, senior. Zawsze stałem poza polityką.

— Nie jesteś pan przecież baranem, ani psem. Zresztą słyszałem, że hrabia Rodriganda dostał od niego cały oddział lansjerów, by umocnić swoją władzę. Czy nie jest on przyjacielem prezydenta?

— On może nim być, ja nie!

— Ba, jaki pan, taki sługa. Będę ostrożny, dopóki nie przekonam się, iż rzecz ma się inaczej. Będę też uważać pana za szpiega.

— Senior, nie jestem nim! — zawołał Kortejo z lękiem.

— Czyżby? Wygląda pan podejrzanie. Z Meksyku aż do hacjendy Vandaqua nie jedzie się tylko z przyjacielskimi odwiedzinami. No co?

Kortejo nie mógł ukryć zakłopotania.

— Każę pana zamknąć, jutro dowiem się prawdy.

— Jestem niewinny! — zapewniał Kortejo.

— Dobrze, a teraz proszę wyjść! Naraz dał się słyszeć przy stole głos:

— Senior Juarez, proszę pozwolić! Czy uważa mnie za swojego szczerego druha?

Mówiący był wielkim, nadzwyczaj silnie zbudowanym Meksykaninem.

— Co za pytanie? Czy mianowałbym cię, senior Verdoja kapitanem mojej straży przybocznej, gdybym ci nie ufał? Co ma więc znaczyć to pytanie?

— Chciałbym prosić o zaufanie dla słów Korteja — rzekł olbrzym.

Kortejo w strachu swoim nie przyglądał się dotychczas bliżej otoczeniu Juareza i nie widział swego stronnika. Ale na dźwięk jego głosu ucieszył się. Czuł się uratowanym, poznał obrońcę.

Verdoja nie był milionerem, ale dosyć zamożnym właścicielem ziemskim. Na północy miał obszerne pastwiska i był sąsiadem Rodrigandów. Północne posiadłości hrabiego zawierały kopalnie rtęci i dlatego Verdoja chciał nabyć ten kawałek ziemi dla siebie, ale hrabia Ferdynand nie chciał sprzedać.

— Jak to? Znacie go?

— Tak. On nie jest wrogiem, raczej naszym sojusznikiem. Ręczę za niego.

Juarez zmierzył Korteja raz jeszcze, potem rzekł:

— Jeżeli pan ręczy za niego, to niech idzie. Pan za niego odpowiada!

— Chętnie senior! Juarez pytał dalej:

— A kim są ludzie pańscy?

— To są moi towarzysze, poczciwcy, którzy nikomu nic złego nie uczynią.

— Mogą odejść i poszukać sobie noclegu. Pan zaś będzie jeść z nami. Oddaję go seniorowi Verdoja.

Tak zakończyła się ta niebezpieczna sprawa. Kortejo znalazł się za stołem Juareza, sławnego Indianina Juareza, który był później kandydatem na prezydenta Meksyku i przyczynił się do strącenia cesarskiej korony austriackiego księcia.

Biesiada nie była wykwintna, ale pożywna. Spożyto mnóstwo potraw, wypito wiele rozmaitych napojów. Po uczcie nikt nie mógł powiedzieć, że jest trzeźwy. Tylko Juarez, jak to u Indian bywa, zachował umiar.

Po kolacji Verdoja mógł pogawędzić bez przeszkód z Kortejem. Wyszli z domu.

— Będzie pan spał u mnie. Spodziewam się, że nie będzie to zbyt uciążliwe.

— Jestem panu nieskończenie wdzięczny i dziękuję za wstawienie się za mną, senior Verdoja. Byłbym tej nocy nie przespał spokojnie.

— O, z pewnością nie. Przestraszyłem się, usłyszawszy, że pan był w hacjendzie Vandaqua, gdyż właśnie mamy na nią napaść.

— Czyżby?

Kortejo przeląkł się na samą myśl o tym, jakie mu groziło niebezpieczeństwo. Juarez był znany z swej srogości.

— Tak — odpowiedział kapitan. — Nie miałem właściwie tego panu mówić, bo to tajemnica. Ale czego do czarta szukał pan w tej hacjendzie? O ile wiem, to ten człowiek nie był nigdy waszym sympatykiem.

— Teraz stało się inaczej. Nie jest on już moim sąsiadem. Hacjenda del Erina nie jest nasza. Petro Arbellez ją odziedziczył.

— A niech go diabli porwą. To hrabia Ferdynand nie chciał mi sprzedać tego kawałka ziemi, który pragnąłem, a innym daruje kawał ziemi o powierzchni dwudziestu mil kwadratowych. Ale, niech tam!

Weszli do domu, kwatery kapitana. Zajmował on najlepszą komnatę. Łoże jego było przygotowane, na stole stały potrawy.

— No, jeść zdaje się nie będziemy. W tym łóżku sypiam ja, pan zaś będzie się musiał zadowolić hamakiem.

Gdy hamak upięto, kapitan podał Kortejowi cygaro, sam zapalił również i zapytał:

— Jak słyszałem hrabia Ferdynando umarł?

— Tak. Alfonso jest jego następcą. Teraz przebywa w Hiszpanii, a ja wszystkim zawiaduję.

— No, wiesz! — zaśmiał się cynicznie Verdoja. — Już pan na tym zawiadywaniu zna się najlepiej! Czy nie dostałby mi się jakiś smaczny kasek, mój kochany Kortejo?

— Aha! Niby te kopalnie rtęci?

— Naturalnie.

— Hm, o tym możemy porozmawiać, ale najpierw chciałbym wiedzieć, czego Juarez szuka na hacjendzie Vandaqua?

— Chce spaść na kark właścicielowi jej, bo ten go zdradził.

— Jak to?

— Więcej nie powiem, wiem tylko, że jutro o tym czasie hacjendero już nie będzie żył. Juarez nie zna przebaczenia ani łaski. Zresztą przy tym zobaczę też i waszą hacjendę del Erina.

— Aha! Jakim sposobem?

— Gdyż część naszych stanie tam na kwaterze.

— Hm — mruknął Kortejo. — Pan także?

— Tak jest.

Kortejo namyślił się, a kapitan zapytał:

— O czy tak myślisz senior?

— O kraju z kopalniami rtęci — uśmiechnął się Kortejo.

— Może chce pan namówić hrabiego Alfonso, by mi je sprzedał?

— Chcę uczynić coś o wiele milszego. Posiadłość się wam tak podoba i leży w zasięgu ręki. Prawda? Hrabia Ferdynand nie sprzedał jej gdyż sądził, że tam leży ogromny skarb.

— Mylił się.

— Pan wiesz tak samo dobrze, jak i ja, że miał pod tym względem słusność. Ile pan da za ten kawałek ziemi?

— Dużo tego nie będzie. To nie pastwisko, którego potrzebuję.

— No, no, nie udawajcie, znamy się już na tyle, że może pan mówić otwarcie.

— Jak już powiedziałem, to nie pastwisko. Składa się z pustych pagórków i rozpadlin. Ale leży w sąsiedztwie, dlatego może dałbym... sto tysięcy pesos.

Kortejo zaczął się śmiać i rzekł:

— Pan wcale nie jest roztropny! Posiadłość tę kupił hrabia za pięćset tysięcy pesos i jest ona wedle obecnych notowań cztery razy tyle warta.

— To pański pogląd.

— Kiedy się zaś sprawdzi moje przecucie, że jeszcze obok rtęci znajdują się tam i inne metale, to pięć milionów będzie mało, bo samej renty przyniesie nie setki tysięcy a milion prawie.

— Fantazjuje pan!

— Wypowiadam tylko trzeźwy sąd. Nie mówię też o dniu dzisiejszym, tylko o przyszłości i wychodzę z założenia, że ten kawał ziemi przyniesie majątek. Przecież dobrze panu życzę. Bez pańskiej pomocy może by mnie rozstrzelano, dlatego nie chcę panu za kęs ziemi z rtęcią tak dużo liczyć.

Kapitan ściągnął twarz szyderczo i rzekł:

— Pan mi przecież nie zechcesz podarować tej ziemi?

— O, dlaczego nie?

Verdoja skoczył z łóżka:

— Co pan mówi?

— To co pan słyszał! Chcę mu podarować tę piękną posiadłość.

Kapitan usiadł i rzekł niechętnie:

— Bzdura! Słuchaj, Kortejo, co byś uczynił, gdyby mi tak przyszło do głowy wziąć ciebie za słowo?

— Dotrzymałbym go!

— Toście ogromnie głupi mój panie.

— Jednak wiem co mówię i czynię.

Verdoja zniecierpliwił się:

— Gadaj pan poważnie i nie pozwalaj sobie na głupie żarty.

— Mówię poważnie, gdyż nie czynię tego bezmyślnie.

— A o co właściwie chodzi?

— Chodzi o małą przysługę, o którą bym pana prosił.

— Mów pan. Jestem ogromnie ciekaw dowiedzieć się, za jaką to przysługę miałbym otrzymać taką gratyfikację.

— Hm, tu trzeba się mieć na baczności. Znamy się wprawdzie dobrze i mógłbym panu zaufać... Wiem, że posiada pan tęą siłę fizyczną...

— Pewnie. A cóż to ma do naszej sprawy?

— Jesteś pan dzielny strzelcem i szermierzem.

— Naturalnie. I sztyletem władam wyśmienicie.

— Tego mi właśnie trzeba. Także mogę się spodziewać, że nie wyszedłeś pan z wprawy.

— Pewnie, że nie — śmiał się kapitan. — Już niejednen co się ze mną zmierzył, musiał gryźć murawę.

— To w porządku, chodzi mi mianowicie o parę osób, które mi stoją na drodze.

— A! — zawołał kapitan. — To taka ma być przysługa?

— Tak jest.

— Chce pan bym został płatnym mordercą?

— Nie, wcale nie. Chciałbym tylko zwrócić pańską uwagę na parę osób, z którymi mógłbyś pan bardzo łatwo popaść w konflikt. A wtedy, o ile pana znam, umiałbyś sobie poradzić.

— O, tak! Jeżeli by ci ludzie szukali ze mną zaczepki, a ja wtedy bym ich poczęstował kulą albo dobrym pchnięciem — hm?

— Wtedy bym panu podarował pole rtęciowe.

— Do pioruna! Naprawdę? — zawołał Verdoja uradowany. — Ależ ta ziemia nie jest pańska, tylko hrabiego Alfonso de Rodriganda.

— On by się zgodził.

— I podpisałby akt darowizny?

— Rozumie się.

— A, to niczego więcej nie pragnę, jak spotkać tych ludzi.

— Nic łatwiejszego, może zobaczysz pan ich nawet jutro.

— Gdzie?

— W hacjendzie del Erina.

— A do czarta! Chyba nie o starym Arbellezie mowa?

— Nie, tylko o jego gościach. U niego są bowiem ludzie, którym życzyłbym śmierci.

— Któż to taki?

— Pewien lekarz, Niemiec, nazywa się Sternau.

— Ładnie, zapamiętam sobie to imię.

— Potem żeglarz, niejaki Helmer. Trzecim jest Mariano, porucznik de Lautreville.

— Trzej? Nie zapomnę tych imion: Sternau, Helmer i Mariano czyli Lautreville. Gdy zaczną ze mną, a ja się obronię, to pole ręciovie jest moje?

— Ręczę za to słowem.

— Hm, wprawdzie to też jakaś poręka, ale nie całkiem pewna. Co pan ma właściwie do tych ludzi, obrazili pana?

— Bardzo.

— To mnie nie przekonuje, senior Kortejo. By się za obrazę zemścić, nie daje się takiego podarku. To musi być coś innego.

— A gdyby nawet, co to pana obchodzi?

— Słusznie. A dlaczego sam pan z nimi sobie nie poradzisz?

— Czyż mogę? Pokłóciłem się z Petro Arbellezem i nie śmiem pokazywać się w del Erina. Zresztą nie mam na to czasu. W końcu przyznam się panu, że zebrałem na nich oddział chłopaków.

— Na trzech mężczyzn? — kpił kapitan.

— Nie kpij pan! Te draby miały dziewięćdziesiąt dziewięć diabłów w sobie.

— A to wypada na głowę po trzydziestu trzech. No, jak się zdaje nie uporałeś się pan z nimi.

— Nie, powystrzelali moich ludzi i tylko przypadkowo umknąłem z tymi kilkoma, których pan widział ze mną.

— A, to byłby albo cud, albo coś podobnego! Ale chętnie poznam tych trzech chłopaków! Ci ludzie, którzy są z panem, byli najęci?

— Tak.

— Oni chyba nie bardzo, zdaje się liczą się z prawem i sumieniem.

— Nie.

— Takich by mi trzeba! Czy nie mógłbyś mi ich pan odstąpić? Na te słowa Kortejo ożył.

— Chętnie, bardzo chętnie. Nie wiedziałem co mam z nimi począć. To ogień nie ludzie. Ogromnie pragną zemścić się na tych trzech. Przy mnie nie mieliby ku temu sposobności.

— U mnie ją znajdują. Jutro rano pogadam z nimi. Wraca pan do Meksyku?

— Tak jest.

— Tam dam znać o rezultacie.

— Potem akt darowizny, albo fingowany kontrakt kupna wyślę aż do Hiszpanii, gdzie podpisze go hrabia Alfonso. Ale jak pan sobie pocznie z tymi trzema łotrami?

— O tym jeszcze nie myślałem. Będę mógł cokolwiek powiedzieć, kiedy ich zobaczę i pogadam z nimi. Czy ma mi pan jeszcze coś do powiedzenia?

— Nie.

— Życzę więc dobrej nocy. Muszę jeszcze sprawdzić straże. Juarez jest pod tym względem bardzo wymagający i skoro zauważy niedbalstwo, to nawet oficer może stracić głowę.

Kortejo położył się w hamaku i uśmiechał zadowolony. Mógł spokojnie wracać do Meksyku, przekonany, że sprawę powierzył dobrym rękom.

Znał Verdoję jako ostrego, bezlitosnego i chciwego człowieka, który dla chęci zysku nie tylko trzy, ale dziesięć i dwadzieścia morderstw wzięłoby na sumienie. Zresztą cóż znaczyło wykonanie obietnicy? Gdy ci trzej będą zabici, to będzie można całą tę sprawę zwyczajnie

zignorować. Verdoja z pewnością nie odważyłby się domagać zapłaty za swoje morderstwa na drodze sądowej, gdyż wtedy byłby zgubiony.

Kiedy Kortejo rozmyślał o tym, kapitan chodził kapitan od straży do straży, lecz głowę miał zajęta swoimi interesami z Kortejem.

— Co zrobili, że muszą zginąć? Co potem? Wysoką nagrodę daje. Posiadłość rzeczywiście warta jest milion, a kto płaci milion, temu chodzi o coś daleko więcej. A może...? Hrabia daje mi ziemię z żywym srebrem, widocznie więc chodzi o całe hrabstwo. Ale co to za jedni, ci trzej? Lekarz i żeglarz, obaj Niemcy. Trzeci jest Hiszpanem i nazywa się Alfredo de Lautreville. To brzmi bardzo tajemniczo. Ten Mariano zdaje się jest tym, o którego tu chodzi.

Odbywał inspekcję, ale nie mógł się ani na chwilę skupić myśli. Ogromny zysk jaki mu obiecywano, zapanował nad jego myślami.

— Czy dotrzyma słowa? Znam Korteja, to tęgi łgarz i bardzo chytry człek. Co więc będzie, kiedy zabiję tych ludzi, a on potem stwierdzi, że o całej sprawie nie ma pojęcia. Wtedy rękę do diabła! Nic bym nie poradził! Ale Korteja też zabrałby bies. O, z pewnością. Trzeba tę sprawę dobrze przemyśleć.

Wrócił na kwaterę, położył się do łóżka. Następnego dnia kazał przywołać towarzyszy Korteja i zaczął ich przesłuchiwać w obecności Korteja.

— Coście za jedni?

Ten, który był wczoraj głównym mówcą, odpowiedział:

— Nie powiedział panu o tym senior, Kortejo?

— Nie.

— Jesteśmy biedakami, którzy zarabiają na chleb różnymi sposobami,

— Wam wszystko jedno jak? Czy nie chcielibyście u mnie zarobić?

— To nie tak, jesteśmy na służbie u seniora Korteja.

— On mi was odstąpił.

— To nie uchodzi. Mamy wspólną sprawę.

— On mi się z niej zwierzył. Możecie mówić ze mną otwarcie.

— Naprawdę, senior Kortejo?

— Tak.

— Tego nie potrafisz uczynić senior. Nas nie można odstępować, jesteśmy ludźmi wolnymi. Obiecałeś nam, że zemścimy się za zabitych towarzyszy.

— Słowa dotrzymam. Nie mam czasu prowadzić was dalej, ale ten senior zastąpi mnie.

— Tak — rzekł Verdoja. — Pójdziecie ze mną do hacjendy del Erina, która otoczona jest palisadą i murem. Dzisiaj o północy, jeden z was przyjdzie na południowy koniec tego obwarowania. Tam znajdzie mnie, a ja udzielę dalszych wskazówek. Cena będzie ta sama co u seniora Kortejo.

Odeszli, a tymczasem Verdoja i Kortejo udali się do Juareza, który przyjął ich z chmurnym obliczem.

— Wiesz komu zawdzięczasz życie? — zapytał.

— Wiem — odparł Kortejo.

— Milcz! Senior Verdoja za ciebie poręczył. Podobno chcesz jechać do Meksyku?

— Tak.

— Tam nie mogą wiedzieć, iż ja byłem w El Oro, a ty ich na pewno poinformujesz. Dlatego nie mogę ciebie wypuścić stąd.

— Senior, będę milczeć.

Późniejszy prezydent machnął pogardliwie ręką:

— Biały nie milczy nigdy. Tylko Indianin umie trzymać język za zębami. Biały dotrzyma słowa tylko pod przysięgą.

— Dobrze, więc przysięgnę.

Kortejo musiał podnieść rękę i przysiąc, że nic nie zdradzi. Dopiero teraz, zdawało się, że Juarez mu uwierzył.

— Możesz iść. Weź ze sobą swoich ludzi i pamiętaj. Parę minut później wyruszył Kortejo z El Oro. Włóczędzy jego towarzyszyli mu, gdyż nikt nie śmiał wiedzieć, że byli w związku z kapitanem. Po jakimś czasie odłączyli się od Korteja i zawrócili w stronę hacjendy del Erina. Dotychczas nie szczęściło im się w atakach na hacjendę, teraz jednak pałali się żądzą powetowania poniesionej hańby i szkody.

Wkrótce po odjeździe Korteja trąby dały znak do wyruszenia. Lansjerzy wsiedli na konie. Gnali przez równinę na wół dzikich koniach jak wichura, której nic nie jest się w stanie oprzeć.

Były to bardzo złe czasy dla Meksyku. Już dawno kraj ten odłączył się od Hiszpanii i wybrał własnego władcę. Nie był jednak na tyle silny, aby stać się państwem samodzielnym. Jeden prezydent wypierał drugiego. Finanse były w fatalnym stanie. Urzędnicy przekupni, ani wiary, ani posłuszeństwa ani wierności w kraju nie było. Wojsko nie słuchało nikogo, każdy oficer chciał rządzić, a każdy generał pragnął prezydentury.

Kto dorwał się do steru, ten usiłował kraj wyssać jak najprędzej, wiedział bowiem, że nie dużo ma czasu. Następca czynił tak samo, tak samo też postępowali namiestnicy prowincji. Poddani nie wiedzieli kogo mają słuchać, a najlepiej mieli ci, którzy mieszkali w najodleglejszych stronach kraju.

Wśród tego zamętu wynurzył się Juarez i osiągnął niebawem taki wpływ, że zawierał nawet traktaty z rządem Stanów Zjednoczonych. Był i tu i tam. Miotał się po kraju lotem błyskawicy, agitując za sobą, nagradzając zwolenników, przeciwników zaś karząc. I taki to cel prowadził go teraz do hacjendy Vandaqua.

Skoro lansjerzy tam przybyli, wzbudzali ogólny strach. Juarez zsiadł z konia i wszedł z orszakami oficerów do domu, którego właściciel siedział ze swoją rodziną przy drugim śniadaniu.

— Znasz mnie? — zapytał Indianin ostro.

— Nie — odparł hacjendero.

— Jestem Juarez.

Biedny właściciel hacjendy zbladł.

— O, święta Madonno!

— Nie wywołuj Madonny, to ci nie pomoże! Jesteś stronnikiem prezydenta?

— Nie — odrzekł.

— Nie kłam! — zawołał groźnie Indianin. — Korespondujesz z jego zwolennikami.

— Nie.

— Przekonam cię. Przeszukajcie dom!

Oficerowie dali znak żołnierzom i rozpoczęło się przeszukiwanie domu. Po jakimś czasie wrócił jeden z oficerów z pakietem listów, który oddał Juarezowi. Kiedy hacjendero zobaczył listy, zbladł śmiertelnie. Oczy jego były zwrócone w stronę Juareza. Z bijącym sercem oczekiwał na wyrok. Nareszcie Juarez skończył czytanie. Wstał z krzesła i zapytał hacjendera:

— Odebrałeś te listy?

— Tak.

— Czytałeś?

— Tak.

— I odpowiadałeś na nie?

— Tak jest.

— A więc przedtem skłamałeś. Jesteś zwolennikiem prezydenta. W takim razie członkiem przysiężenia przeciw wolności ludu. Tu masz swoją nagrodę.

Wyciągnął pistolet, wycelował i wypalił... Hacjendero padł na ziemię. Głośny krzyk przerażenia wydała rodzina. Juarez zwrócił się do nich z ogromnym spokojem i obojętnością:

— Milczcie! Wy także jesteście winni, ale nie umrzecie. Opuśćcie dom. Konfiskuję hacjendę ze wszystkim co do niej należy, na własność państwa. Za godzinę macie stąd odejść. Weźcie konie, które zabiorą wasz majątek, pieniądze też zabierzcie. A teraz, precz mi z oczu.

— Wolno nam zabrać zmarłego? — zapytała żona łkając.

— Można. Teraz zaś precz!

Zabrali trupa i wynieśli z komnaty. Po upływie godziny wyruszyli z zapłakanymi oczami z hacjendy. Teraz Juarez oddał ją swoim żołnierzom. Płądrowano, dopóki było co płądrować. Potem zabito parę wołów i rozpoczęła się uczta pod gołym niebem.

Juarez pozostał w komnacie. Verdoja miał nadzór nad płądrowaniem. Kiedy przystąpił do Indianina ten rzekł:

— Tak muszą skończyć wszyscy, którzy grzeszą przeciwko ojczyźnie. Verdoja, jesteście wierni?

— Tak senior, wiesz przecież o tym.

— Dobrze, dam ci zadanie. Masz odwagę?

— Hm — zaśmiał się kapitan. — Widziałeś senior, bym kiedyś zbladł?

— Nie, i dlatego dojdiesz do wysokich dostojęstw. Znasz prowincję Chihuahua?

— Tam się urodziłem i tam sięgają granice mych dóbr.

— Dobrze. Udasz się do stolicy prowincji, lecz najpierw odprowadzisz mnie do hacjendy del Erina.

— Jadę z wojskiem?

— Ze szwadronem wojska, druga część udaję się ze mną. Naprzód!

Po minucie siedzieli już na koniach. Towarzyszyło im kilku lansjerów. Jeden z obecnych *vaqueros* musiał wskazywać drogę.

Kiedy zbliżyli się do hacjendy, już ich tam spostrzeżono. Brama była zamknięta. Juarez zapukał:

— Kto tam — zapytał Aroellez z podwórza.

— Żołnierze, otwierajcie.

— Czego chcecie?

— Do diabła, otwórzcie, czy nie?

Sternau, Helmer i Mariano stali koło hacjendera.

— Mam otworzyć? — zapytał ten pośpiesznie.

— Można. Jeźdźców nie jest dużo.

Bramę otwarto. Juarez ze swoimi wjechał na podwórze i badał okiem otoczenie.

— Dlaczego nie posłuchaliście zaraz? — zagrzmał.

— Nie znamy pana — odparł Arbellez. — Czy jesteście jednym z tych, których trzeba słuchać, sennor?

— Jestem Juarez. Znasz to nazwisko?

Arbellez skłonił się bez zakłopotania i rzekł:

— Tak i to dobrze. Przebac mi senior, że nie otworzyliśmy od razu. Proszę wstąpić do mojego domu. Witam serdecznie.

Poprowadził gości do salonu, w którym obaj: Juarez i Verdoja bez ceremonii usiedli. Mimo przychylnego przyjęcia nie stracił Juarez surowej miny i zapytał:

— Widzieliście jak nadjeżdżamy?

— Tak, senior.

— I to żołnierzy? Dlaczego nie otworzyliście? To zasługuje na karę.

— O, senior prezydent także ma żołnierzy, a tych nie powitałbym wcale. Nie mogłem przecież wiedzieć, iż to pan?

Rozjaśniło się oblicze Indianina.

— Jestem dla pana miłym gościem?

— Bardzo.

— Dlaczego?
— Bo masz pan twardą rękę, a takiej potrzeba naszemu biednemu krajowi.
— Tak i tę twardą rękę poczuło już paru. Powiedz pan, czy znasz hacjendę Vandaqua?
— Tak. Jestem przecież sąsiadem.
— Ileż ona może przynieść dzierżawy?
— Ona jest prywatną własnością, a nie dzierżawnym dobrem.
— Odpowiadać na moje pytanie!
— No, gdyby się znajdowała w lepszych rękach. Można by zapłacić dziesięć tysięcy doros, teraz znacznie mniej.

Arbellez popatrzył na Indianina zdziwiony.

— Zdaje mi się, że mówię wyraźnie. Chcę panu oddać ją w dzierżawę. Skonfiskowałem ją na rzecz państwa, a oddaję panu.

Arbellez zląkł się.

— Właściciel zginął od mojej kuli, bo był zdrajcą. Rodzina jego musiała opuścić gospodarstwo. Prędko musisz się na coś się zdecydować.

— Jeżeli tak, to mówię „tak”, ale...

— Żadne ale! Przynieście przyrządy do pisania. Zaraz tę sprawę uporządkujemy.

I jak wszystko co Juarez wziął w rękę, tak i tę sprawę załatwiono w lot, a mimo to należycie i wedle prawa. Potem rzekł Juarez:

— To jest kapitan Verdoja. Na parę dni zamieszka u pana.

Hacjendero zdziwił się, ale nie dał po sobie nic poznać, tylko przywitał się z kapitanem.

— Ma ze sobą szwadron wojska. Możesz pan ich wyżywić? Arbellez zapewnił Indianina, że może, chociaż chętniej powiedziałby „nie”.

— Ludzie ci przybędą wieczorem. Dbaj pan o nich staranie i zrób pan potem z kapitanem rachunek. Bywajcie zdrowi!

Wstał i poszedł do drzwi, Verdoja za nim. Pojechali galopem ku wielkiemu zdziwieniu mieszkańców hacjendy del Erina.

Dlaczego sąsiad musiał zginąć? Dlaczego właśnie Petro Arbellez ma zostać nowym dzierżawcą? A więc ten człowiek był Juarezem, owym wielkim Indianinem, którego bała się połowa Meksyku? Ci którzy zadawali sobie podobne pytania, nie przeczuwali nawet jakie skutki będą mieć rozporządzenia wielkiego partyzanta.

Wszystko się skończyło, a Verdoja otrzymał teraz instrukcję. Jego pobyt u Arbelleza miał na celu wypoczynek ludzi i koni, gdyż droga do Chihuahua była bardzo uciążliwa. Verdoj a miał prędko dotrzeć na oznaczone miejsce, gdzie w interesie obecnego swojego zwierzchnika miał podjąć odpowiednie działania. Obaj mówili ze sobą na osobności przez długi czas. Znać było po nich, że omawiali rzeczy nader ważne. Potem rozeszli się, uściskawszy sobie ręce.

Juarez rozkazał wsiadać na koń, a kiedy powrócił do hacjendy Vandaqua, wszystko co lansjerzy uważali za godne zabrania, było już zebrane. Zdobycz tę rozdzielono i chociaż mało wypadło na jedną osobę, to i tak wzbudziło u tych ludzi, nieprzyzwyczajonych do dostatków, wielką radość. Juarez wyglądał na ducha zemsty, który tak samo rychło znika, jak się zjawia. Zawsze jednak pozostawia za sobą krwawe ślady...